OD ZIEMI ŚWIĘTEJ DO JAPONII

Terlikowski zdradza, jak został przewodnikiem pielgrzymów

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 19/321 6–12 MAJA 2019

Timmermans narusza suwerenność Polski – dowodzi Czarnecki

KTO WSPARŁ TELEWIZJĘ AL-DŻAZIRA W ATAKU NA OJCA RYDZYKA

Inwazja hulajnóg na chodnikach

AMERYKAŃSKA USTAWA 447

Miecz nad Polską

CO NAM GROZI ZE STRONY ŚRODOWISK ŻYDOWSKICH? JAK SIĘ PRZED TYM BRONIĆ?

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

9 772299 850000 19>

Nakład: 78 tys. egzemplarzy

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

100 % polski produkt

IV EDYCJA KONKURSU

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA, KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNER

Poczta Polska

PARTNER GALI

arp
Agencja Rozwoju Przemysłu S.A.

eprasa.pl cd6a0bf674

W RZECZY SAMEJ

Ja, zdrajca Unii

PAWEŁ LISICKI

Zawsze, kiedy wydaje mi się, że głupiej już nie można, okazuje się, że można. W „Gazecie Wyborczej" przeczytałem wielki tytuł „Kto zdradza Unię, zdradza Polskę". Najwyraźniej autor i redakcja nie dostrzegli absurdalności tego stwierdzenia, co zresztą o tyle mnie nie dziwi, że od października 2015 r., kiedy to PiS objął władzę, w ogóle z myśleniem mają kłopoty. Takie zdanie miałoby sens tylko wtedy, gdyby Polska nie była suwerennym państwem narodowym, ze swoją własną tożsamością, z interesami, tradycją i tożsamością, ale unijnym województwem, landem, kantonem. Tak brzmiałoby poprawne zdanie: kto zdradza Polskę, zdradza Śląsk, kto zdradza Niemcy, zdradza Bawarię, kto zdradza Stany Zjednoczone, zdradza Kalifornię. Tak długo jednak, jak Unia państwem nie jest, nie ma rządu, suwerennej, własnej polityki, nie ma narodu, twierdzenie „GW" jest po prostu idiotyczne. Wyszłoby na to, że ponad połowa obywateli Wielkiej Brytanii głosujących za brexitem, zdradzając Unię, zdradziła Wielką Brytanię i zatem, konsekwentnie, należałoby ich pozbawić obywatelstwa, ukarać i wygnać. Podobnie należałoby postąpić z innymi krytykami Unii w innych państwach: są oni z punktu widzenia „GW" faktycznie bezpaństwowcami, bo odrzucając Unię, stają się zdrajcami Włoch, Francji, Hiszpanii itd., itp.

Tak, wiem, logika to najmniejszy problem w tym przypadku. Znacznie większym jest to, że zaprezentowane na łamach lewicowej gazety myślenie zdominowało dużą część polskich elit. Co gorsza, straszak polexitu wymusił nawet na PiS, partii wcześniej znacznie bardziej wobec Unii krytycznej, zmianę retoryki. Od czasów przegranej w drugiej turze wyborów samorządowych w 2018 r. politycy PiS uparli się, żeby za każdym razem, w dzień i w nocy, w południe i o północy, przekonywać kogo się da, jak bardzo Unię kochają, jak bardzo są do niej przywiązani. Pięknie. Ilekolwiek by jednak słów wypowiedzieli i ilekolwiek kolejnych niedorzecznych tytułów pojawiłoby się w „GW" lub innych mediach lewicy, wciąż nie uda się przejść do porządku dziennego nad jednym: interes polskiego państwa i interes Unii, rozumianej jako grupa państw, nie tylko pokrywać się nie musi, lecz także czasem mogą one pozostawać do siebie w opozycji. Interes Unii jest ważny tylko wówczas, kiedy pokrywa się z interesem Polski. Możemy chcieć, by tak było, ale roztropny polityk musi też myśleć o czarnym scenariuszu, kiedy takie ujednolicenie interesów możliwe nie jest i nie będzie. Kto tego nie dostrzega, ten wyrzeka się obrony interesu narodowego i zdradza Polskę na rzecz Unii. Czyli coś rzeczywistego na rzecz bytu pozornego. Tak, to właśnie jest coraz większym zagrożeniem dla Polski i doskonale widać to po działalności znaczącej grupy polityków opozycji. Nie tylko przenoszą oni spory z Warszawy do Brukseli, lecz także stają się, coraz wyraźniej, zakładnikami Unii. Za pomocą Unii, za pomocą różnych europejskich instytucji chcą odzyskać władzę w Polsce, nie rozumiejąc, że stają się coraz bardziej zakładnikami.

Zabawne, że zwolennicy Unii powołują się przy tym na rzekome zagrożenie demokracji w Polsce. Jak pisała „GW": „im więcej Unii w państwie, tym trudniej zabijać demokrację". Teza ta pod względem niedorzeczności niemal dorównuje tytułowi. Niezależnie bowiem od całego gadulstwa i propagandy Unia cierpi na nieporównanie większy deficyt demokracji niż poszczególne państwa członkowskie. Wystarczy sprawdzić, które z istotnych funkcji politycznych w Unii pochodzą z wyboru. W przypadku przewodniczącego Rady Europejskiej nie sposób nawet ustalić, czy istnieje jakikolwiek tryb wyboru! Podobnie w przypadku Komisji Europejskiej – najważniejsze decyzje zapadają w kuluarach.

Unii, inaczej niż Polski, nie można zdradzić. „Zdrada" to mocne słowo. Zawsze wskazuje ono na naruszenie pewnej głębokiej, niewzruszonej lojalności. Na więź krwią i życiem znaczoną. Za Unię nikt jeszcze nie umarł, nie przelał krwi. Nikt nie cierpiał ani nie ponosił ofiar. To, że ktoś tego nie zauważa i próbuje stawiać odrzucenie Unii na równi ze zdradą Polski, świadczy jedynie o stopniu wyobcowania i nihilizmie. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl cd6a0bf674

TEMAT TYGODNIA

16 MARCIN MAKOWSKI
GRA O NAJWYŻSZĄ STAWKĘ
Amerykańska ustawa JUST Act 447

21 PIOTR WŁOCZYK
BAT NA ANTYSEMITÓW

KRAJ

24 ROZMOWA Z RYSZARDEM CZARNECKIM
TIMMERMANS NARUSZA SUWERENNOŚĆ POLSKI
Europoseł PiS: Konfederaci mogą pomóc liberałom

28 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
RZECZPOSPOLITA SAMOOBRONNA

30 PIOTR SEMKA
WIOSNA TRESERÓW KOŚCIOŁA

33 KAMILA BARANOWSKA
SEKIELSKI NA FALI

36 WITOLD REPETOWICZ
REŻIM POUCZA POLSKĘ

38 WOJCIECH WYBRANOWSKI
JUDASZ Z PRUCHNIKA

40 RADOSŁAW WOJTAS
TAJEMNICA PIĘCIU MINUT

KULTURA

42 WIESŁAW CHEŁMINIAK
RODZINA JEST NAJWAŻNIEJSZA
50 lat z „Ojcem chrzestnym"

NIE PRZEGAP

46 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

52 ŁUKASZ WARZECHA
STRASZAK ZAMIAST ALTERNATYWY
Rośnie nam polski Jobbik?

54 DR MICHAŁ CHABEREK OP
GURU NOWYCH CZASÓW

58 TOMASZ ROWIŃSKI
NIEBEZPIECZNY KURS

HISTORIA

62 TOMASZ LENCZEWSKI
RZEKOMA CÓRKA CARYCY
Hetmanowa Aleksandra Branicka (1754–1838)

ŚWIAT

66 MACIEJ PIECZYŃSKI
OJCIEC CHRZESTNY SŁUGI NARODU
Ukraiński oligarcha i jego prezydent

70 MAŁGORZATA WOŁCZYK
NIEUDANA REKONKWISTA

72 TERESA STYLIŃSKA
NIEMCY MUSZĄ ZAPŁACIĆ?

74 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
CZERWONY KAPTUREK NA INDEKSIE

EKONOMIA

76 ŁUKASZ ZBORALSKI
KOLEJ NA LEPSZĄ KOLEJ?
Czy pociągi w Polsce zyskają na atrakcyjności?

78 JACEK PRZYBYLSKI
WOJNA NA HULAJNOGI

82 MARIA KĄDZIELSKA
JAK LEE KUAN YEW ZMIENIŁ SINGAPUR

84 STEFAN SĘKOWSKI
POSTĘP DZIĘKI ZAKAZOM

PODRÓŻE

86 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
PIELGRZYMKOWA MISJA
Jak zostałem przewodnikiem pielgrzymów

O ZDROWIU

90 ROZMOWA Z PROF. LESZKIEM CZUPRYNIAKIEM
TO NIE TYLKO „LEKI NA CUKRZYCĘ"
Czego brakuje polskiej diabetologii

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (7), KOWALCZUK (8), GMYZ, GOCIEK (14), ZALEWSKI, WOLSKI (60), ZYCHOWICZ, KOPER (65), WARZECHA (69), GABRYEL, RYBIŃSKI (81), KOMUDA (92), KUCHARCZYK (96), JASTRZĘBOWSKI, MAKOWSKI (97), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl cd6a0bf674

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Marek Budzisz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Maria Kądzielska, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksowska, Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także „Super Express")

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **FOTEX/Forum (x2), Adobe Stock, montaż JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

FIRMA RODZINNA

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 78 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Szanowni Państwo,

Dziś dość egzotycznie – nasi Czytelnicy zabierają nas w listach w podróż do Japonii. Korespondencję elektroniczną prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Pociąg do Japonii" – Piotr Gabryel, „DRz" 16/2019

Szanowni Redaktorzy,

[...] w tekście „Pociąg do Japonii" powielono kilka mitów, bezkrytycznie powtórzonych przez autora, który w Japonii był krótko i najwyraźniej poruszał się głównie shinkansenem.

Przede wszystkim pociągi się spóźniają. Nie zliczę, ile razy zbliżając się do stacji docelowej, słuchałem komunikatu: „Stacja końcowa, Ikebukuro. To niewybaczalne, że przyjazd na stację uległ opóźnieniu. Proszę przyjąć nasze płynące z głębi serca przeprosiny". Standardowa formułka wymagana przez grzeczność – nikt nie wierzy w jej szczerość. [...]

Mityczne pismo z przeprosinami to mała karteczka mniej więcej 5 x 6 cm, z wydrukowanym miesięcznym kalendarzem. Bieżący dzień jest wydziurkowany. W nagłówku wydrukowane są standardowe przeprosiny dające się z grubsza przetłumaczyć: „To jest niewybaczalne, że w dniu zaznaczonym na tej kartce doszło do opóźnienia naszego pociągu". Przy wyjściu z peronu stoją pracownicy kolei rozdający te kartki niczym ulotki reklamowe. Biorą je tylko ci, którzy brać je muszą [...]. Moja firma nie wymaga usprawiedliwienia pisemnego od linii kolejowej, za to pracownicy piszą z pociągu e-maile na swoich smartfonach. „To jest niewybaczalne, ale z powodu opóźnienia linii XYZ dzisiaj przybędę do pracy z opóźnieniem. Przepraszam za problemy, które to spowoduje w okresie, gdy wszyscy są tak zajęci". [...]

To, co jest fascynujące, to to, że wszystkie sieci ze sobą współpracują. Gdy z powodu wypadku jedna linia zostaje zatrzymana lub opóźniona, podróżni przekierowywani są na inne linie, także innych przewoźników. Okazuje się nagle w sposób automagiczny, że bilety zakupione u jednego przewoźnika działają także na trasie alternatywnej obsługiwanej przez innych przewoźników. To tak, jakby w Polsce na bilet Kolei Regionalnych z powodu spóźnienia pociągu można było np. pojechać InterCity bez zbędnych formalności. W takich awaryjnych sytuacjach różni przewoźnicy wzajemnie respektują swoje bilety. Jakie następują później rozliczenia między przewoźnikami – tego nie wiem, ale wiem z doświadczenia, że podróżnych to nie dotyczy. Nie to jest więc fenomenem japońskich sieci, że pociągi się nie spóźniają, bo to jest nieprawda, ale to, że generalnie zaprojektowane są ku wygodzie podróżnych. [...] Gdy pomyliłem shinkanseny, główną przyczyną zmartwienia moich rozmówców było to, że jakieś moje plany mogą się z tego powodu zawalić. Gdy w Kolejach Mazowieckich pomyliłem stacje, dostałem mandat, choć miałem bilet. Taka sytuacja w japońskich kolejach nie ma możliwości się zdarzyć, nawet jeśli się trafi na jakiegoś złośliwego gbura. [...]

Shinkanseny, czyli słynne japońskie dalekobieżne ekspresy, rzeczywiście się rzadko spóźniają. Ale też shinkanseny jeżdżą po sieci torów niemal odgrodzonej od świata zewnętrznego. [...]

Pozdrawiam z Tokio
Wojciech Tomanik

Od autora

W moim felietonie nie napisałem, że w Japonii pociągi się nie spóźniają.

Napisałem za to, o ileż lepiej – w porównaniu z Polską – traktuje się tam tych klientów, których takie zdarzenia dotykają.

Piotr Gabryel

Panie Redaktorze,

czy nie widzi Pan związku między jakością kolei japońskich i 253 proc. długu publicznego w tym kraju? Czy Japończycy daliby radę zbudować infrastrukturę o takiej jakości, gdyby stosowali polską Stabilizującą Regułę Wydatkową u siebie?

Zgodzi się Pan, że jest przejawem pewnej schizofrenii, gdy z jednej strony chwali się Japonię, a z drugiej sprzeciwia się zadłużaniu przyszłych pokoleń dzisiejszymi decyzjami co do finansów państwa.

Łączę pozdrowienia
S. Ryszard Domański

eprasa.pl cd6a0bf674

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Poobijany jeździec

Karol Modzelewski (1937–2019)

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI/FORUM

Stał się symbolem lewicy, ale nigdy zmysłu ani talentu polityka nie miał. Kochał za to świat nauki. Miał sprawne pióro historyka. 28 kwietnia, w wieku 81 lat, zmarł Karol Modzelewski.

Swój tom wspomnień wydany w 2013 r. nazwał: „Zajeździmy kobyłę historii. Wspomnienia poobijanego jeźdźca". Był w tym tytule dystans do samego siebie, ale i do swej życiowej drogi do i od marksizmu. Urodził się w 1937 r. w Moskwie jako syn komunisty z żydowskimi korzeniami. A po wojnie był już synem pierwszego komunistycznego szefa MSZ. Jednak na zdjęciu z dzieciństwa pozuje w ułańskim czaku. Pomieszanie z poplątaniem? Takie było właśnie życiowe dojrzewanie Modzelewskiego. Jako młody chłopak uwierzył w marksizm, ale przeżyciem jego młodości była praktyka na warszawskim Żeraniu w 1956 r. Tam zachwycił się robotnikami szykującymi się do odparcia sowieckich czołgów prących na Warszawę. To poczucie zdrady robotników przez Gomułkę pchnie go do napisania razem z Jackiem Kuroniem w 1964 r. „Listu otwartego do PZPR". Wyrok 3,5 roku więzienia za list uczynił jego autorów najsłynniejszymi więźniami politycznymi w Polsce. Gdy wyszedł, akurat nadszedł Marzec '68 i syn stalinowskiego ministra doskonale pasował władzy do roli inicjatora zajść i ofiary kolejnej odsiadki.

Po zwolnieniu z więzienia w 1971 r. skupił się na karierze naukowej. Wyjechał do Wrocławia, który był znacznie dalej od opozycyjnej polityki niż Warszawa. Nie wszedł jak Kuroń w skład KOR. Jednak gdy było trzeba, wspierał swoim nazwiskiem apele z prośbą do zachodnich komunistów o interwencje w sprawie aresztowanych opozycjonistów. W politykę rzucił się znów po Sierpniu '80. To on wraz z Janem Olszewskim przekonał liderów Solidarności, by trzymali się formuły jednego związku. Przez rok między jesienią 1980 a latem 1981 r. był rzecznikiem Solidarności i studził rozgrzane głowy, prezentując chłodne spojrzenie historyka. Po aresztowaniu w grudniu 1981 r. był w tzw. grupie siódemki – czołówki Solidarności, której komunistyczna władza chciała wytoczyć pokazowy proces. Gdy wyszedł na mocy amnestii w 1986 r., znów wrócił do nauki. Tylko wskutek usilnych namów Barbary Labudy i Władysława Frasyniuka niechętnie wystartował w 1989 r. i został senatorem. Jako jeden z niewielu krytykował plan Balcerowicza. Potem bez powodzenia próbował stworzyć lewicową efemerydę Solidarność Pracy. I to już był schyłek jego kontaktów z polityką. Stanowił raczej żywy symbol dla lewicy, niż był rozgrywającym po lewej stronie.

O wiele ciekawszy był wtedy jako historyk. Jego książka „Barbarzyńska Europa" irytowała mnie w wielu miejscach, ale czytało się ją bardzo dobrze. Zajmował coraz wyższe stanowiska w Polskiej Akademii Nauk.

Politykę dobrej zmiany krytykował ostro i na odlew. W tym sensie nie wyróżniał się spośród naukowców z sercem po lewej stronie. Po 1989 r. lepiej się go czytało, niż słuchało. Wspomniane już „Wyznania poobijanego jeźdźca" były szczerym rozliczeniem z wiary w marksizm. Kategoriami lewicy myślał jednak do końca.

Nigdy nie traktował aktywności publicznej inaczej niż jako wyłącznie służbę idei. I za to teraz po śmierci zbiera głosy szacunku także z prawej strony. ©℗

FOT. REUTERS TV/FORUM

LIDER ISIS ZNÓW GROZI ŚWIATU

Długą wojnę i krwawy odwet zapowiedział w nagraniu opublikowanym w zeszłym tygodniu lider muzułmańskich terrorystów Abu Bakr al-Baghdadi. Szef tzw. Państwa Islamskiego – którego śmierć ogłaszano już kilka razy – pokazał się publicznie pierwszy raz od pięciu lat. – Ataki na Sri Lance to odwet za syryjskie Baghuz, ale na tym nie koniec zemsty. Będziemy walczyć do dnia sądu ostatecznego! – zapowiedział terrorysta w 18-minutowym nagraniu, podkreślając, że walka islamu i jego wyznawców z krzyżowcami będzie długa. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl cd6a0bf674

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Powrót Mykoły

W skromnym repertuarze obelg naszej debaty publicznej gwałtownie wzrosła popularność przymiotnika „moczarowski", względnie „neomoczarowski". Redaktor Sakiewicz przykleja Moczara do Konfederacji, niebezpiecznie (z punktu widzenia PiS) przekraczającej w niektórych sondażach próg wyborczy. Bohaterowie naszego tekstu o „chorobie wściekłych profesorów" głoszą, że był on zainspirowany przez Moczara właśnie i że moczarowcami są autor i redakcja tygodnika. A aktywista fundacji Leszka Balcerowicza FOR nawsadzał od moczarowców Rafałowi Wosiowi za to, że ten z uznaniem wyraził się o socjalnych dokonaniach rządu Beaty Szydło (zresztą po to, by dla kontrastu wyrazić rozczarowanie nią w związku ze strajkiem nauczycieli). „Towarzysz Mietek" staje się dobry na wszystko, na każdą okazję.

„Towarzysz Mietek" staje się dobry na wszystko

Jest tylko pytanie: Czy ktoś poza samymi używającymi tej obelgi i hobbystami od historii najnowszej wie w ogóle, kim był Mieczysław Moczar – czy raczej Mykoła Diomko, bo takie było prawdziwe nazwisko zajadłego komunisty, który dla celów taktycznych sięgnął w pewnym momencie po retorykę narodowo-antysemicką. I w sumie wyszedł na tym źle, bo Breżniew za to „nacjonalne odchylenie" zablokował mu prawie już pewny awans na genseka, stawiając na wierniejszego w ocenie Moskwy Gierka, a po upadku PRL został z tej samej przyczyny wyjęty spod ogólnej amnestii, zarządzonej wobec PZPR przez michnikowszczyznę.

Ta ostatnia od zawsze, gdy chciała kogoś znieważyć, porównywała go z postaciami z marca 1968 r. – zupełnie nie dbając o to, że Kur czy Gontarz to nazwiska zupełnie dziś nic ludziom spoza jej kręgu niemówiące. Można to wytłumaczyć siłą przeżytej przez liderów tej formacji traumy. Jednak nagłe rozszerzenie tego języka na media społecznościowe to charakterystyczny objaw zesklerocienia publicznego sporu. Wygląda na to, że wrzeszczące na siebie strony mniej dbają o skuteczność – wtedy porównywałyby przeciwników do szwarccharakterów z „Gry o tron" czy gier komputerowych – a bardziej po prostu chcą sobie ulżyć.

Moczar to i tak postać bardziej współczesna niż Robespierre, z którym, by nastraszyć naród, porównywał Adam Michnik Kaczyńskiego. Nie okazało się to skuteczne. Wyciąganie z zapomnienia Mykoły Diomki też sukcesu nie da. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Bełkot hunwejbinów

Długi marsz czy też metoda drobnych kroczków. Tak wygląda w Polsce powolna, ale obawiam się, że skuteczna ofensywa środowiska LGBT zmierzająca do wprowadzenia w naszym kraju adopcji dzieci przez pary homoseksualne. Zwolennicy tego rozwiązania nie musieliby nawet zmieniać konstytucji, bo chociaż określa ona małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny, ale nie uściśla w ten sposób rodziny.

Marsz w tym kierunku zapowiedział już w marcu Paweł Rabiej, wiceprezydent Warszawy – w wywiadzie mówił: „Najpierw wprowadźmy związki partnerskie, potem równość małżeńską, a na koniec przyjdzie czas na adopcję dzieci". W ubiegłym tygodniu wrócił do tematu w rozmowie z „Rzeczpospolitą", mówiąc, że to „daleka droga" i jest co prawda przeciwny, by ten „proces przyspieszać", ale dodał, że w Polsce żyje kilkadziesiąt tysięcy ludzi wychowujących dzieci w takich związkach.

Już blisko 10 lat temu pisaliśmy na łamach starej „Rz", że środowiska LGBT wykorzystują luki w prawie – wystarczy, że matka zrzeknie się prawa do dziecka na rzecz niekoniecznie prawdziwego ojca, który je uznaje, a potem on żyje w związku z innym panem.

Lobby LGBT powoli będzie zmierzać do homoadopcyjnego celu, chyba że światopoglądowi rewolucjoniści nagle uznają, iż inny cel jest dla nich ważniejszy. Jaki? Ano, prawo do zamordowania chorego niesamodzielnego człowieka. Wszak zaledwie kilka dni temu Robert Biedroń, ikona LGBT, dał jasno do zrozumienia, że jest zwolennikiem wprowadzenia w Polsce eutanazji. Były słupski prezydent najwyraźniej nie wziął pod uwagę, że zanim – jeżeli w ogóle – takie zmiany w polskim prawie nastąpią, on sam może już zacząć być odbierany przez bliskich jako bełkoczący staruszek. ©℗

eprasa.pl cd6a0bf674

PIECZEŃ RZYMSKA

O św. Jerzycy i obaleniu heteroseksualizmu

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

Święty Jerzy to znakomity żołnierz i męczennik, który zginął za wiarę w 303 r. z rąk Rzymian pod murami Nikomedii (dzisiejszy Izmit w Turcji). Przypisuje mu się zabicie smoka, który terroryzował miasto Silene. Jak wiadomo, św. Jerzy jest patronem Anglii. Co mniej wiadomo, patronuje dalszym 11 państwom, a nawet uzdrowisku w Lądku--Zdroju.

Dla powodów, których możemy się jedynie domyślać (św. Jerzy był typem macho, fanatycznym chrześcijaninem, smok pożerał dziewice – ?), legenda św. Jerzego podpadła postępówkom w Hiszpanii. Nie wiem, dlaczego akurat w Hiszpanii. Tak czy inaczej, aż trzy donny wydały drukiem nowe, postępowe wersje legendy. W pierwszej pt. „Święta Jerzyca" (Santa Jordina) pióra Inés Macpherson smok jest ofiarą okrutnego mężczyzny, który go zakuł w kajdany. Umęczone zwierzę (ginącego gatunku – przyp. P.K.) uratowała św. Jerzyca. W drugiej wersji Lyony Fernandez pt. „Bunt św. Jerzycy" perfidny św. Jerzy ubił ojca bezradnego smoczątka, które wielkodusznie zaadoptowała św. Jerzyca. W trzeciej, stworzonej przez Joanę Brunę, św. Jerzyca walczy zwycięsko nie ze smokiem, lecz z agresywnymi przybyszami z kosmosu.

Legenda św. Jerzego podpadła postępówkom w Hiszpanii. Aż trzy donny wydały drukiem nowe, postępowe wersje legendy. W pierwszej pt. „Święta Jerzyca" smok jest ofiarą okrutnego mężczyzny

To naturalnie nieszkodliwy i tyle śmieszny co głupawy przykład przefiltrowania starych mitów przez umysł postępowy i politycznie poprawny. Jednak mam w zanadrzu i specjalnie zostawiłem na deser kretyństwo rozmiarów imponujących. Proszę zapiąć pasy.

Federico Zappino, super-postępowy filozof, który zajmuje się tworzeniem teorii genderowych, właśnie popełnił dzieło pt. „Queerkomunizm. Zapiski o obaleniu heteroseksualizmu". Czytamy tam między innymi: „Musimy uderzyć w korzenie heteroseksualizmu. Heteroseksualizm nie jest przeciwieństwem homoseksualizmu. Jest przeciwieństwem równości społecznej. Heteroseksualizm prowadzi do nierówności kulturowej, politycznej i płciowej". Po prostu trzeba heteroseksualizm obalić i zakazać go. Niezłe, co? ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

#BananowyProtest

Gdyby istniała nagroda za najabsurdalniejszy protest opozycji, palmę pierwszeństwa zgarnąłby... banan. Symbol opresji PiS-owskiego reżimu, który alergicznie reaguje na wielką sztukę współczesną. „Na proteście przeciwko cenzurze sztuki przed Muzeum Narodowym w Warszawie ludzie jedzą banany po tym, jak praca ukazująca kobietę jedzącą banana została usunięta z muzeum. Powietrze pachnie bananami" – relacjonowała Annabelle Chapman, zagraniczna korespondentka „The Economist".

„To jest nasza wolność słowa, zgromadzeń czy wyznania. Także wolność wypowiedzi artystów. Gdy jest zagrożona, to trzeba głośno protestować. #BananowyProtest" – tweetnęła Kamila Gasiuk-Pihowicz, dołączając zdjęcie, na którym rozdaje ludziom banany.

Pojawiły się również intrygujące teorie spiskowe. „Mózg do prawidłowego funkcjonowania potrzebuje m.in. witaminę B. Kiedy popatrzymy na jej dużą zawartość w bananach, to cenzurowanie tych owoców przez władzę #PiS przed wyborami staje się oczywiste. Chodzi o efekt synergii z obrzydliwą propagandą" – stwierdził Mirosław Suchoń z Nowoczesnej. „Wydrukować, zachować, wiele lat będzie cieszyć" – dodał Piotr Semka.

Pech chciał, że zanim wszyscy celebryci zdążyli zrobić sobie zdjęcie z zakazanym owocem, problem sam się rozwiązał. „Koniec »afery bananowej«. Dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie przywraca na ocenzurowaną wystawę prace Natalii LL i K. Kozyry. Tłumaczy, że była to zwykła zmiana aranżacji, a stwierdzenie o cenzurze jest nieuprawnione" – poinformował Jacek Czarnecki.

Ojców sukcesu nie trzeba było szukać. Pojawili się sami. „#PresjaMaSens! #BananowyProtest zmienił decyzję zawistnej i pruderyjnej władzy, zanim się na dobre rozpoczął. PiS i jego klakierzy czyhają na nasze wolności i prawa. Pamiętajmy, że #Konstytucja gwarantuje wolność twórczości artystycznej oraz dostęp do dóbr kultury!" – ogłosił triumfalnie Michał Szczerba.

„Dawniej, by o tobie mówili, trzeba było coś w życiu osiągnąć. Dziś wystarczy sobie zrobić selfie z bananem" – podsumował całą sprawę gorzko Michał Szułdrzyński. ©℗

eprasa.pl cd6a0bf674

FOT. GETTY IMAGES

Powstanie w Wenezueli

Prezydent Nicolás Maduro ogłosił w zeszłym tygodniu zwycięstwo w starciu z liderem opozycji Juanem Guaidó – którego ponad 50 krajów na świecie oficjalnie uznało za przejściowego lidera w Wenezueli. Maduro oskarżył swego przeciwnika o próbę zbrojnego puczu i zapowiedział surowe ukaranie sympatyków opozycji.

Tylko 30 kwietnia w starciach między protestującymi a siłami bezpieczeństwa rannych zostało ponad sto osób.

Szef amerykańskiej dyplomacji ogłosił, że prezydent kraju Nicolás Maduro – nadal popierany przez Rosję oraz Chiny – planował ucieczkę do Hawany. Do zmiany decyzji miały go jednak nakłonić władze w Moskwie.

©℗ ***(jap)***

„CZARNYM PTASIOREM" W ANTYPOLONIZM?

„Czarny ptasior", książka Joanny Siedleckiej demaskująca oszustwo Jerzego Kosińskiego, autora „Malowanego ptaka", została wydana w języku angielskim i trafiła na rynek amerykański. Wydanie zbiegło się w czasie z informacją o powstaniu hollywoodzkiej produkcji, powielającej antypolskie stereotypy. Czy tłumaczenie książki Joanny Siedleckiej pomoże je odkłamać?

„Malowany ptak" Jerzego Kosińskiego to powieść, która w USA zrobiła prawdziwą furorę. Historia Zagłady i polskich chłopów-antysemitów prześladujących żydowskiego chłopca trafiła na podatny grunt. Szczególnie że, co sugerował sam autor, miała być oparta na motywach autobiograficznych. Problem w tym, że była to całkowita fikcja, a Kosiński w rzeczywistości został uratowany przez polskich chłopów i katolickiego księdza. Sprawę opisuje m.in. „Czarny ptasior" Joanny Siedleckiej. Po latach, staraniem Instytutu Książki, w ramach akcji Copyright Poland, publikacja została przetłumaczona na język angielski, trafiła na rynek amerykański. ***(ph)*** ©℗

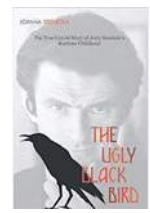

REKLAMA

www.muzeum1939.pl

Nagroda imienia
ppłk. Jana Kowalewskiego

ROZUM PRZED SIŁĄ

NAGRODA IMIENIA
ppłk. JANA KOWALEWSKIEGO

EDYCJA I, 2019

Zgłoś swojego kandydata do
Nagrody im. ppłk. Jana Kowalewskiego

Zgłoszenia przyjmowane są do 1 czerwca 2019 r.
Więcej informacji, regulamin oraz formularz
zgłoszeniowy dostępne na stronie:
muzeum1939.pl/nagroda_kowalewskiego
nagrodakowalewskiego@muzeum1939.pl

Muzeum II Wojny Światowej
80 ROCZNICA WYBUCHU II WOJNY ŚWIATOWEJ 1939–2019
POLITECHNIKA GDAŃSKA

KONKURS POD PATRONATEM

Rzeczpospolita Polska Ministerstwo Spraw Zagranicznych
Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

eprasa.pl cd6a0bf674

FOT. GETTY IMAGES

eprasa.pl cd6a0bf674

NIEZWYKŁA ZMIANA NA CHRYZANTEMOWYM TRONIE

To była pierwsza taka ceremonia od ponad 200 lat. 85-letni cesarz Akihito ze względów zdrowotnych zdecydował się opuścić Chryzantemowy Tron. W dniu abdykacji, we wtorek rano, odprawił modły do bogini słońca Amaterasu – to od niej wywodzić się ma najstarsza dynastia świata – a po południu w cesarskim pałacu oficjalnie zakończył rozpoczętą w 1989 r. erę Hesei („pokój wszędzie"). Akihito zachował jednak zaszczytny tytuł Wielkiego Cesarza (Joko).

W środę na tron wstąpił najstarszy syn cesarza, który odziedziczył po nim regalia: święty miecz, cesarskie klejnoty oraz zwierciadło. 59-letni Naruhito, wykształcony na prestiżowym tokijskim uniwersytecie Gakushuin oraz na uniwersytecie oksfordzkim, ogłosił rozpoczęcie nowej ery: Reiwa („piękna harmonia"). Po zakończeniu II wojny światowej cesarza pozbawiono realnego wpływu na politykę i gospodarkę.

Trwająca niecały kwadrans ceremonia abdykacji kosztowała japońskiego podatnika równowartość niemal 600 mln zł. Z okazji rozpoczęcia nowej ery Japończycy dostali aż 10 dni wolnego. Uroczystą paradę upamiętniającą to niezwykłe wydarzenie zaplanowano na październik. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl cd6a0bf674

JAK JA KOCHAM TEATR!

Rafał Maserak, tancerz znany z „Tańca z gwiazdami" i były facet Małgorzaty Foremniak, w show-biznesie miał dotąd raczej łatkę bawidamka i imprezowicza. Głośna była historia imprezy z jego udziałem, która skończyła się sprawą sądową. Sąsiedzi zeznawali, jak Maserak awanturował się o godz. 5 pod ich oknami, krzycząc: „Sk...yny, jeszcze śpicie?". Po przyjeździe policji groził im, że się z nimi policzy, bo jest znany z telewizji. Sypał przy tym licznymi wulgaryzmami. Teraz czytamy, że to wszystko już nieprawda i stare dzieje, bo Maserak przeszedł przemianę! Zdradził „Faktowi", że to zasługa nowej partnerki, z którą spotyka się od czterech lat. „Każdy ma swoją drugą stronę. Jestem w programie, w którym liczy się rozrywka i zarażanie innych pozytywną energią – wyjaśnia. – Przy Gosi w domu jestem inną osobą. Lubię spokój i ciszę, pójść na spacer z moim psem, do teatru czy do kina. Ta druga strona Rafała jest zarezerwowana dla bliskiej mi osoby. Nie jestem ze stali, mam też serce. Mam słabsze dni, kiedy lubię się schować, żeby nikogo przy mnie nie było" – opowiada. Rozumiemy chęć ocieplenia wizerunku, pokazania się z lepszej strony. Każdy celebryta tak robi. Tylko z tym teatrem trochę przesadził. Gdyby został przy kinie, brzmiałoby bardziej wiarygodnie. To tak na przyszłość.

FOT. STUDIO69/FORUM

ZŁOTYCH MYŚLI CIĄG DALSZY

Krystyna Janda znów udzieliła wywiadu i znów skarży się w nim, jak ciężko jej się w ostatnich latach żyje w kraju rządzonym przez znienawidzony PiS. Niemniej w najnowszej rozmowie w „Polityce" pojawia się parę ciekawych i wartych odnotowania wątków. Na przykład ten o nauczycielach. Prowadzący wywiad zapytał bowiem Jandę o jej wcześniejsze wypowiedzi, gdy mówiła, że w Polsce po 1989 r. „jak ktoś chciał, to sobie poradził", a poza tym to „każdy mógł sobie z tą wolnością zrobić, co chciał". Stwierdził, że ludzie chyba tak nie myślą, bo wielu nie dało sobie rady. „Dlatego trzeba pomagać najsłabszym, wykluczonym, chorym, tym, którzy nie dadzą rady. Choćby nauczycielom, od których zależy przyszłość tego narodu, tym, którzy uczą i wychowują nasze dzieci. Selekcja negatywna zaprowadzi donikąd" – odpowiedziała Janda. Czyli co prawda pani Janda uważa, że nauczyciele to nieudacznicy, ale skoro protestują przeciwko PiS, to trzeba im pomóc. Jak to leciało? Boże, strzeż mnie od przyjaciół, z wrogami poradzę sobie sam.

FOT. PAWEŁ GROMADA

BANANOWY PROTEST

Tymczasem w alternatywnej rzeczywistości cała Polska żyje bananami. To znaczy ta światła i lepsza Polska, która protestuje przeciwko zdjęciu wystawy w Muzeum Narodowym. Artyści i autorytety grzmią, że to atak na wolność i cenzurowanie wielkiej sztuki! Owa sztuka to cykl zdjęć pani jedzącej banana. Skojarzenia są dość oczywiste, więc dyrekcja muzeum uznała, że akurat taka sztuka w Muzeum Narodowym wisieć nie musi. No i rozpętało się piekło. Na Facebooku zdjęcia z poparciem dla nauczycieli zastąpiły zdjęcia z bananami. A raczej pokazujące moment konsumpcji tego skądinąd smacznego owocu. Naprędce zorganizowano nawet akcję wspólnego jedzenia bananów przed Muzeum Narodowym! Nie sądziliśmy, że to kiedykolwiek napiszemy, ale zaczynamy tęsknić za czasami, gdy celebryci bronili sędziów, dzików, drzew w puszczy, koni z Janowa, karpi i nauczycieli. Tamte protesty były mimo wszystko... smaczniejsze.

WSZYSTKO PRZEZ TEN MAKIJAŻ!

Magda Gessler wypowiedziała wojnę wszystkim oszczercom, którzy sugerują, że poddała się operacjom plastycznym. Walczy jak lwica na swoim Facebooku i polemizuje z fankami. „Litości, kochani. Czy świat zwariował, czy każe mi potwierdzić coś, czego nie zrobiłam, żeby przytaknąć opinii czarujących dziennikarzy bajkopisarzy? Jak to jest??? Nie zrobiłam żadnej operacji plastycznej! Nie powiększyłam ust, tak jak piszecie!!!" – napisała zdenerwowana celebrytka. Tłumaczy też, że jej wygląd to zasługa wyłącznie dobrego makijażu. „Miło mi, że doceniacie mój makijaż, bo to jego zasługa. To jest prawdziwa magia! Makijaż czyni cuda. Uwierzcie mi. Powiększa usta, zmniejsza nos, modeluje twarz, zmienia każdą kobietę nie do poznania" – wyjaśnia. No tak, skoro to wszystko efekt makijażu, to dlaczego celebrytka nie zmyje tego z twarzy? Zwłaszcza że wszyscy jej mówią, iż nie najlepiej to wygląda. Pewnie jakiś wodoodporny ten makijaż. Tak, to na pewno to. ©℗

eprasa.pl cd6a0bf674

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, w ostatnim czasie dużo mówi się w tym kraju o antysemickich eventach, które polegają na znęcaniu się na różne sposoby nad kukłą przedstawiającą osobo-Judasza. Of kors nie mamy zamiaru polemizować ze stanowiskiem, iż jest to kolejny dowód na antysemityzm, jaki z mlekiem osobomatki wyssali Polacy. Chcielibyśmy zwrócić uwagę na jedną przemilczaną rzecz.

Otósh w kraju, gdzie do tej pory gra się teczkami, Judasz wciąż uważany jest za „zdrajcę". To myślenie, które zupełnie nie przystoi do naszych czasów. Po pierwsze, nie możemy osądzać, bo nie wiemy, jak wtedy było. Po drugie, ówczesne autorytety były z Judasza zadowolone – miał więc nadany swego rodzaju status „człowieka honoru" (dzisiaj powiedzielibyśmy: „osoby honoru").

Obecne szykanowanie pamięci Judasza to efekt właśnie takiego wychowania pokoleń: przez IPN i Kościół. Nic więc dziwnego, że skutki mamy takie, jakie mamy, a cały świat patrzy i nie dowierza, iż podobne rzeczy dzieją się, mimo wszystko, w Europie.

Stanowczo protestujemy przeciwko szkalowaniu obecnej pogody oraz narzucaniu jej tożsamości jesiennej. Naszym zdaniem pogoda ma prawo do samostanowienia. To, że przyzwyczailiśmy się, iż w maju jest zazwyczaj dość ciepło i świeci słońce, nie oznacza, że tak ma być zawsze.

Gdyby majowa pogoda zechciała przynieść śnieg, zamiecie i opady gradu, miałaby do tego prawo i nie nam to oceniać. Tymczasem pogoda przynosi jedynie deszcz i niskie temperatury. My to akceptujemy i nie czynimy uwag, iż „taka pogoda to w listopadzie" albo „brzydka pogoda, taka nie na majówkę".

Oczywiście różne janusze już narzekają, iż nie mogą rozpalać grilla ani jeździć na wycieczki sfinansowane z „500+". Ten porażający antropocentryzm nas bardzo smuci, jesteśmy #muremzapogodą i mamy nadzieję, iż do naszej akcji przyłączą się kolejni celebryci.

My chcemy do Warszawy :(Wyobraźcie sobie, iż Sejmik Województwa Małopolskiego przyjął deklarację „w sprawie sprzeciwu wobec wprowadzenia ideologii LGBT do wspólnot samorządowych".

Niby więc Małopolska, ale jednak Podkarpacie. I jakby ten cały sejmik zapomniał, iż Małopolska to nie tylko Brzesko, Nowy Sącz czy Bochnia, lecz także Kraków – wielki ośrodek skupiający osoby także ze społeczności LGBTQWERTY, czasem nawet przybyłe z zagranicy. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO

REKLAMA

eprasa.pl cd6a0bf674

Jest sukces rządu. Nauczyciele dostali podwyżkę, i to nie byle jaką. W dodatku bez wydania z budżetu nawet złotówki. Chodzi nam o zalecany przez ZNP strajk włoski, który polega na robieniu tylko tego, co się musi, i rezygnacji ze wszystkich zajęć dodatkowych dla uczniów.

Gdzie tu sukces i podwyżka? Już tłumaczymy. Dotąd nauczyciel pracował przez X godzin i dostawał za to Y złotych. Teraz będzie pracował przez X minus ileś tam godzin, z których demonstracyjnie rezygnuje, za te same Y złotych. Czyli de facto wynagradzany będzie lepiej, bo wyjdzie mu droższa roboczogodzina. No to po co takiemu jeszcze jakieś podwyżki? W ten sposób strajk włoski okazuje się strajkiem, który położy kres wszystkim strajkom. Trzeba tylko wytrzymać i na złość PiS-owskiej dyktaturze olewać dzieciaki do końca świata i jeden dzień dłużej.

Mamy w związku z tym złośliwy pomysł. Skoro w wyniku strajku włoskiego nauczyciele już zarabiają lepiej, to może przekierować pieniądze planowane dotąd na przyszłe podwyżki? I przekazać je np. do kuratoriów, które wydałyby je na dodatkowe zajęcia, wycieczki, ćwiczenia itp.? Wynagrodzenie powędrowałoby do tych samych wolontariuszy, którzy pomogli przeprowadzić egzaminy: emerytów, księży, sióstr. W ten sposób można pomóc tym, którym też się nie przelewa.

Tymczasem są w rządzie źli ludzie, którzy nieco żałują, że strajk gogów się zawiesił. Stało się to bowiem w chwili, kiedy do wstrętnej PiS-owskiej dyktatury pielgrzymowali rozmaici zdystansowani od Broniarza związkowcy, by poinformować, że: a) oni już tego bardaku mają dosyć i nie chcą strajkować; b) że zaraz będą efektownie rzucać legitymacjami ZNP i wychodzić, trzaskając drzwiami. Fakty te rzucają nowe światło na decyzję Broniarza o zawieszeniu akcji. Zwłaszcza że wśród tych, którzy chcieli rzucić legitymacjami, była nadreprezentacja dyrektorów szkół.

Skoro w wyniku strajku włoskiego nauczyciele już zarabiają lepiej, to może przekierować pieniądze planowane dotąd na przyszłe podwyżki?

Mamy i wieści z drugiej strony barykady. Wiewiórki rekrutujące się z najbardziej zaciekłych wrogów nieoświeconej dyktatury PiS-owskiej opowiadają, że we wrześniu już się nie dadzą nabrać i Broniarz może sobie strajkować, ale sam. Przyznajemy, chętnie byśmy to zobaczyli. Proponujemy namiot pod kancelarią premiera. Z logo ZNB – Zawsze Niepokorny Broniarz.

Nie chcieliśmy być posądzani o hejt wobec strajkujących, więc specjalnie poczekaliśmy z naszym „the best of Broniarz" do po-strajku. Cytatów z tego myśliciela było wiele, ale wygrały dwa. Rok 2013, okręgowe forum młodych nauczycieli. „Konflikt rodzi postęp, jak mawiają marksiści" – rzecze Broniarz. To nasze miejsce drugie w składance. A teraz miejsce pierwsze. Rok 2008, Gdańsk, Klub Współczesnej Myśli Politycznej (tacy trójmiejscy marksiści spod znaku Róży Luksemburg). „Cóż to znaczy lewicowość w edukacji, skoro sama szkoła, sama edukacja, z natury rzeczy jest lewicowa przez fakt, że jest, że jest powszechna". Numero uno. Dobranoc państwu.

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Z rządu. Chociaż rekonstrukcji do wyborów nie będzie, to kwaśno się tam mówi o minister Teresie od pinendzy. Na przykład jeden ważny polityk PiS stwierdził nieoficjalnie, że „niektórym ministrom się wydaje, że nie są politykami. A przecież są". Ci, którzy się z nim zgadzają, a jest ich legion, mówiąc o minister Czerwińskiej, przypominają losy Anki Streżyńskiej, która stroiła się kiedyś w szaty bezpartyjnego fachowca i wiadomo, jak się to skończyło. A teraz najgorsze. Inny ważny pan z rządu powiedział nam, że „ministrem finansów powinien jednak być polityk". No cóż, to chyba przesądza sprawę.

Najciekawsze jest jednak: „Co dalej?". Wiewiórki rządowe opowiadają, że odejście z rządu minister Teresy będzie miało charakter awansu, żeby nie było siary. Dlatego rozważane są dwa scenariusze: krajowy i zagraniczny. Oba związane z ważnymi funkcjami w sektorze finansowym. I nie, żadna z nich nie ma nic wspólnego z komisarzem unijnym, to akurat duby smalone, opowiadają wiewiórki.

epras.pl cd6a0bf6

Nie zmienia to faktu, że przymiarki do stanowisk w Brukseli trwają. W szczególności duże emocje wywołuje scheda po komisarz Bieńkowskiej (Ładnie to brzmi, prawda? „Komisarz Bieńkowska". Prawie jak „major Bauman"). W grze byli już Konrad Szymański oraz Nieśmiertelny Richard Henry Czarnecki. Teraz na giełdzie pojawiło się nowe nazwisko. Jednak go nie zdradzimy. Możemy natomiast zdradzić imię: Mateusz.

Tymczasem w Eine Totalopposition. Z każdym kolejnym sondażem narasta panika. Sięgnęła zenitu po wywiadzie Junckera, z którego wynikało, że pogodził się on nie tylko ze zwycięstwem PiS w eurowyborach, lecz także jesienią. W związku z tym trwają rozpaczliwe poszukiwania czegokolwiek, co mogłoby skompromitować PiS. W poszukiwaniach biorą udział liczni paparazzi, ze szczególnym uwzględnieniem reprezentacji pewnego mało polskiego tytułu kolorowego.

Cel akcji jest nieco obciachowy. Chodzi o to, by wszędobylskimi teleobiektywami cyknąć fotkę potwierdzającą choć najdrobniejszy romansik w PiS. Jednemu z paparazzich nawet się udało. Z dumą okazał jednej z redakcji fotki prominentnego polityka PiS całującego się namiętnie z piękną nieznajomą. Redakcja była jednak lepiej poinformowana niż paparazzo. Pani okazała się ślubną małżonką polityka. No cholera, jak krew w piach!

À propos plotek towarzyskich. Podobno Kazio Marcinkiewicz, najgładszy premier III RP do czasu Mateusza, poważnie rozważa powrót do rodzinnego Gorzowa Wielkopolskiego. Niewiele nas łączy z tym pięknym miastem, ale wcale mu tego nie życzymy. Z drugiej strony mógłby znowu zostać nauczycielem i zastrajkować przeciw dyktaturze PiS. A to już byłoby coś konkretnego. Bo na kłapanie dziobem w tefauenach już nikt nie zwraca uwagi.

Wracając do eurowyborów. Niedawno wspominaliśmy o kalkulacjach KoŁe (Kołalicji Łeuropejskiej) w Warszawie. Mandaty mają wziąć Stary Cimoszka, Myszka Agresorka i ktoś jeszcze. Może czerwona Danuta Hübner. O brukselskich splendorach marzy też Andrzej Halicki. Usłyszeliśmy jednak od wiewiórek z PeŁo, że w stolicy pojawił się czarny koń: Władysław Teofil Bartoszewski. Moc nazwiska jest bowiem wielka. Jeden z wyborców KoŁe rzekł nawet: „Bartoszewski kandyduje? O, jaka niespodzianka, przecież on tak długo miał kłopoty ze zdrowiem".

Podobno Kazio Marcinkiewicz, najgładszy premier III RP do czasu Mateusza, poważnie rozważa powrót do rodzinnego Gorzowa Wielkopolskiego

Władysław Teofil jest bardzo nieortodoksyjnym kandydatem jak na KoŁe. Marzy nam się w związku z tym wspólne wyborcze spotkanie Halickiego i Bartoszewskiego juniora. Wiemy, jak by wyglądało. Tłum wyje „Kon-sty-tu-cja!". Halicki rzuca: „PiS chce polexitu!". Bartoszewski jr odpowiada: „Bzdura, to propaganda Platformy!". Halicki woła: „Kaczyński to potwór!". Bartoszewski jr: „Bzdura, mój tata mówił, że fajny gość!". I tak dalej, i tym podobne.

Tymczasem u opozycji antysystemowej. Konfederacja siarska usiłuje zrobić sobie kampanię na sugestiach, że Polska jest wykupywana przez Żydów. Tymczasem okazuje się, że jest zupełnie inaczej i to Polacy wykupują Izrael. PGNiG nabył właśnie od Żydów gaz. Zwróćcie uwagę, że jest to wyczyn nie lada, bo sami Izraelczycy utyskiwali od lat „co to za Ziemia Obiecana, jedyny kraj na Bliskim Wschodzie, gdzie nie ma ani ropy ani gazu". Z drugiej strony nie wiemy, czy to nie paliwa na antysemicki dowcip. Coś o tym, że naród wybrany potrafi sprzedać naiwnym coś, czego nie ma. Jesteśmy skołowani.

Skołowani mogą też się czuć wyborcy z Warszawy i Poznania. Dla tych, których uwadze umknął ten fakt: tak, Marek Jurek kandyduje do europarlamentu. Z list kukistów. A gdzie? A w Poznaniu. Jako jedynka. To dobra wiadomość dla Poznania, w sumie pierwsza od dłuższego czasu. Ale odnotujmy, że tym samym mamy Wielką Wymianę Mężów Stanu: Jurek pięć lat temu wziął mandat w Warszawie, a Richard Henry Czarnecki – w Poznaniu. Teraz zamienili się okręgami. Co tam, Polska jest jedna, a Europa jeszcze bardziej.

Na koniec kultura. Mało kto wie, ale niedoszły prezydent RP Tomasz Lis robi sobie nowy lansik. Wydał właśnie książkę: „Umrzeć za Gdańsk. 12 rozmów o Pawle Adamowiczu, wolności i magii Gdańska". O tym, że Lis jest hieną roku, wiemy od roku 2015, kiedy SDP przyznało mu ten piękny tytuł. Teraz okazuje się, że jest także hieną cmentarną. ©℗

eprasa.pl cd6a0bf674

Gra o najwyższą stawkę

Marcin Makowski

Czy ustawa JUST Act 447 przyczyni się do przekazywania majątku ze sprzedaży pożydowskiego mienia bezdziedzicznego tamtejszym organizacjom pozarządowym? A może strach przed 447 wyolbrzymiono do celów politycznych?

Na obydwu wybrzeżach USA 1 kwietnia odbyły się skąpane w biało-czerwonych flagach protesty Polonii. Cel? Sprzeciw wobec amerykańskiej ustawy JUST Act 447. W samym Chicago przy Daley Plaza zgromadziło się ponad 500 manifestantów z transparentami nawołującymi Kongres do wycofania się z „niekonstytucyjnego i bezprawnego" dokumentu. Padały hasła o uległości polskiego rządu, w Nowym Jorku mówiono o „przemyśle Holokaustu" i konieczności zachowania „twardej postawy wobec roszczeń żydowskich". Na 11 maja stowarzyszenie Marsz Niepodległości zapowiedziało marsz w stolicy pod hasłem #STOP447. Trudno się dziwić. Groźba „odzyskiwania" majątku bezspadkowego i transferowania funduszy na konta żydowskich organizacji trzeciego sektora nie tylko na prawicy zapala lampkę ostrzegawczą. U niektórych świeci się ona jednak mocniej.

W portalu YouTube pod hasłem „447", jest cała playlista produkcji reklamowanych grafikami z Donaldem Trumpem w otoczeniu żydowskich lobbystów. Jeden z youtuberów o pseudonimie Komentator w wieloodcinkowej serii wideoblogów nagrywanych pomiędzy produkcjami o „rasach kosmitów odwiedzających Ziemię" i „rodach Iluminatów" ostrzega: „Polska zbankrutuje – PiS OSZUKUJE". Jak twierdzi, gdy krajowa opinia publiczna śpi, za jej plecami trwają „tajne rokowania rządu PiS i USA o roszczenia i pieniądze od Polski z JUST Act 447". Podobnych radykalnych głosów, ale płynących już z wnętrza polskiej polityki, jest więcej.

Paweł Wyrzykowski, lider partii Wolność w okręgu siedlecko-ostrołęckim: „Filozofia polityczna PiS: na złość Putinowi, sprzedać Polskę Żydowi". I dalej: „Z ostatniej chwili. Mosbacher w Polskim Radiu 24: ustawa 447 Justice Act będzie gotowa jesienią. Czyli dokumenty p. Michalkiewicza są prawdziwe! Po wyborach do Sejmu czekają nas roszczenia i jeśli PiS będzie rządzić samodzielnie, to Polski już nie ma, będzie Polin".

Sławomir Mentzen, wiceprezes partii Janusza Korwin-Mikkego: „Żydzi założą Polakom chomąto i będą nimi uprawiać pole". Tomasz Rzymkowski, poseł, zdjęcie z lotniska. „Lot do USA. Cel: przekazanie sprzeciwu Kukiz'15 wobec S.447 JUST, zgodnie z polską racją stanu". Maciej Maciejowski, wiceprezes stowarzyszenia Skuteczni: „Znamy numer listy PiS. To lista 447". Poseł Jacek Wilk: „Jeśli Konfederacja to »pożyteczni idioci Moskwy«, to PiS to pożyteczni idioci Izraela i USA".

W zależności od środowiska reakcje i strategie komentowania kontrowersyjnej ustawy są różne. „Najlepszym sposobem naprawienia błędu Kongresu Stanów Zjednoczonych jest droga prawna, a nie uliczne protesty" – napisał w swoim liście prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej Frank Spula. Według portalu wPolityce.pl poinformował, że „polonijna organizacja pracuje nad rezolucją w formie poprawki, która miałaby usunąć Polskę z listy krajów wymienionych w ustawie 447".

Protest przeciwko ustawie 447 w Chicago

FOT. FOTEX/FORUM

ANATOMIA JUST ACT

Powyższe cytaty, poza wyraźną krytyką dokumentu, mają jeszcze jedną rzecz wspólną: uproszczenia i wynikające z nich błędy merytoryczne. Nie ma czegoś takiego jak Justice Act, ustawa nie wymienia z nazwy żadnego kraju, obecnie nie da się

eprasa.pl cd6a0bf674

jej zmienić, a zgodnie z prawem międzynarodowym nie ma żadnej mocy sprawczej na terytorium Rzeczypospolitej.

Justice for Uncompensated Survivors Today Act, bo tak brzmi pełna nazwa ustawy oznaczonej przez senat numerem 447, można przetłumaczyć jako „sprawiedliwość dla ofiar, którym nie zadośćuczyniono". Aby dokument mógł wejść w życie, po jego zgłoszeniu w senacie w grudniu 2017 r., 9 maja ubiegłego roku swój podpis złożył na nim prezydent Donald Trump, a miesiąc wcześniej przez aklamację (pomimo początkowych protestów kongreswoman Ileany Ros-Lehtinen z Florydy, która twierdziła, że prawo jest za mało restrykcyjne) zaaprobowała Izba Reprezentantów.

Z perspektywy Polski w JUST Act niepokojąca jest nie tyle zapowiedź konieczności zwrotu wszelkich nieruchomości (lub ekwiwalentu pieniężnego) utraconych w wyniku Holokaustu oraz nacjonalizacji po II wojnie światowej – bo proces rozpatrywania prywatnych roszczeń, przy świadomości patologii dzikiej reprywatyzacji, realizowany jest przecież od dekad – ile zapis dotyczący tzw. własności bezdziedzicznej („heirless property"). JUST Act 447 w podpunkcie trzecim stanowi bowiem, że „w przypadku bezspadkowej własności wymagane jest zabezpieczenie własności lub odszkodowania, by wspomóc ofiary Holokaustu, wesprzeć edukację o Holokauście i inne cele". Kongres nie precyzuje, kto miałby otrzymać takie fundusze. Z wypowiedzi autorów projektu wynika jednak, że miałyby to być „organizacje żydowskie".

– „Minister Jacek Czaputowicz w marcowym exposé sejmowym jednoznacznie odniósł się do JUST Act 447 zaznaczając, że jako część wewnętrznej legislacji amerykańskiej nie rodzi ona żadnych obowiązków dla innych państw - mówi „Do Rzeczy" Maciej Golubiewski, konsul generalny RP w Nowym Jorku.

– Wszystkie cywilizowane państwa od czasów rzymskich przyjęły zasadę, że mienie bezspadkowe przechodzi na rzecz skarbu państwa, tak się dzieje również w Stanach Zjednoczonych – słyszę od innego, wysoko postawionego rozmówcy z kręgów Prawa i Sprawiedliwości.

eprasa.pl cd6a0bf674

Ustawa nakłada na Kongres obowiązek sporządzenia jednorazowego raportu dotyczącego postępu w restytucji mienia pożydowskiego w Europie oraz wskazania możliwości prawnych w celu osiągnięcia wcześniej wspomnianych postulatów jego „odzyskiwania". Następnie Departament Stanu, poprzez coroczne mniej szczegółowe raporty ambasadorów, powinien powrócić do obecnego stanu rzeczy, czyli przesyłania résumé z zakresu przestrzegania praw amerykanów pochodzenia żydowskiego w obrębie kompetencji danej placówki dyplomatycznej.

W tym sensie, pod względem technicznym, rację ma Georgette Mosbacher. – To jednorazowy raport, który ma służyć jedynie poinformowaniu o tym, co kraje zrobiły w sprawie restytucji mienia. Nie mówi o tym, co powinny zrobić ani czego nie zrobiły – stwierdziła w wywiadzie dla Polskiego Radia ambasador USA, zapewniając, że dokument dotyczący Polski ujrzy światło dzienne jesienią tego roku. W dyplomacji, a w przypadku kwestii tak delikatnej i podatnej na lobbing jak JUST Act 447, działania wynikające wprost z dokumentów to jedno, natomiast furtki otwierane przy okazji ich realizacji – drugie. Owe furtki na własne życzenie otworzyliśmy w Polsce szeroko 30 czerwca 2009 r. Gdyby nie podpisana za rządów koalicji PO-PSL Deklaracja terezińska, dzisiaj Stany Zjednoczone nie miałyby żadnej podstawy do wywierania presji na polski rząd.

„SYSTEMOWE DOCHODZENIE ROSZCZEŃ"

To właśnie do realizacji wytycznych autoryzowanych przez 46 państw na konferencji w czeskim Terezinie odwołują się bowiem bezpośrednio autorzy JUST Act. Według Europejskiego Instytutu Dziedzictwa Zagłady, powołanego na mocy deklaracji w celu restytucji majątku żydowskiego, Polska jako jedyne państwo Unii Europejskiej nie stworzyła spójnego prawa umożliwiającego systemowe dochodzenie roszczeń reprywatyzacyjnych na rzecz ofiar Holokaustu, ich rodzin oraz instytucji. Uwagi te kierowano w stronę Warszawy już w kwietniu 2017 r., pół roku przed oficjalną inauguracją prac nad ustawą 447. Chociaż, jak w rozmowie z „Do Rzeczy" twierdzi Sławomir Dębski, szef Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, „deklaracja nie miała mocy prawnej, będąc raczej zbiorem dobrych zasad dotyczących zwrotu mienia ofiar Holokaustu", stanowi dzisiaj dla Kongresu punkt zaczepienia w celu realizacji wytycznych terezińskich. A te stanowią po prostu precyzyjniejszą wersję postulatów, które również dzisiaj bulwersują polską opinię publiczną.

Dokument, sygnowany z ramienia Polski przez ministra Władysława Bartoszewskiego, już dekadę temu wzywał, „by tam, gdzie nie zostało to osiągnięte, podjęto skuteczne działania na rzecz restytucji mienia żydowskiego wspólnotowego i religijnego majątku w drodze restytucji in rem lub rekompensaty" poprzez ułatwienie dochodzenia roszczeń ofiar Holokaustu. Jeśli natomiast nie udało się ustalić spadkobierców, to majątek pożydowski lub odszkodowania mogłyby „służyć jako podstawa do spełnienia potrzeb materialnych znajdujących się w potrzebie ofiar Holokaustu i zapewnienia ciągłej edukacji o Holokauście, jego przyczynach i konsekwencjach".

W Terezinie przygotowano zatem podwaliny pod obecny kryzys i kształt JUST Act 447, zalecając powołanie specjalnych programów narodowych, które zajmowałyby się kwestiami edukacyjnymi, restytucją mienia żydowskiego oraz dalszą współpracą międzynarodową „w celu wypracowania jak najlepszych praktyk w dziedzinie jego zwrotu". Mało tego – sygnatariusze deklaracji mieli również obowiązek katalogować mienie żydowskie na własnym terytorium, z uwzględnieniem dzieł sztuki i dziedzictwa kulturowego, prezentując Europejskiemu Centrum Dziedzictwa Zagłady kompletny raport. Według informacji „Do Rzeczy" tzw. biała księga, zawierająca skrupulatny wykaz własności pożydowskiej, została już opracowana przez polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych, nie ujrzała jednak jeszcze światła dziennego.

– Władysław Bartoszewski został posłany do Terezina nie wiadomo po co przez Radosława Sikorskiego i niekorzystną dla Polski deklarację podpisał. Teraz ambasador USA najpóźniej w październiku będzie musiał przed Kongresem składać sprawozdania, jak poszczególne państwa wywiązują się z tego haraczu – twierdzi publicysta Stanisław Michalkiewicz.

Mój inny rozmówca, doświadczony dyplomata, zapytany o Deklarację terezińską nie kryje emocji: – Niespełna rok po konferencji, 9 czerwca 2010 r., podpisano również szczegółowe wytyczne terezińskie. Udziału w pracach nad nimi odmówiły: Białoruś, Malta i Serbia. Rosja, choć uczestniczyła w pracach zespołu, ostatecznie nie przystąpiła do asygnaty protokołu po negocjacjach. Jeżeli sygnowanie Deklaracji terezińskiej nie było korzystne dla Polski w 2009 r., to było 12 miesięcy na wycofanie się z niej.

– Rząd zachowuje się w tej sprawie racjonalnie, nie ma zagrożeń, że będziemy płacili jakieś środki – mówi wiceminister sprawiedliwości Patryk Jaki. I zaznacza: – Ustawa 447 niestety odnosi się do Deklaracji terezińskiej z 2009 r., którą podpisał rząd PO-PSL. Gdyby tego nie zrobił, 447 nie miałaby na czym bazować.

Przerzucanie odpowiedzialności na Donalda Tuska i Radosława Sikorskiego wielu jednak nie uspokaja, zwłaszcza tych ze środowisk narodowych.

POD CIĘŻAREM LOBBINGU

Na konferencji zwołanej w Sejmie 17 kwietnia Michalkiewicz u boku polityków Konfederacji omówił ujawnioną przez niego notatkę MSZ z 25 października ubiegłego roku. Jak stwierdził, opisuje ona spotkanie ambasadora Jacka Chodorowicza, pełniącego również funkcję pełnomocnika ministra spraw zagranicznych ds. kontaktów z diasporą żydowską, z Thomasem Yazdgerdim – jego amerykańskim odpowiednikiem.

– Naciski na polski rząd ze strony USA polegają na tym, aby stworzyć podstawę

Kukiz z projektem przeciw Ustawie 447

Paweł Kukiz opublikował w ubiegłym tygodniu na Facebooku projekt ustawy „o ochronie własności RP przed roszczeniami dot. mienia bezspadkowego". Projekt ten przewiduje („raz na zawsze" – jak pisze Kukiz) uniemożliwienie wysuwania takich roszczeń, ale zobowiązywałby również do informowania opinii publicznej o wszystkich rozmowach, które na ten temat toczyłyby władze Polski. Zadośćuczynienie takim roszczeniom byłoby też karalne – pozbawieniem wolności na okres od trzech do pięciu lat. Prezentując projekt przepisów, Paweł Kukiz przypomniał jednocześnie, że jego stowarzyszenie wcześniej złożyło w tej samej sprawie projekt uchwały. Rządzący PiS uznał jednak, że taka uchwała miałaby jedynie znaczenie symboliczne i niepotrzebnie „zadrażniałaby sytuację". ©℗ *(luz)*

eprasa.pl cd6a0bf674

Przeciw amerykańskiej Ustawie 447 protestowano podczas Marszu Suwerenności 1 maja w Warszawie

FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

prawną do odzyskiwania mienia bezdziedzicznego, bo na razie jej nie ma – mówi „Do Rzeczy" Stanisław Michalkiewicz. – Dokument, którzy przedstawiłem, pokazuje, że wbrew twierdzeniu rządu toczą się tajne rozmowy między wysłannikiem Departamentu Stanu a naszymi dyplomatami. To drugie takie spotkanie, pierwsze odbyło się w styczniu 2018 r. – dodaje. Według Michalkiewicza na tych spotkaniach Thomas Yazdgerdi zaproponował „mapę drogową", czyli harmonogram miesięczny dotyczący sposobu, w który Polska ma się wywiązać z nieuregulowanych wobec ofiar Holokaustu „należności". Zdaniem publicysty z notatki wynika, że rząd amerykański rozumie, iż PiS nie może przed wyborami wykonać „żadnych czynności publicznych i formalnych", ale rozmowy powinny się toczyć i rząd polski „powinien wykazać znaczący postęp w rozmowach". – A co on rozumie przez postęp? Przejście do fazy rokowań na temat konkretnych kwot pieniężnych. Nie ma wątpliwości, co się tutaj szykuje. Dobra zmiana nie wie, jak się do tego ustosunkować, i ukrywa te fakty, ale one się objawią po jesieni w całej swojej postaci – uważa Michalkiewicz.

O to, jak kontrowersyjne dla Polaków zagadnienie mienia bezdziedzicznego postrzega się w Jerozolimie i Tel Awiwie, pytam ludzi zaangażowanych w dialog polsko-żydowski. – Dla licznych Izraelczyków to nadal niezwykle bolesny temat. Dlaczego z mienia bezspadkowego nie można przeznaczyć funduszy na organizacje żydowskie w Polsce? Wiele cmentarzy jest w fatalnym stanie, gminy żydowskie w Polsce są coraz mniej liczne. Te pieniądze pomogłyby im funkcjonować. Jeśli Polska uważa, że wina leży po stronie Niemiec i to oni powinni płacić, to niech rząd zwróci się do Niemiec o reparacje – twierdzi Lili Haber, przewodnicząca Związku Krakowian w Izraelu.

Politycy polskiego rządu nie kryją irytacji podobnymi argumentami. – Sprawę raz na zawsze załatwiłaby ustawa reprywatyzacyjna, dlatego lobby żydowskie w USA są jej tak przeciwne. Nasz projekt zakłada, że w momencie wejścia w życie ustawy całe mienie, co do którego nie ma pewności odnośnie do prawa do spadku, staje się własnością skarbu państwa. Odszkodowanie można przyznać tylko na zasadach takich, jak dostają kresowiacy. Byłby rok na składanie wniosków w celu otrzymania 20 proc. wartości dobytku w czasie zakończenia II wojny światowej. Tę ustawę blokują Izrael i USA. Wojna o IPN wybuchła w rzeczywistości po to, aby ją zablokować – przekonuje mój informator.

Konsula w Nowym Jorku i wicepremiera oraz ministra nauki i szkolnictwa wyższego, aktywnego w polityce polsko-izraelskiej, pytam wprost: Czy w tych sprawach Amerykanie naciskają na Polskę?

– Przyjęcie Just Act 447 przez USA, nawet jeśli jest to akt prawa krajowego, może być interpretowane jako próba wpływania przy użyciu argumentów moralnych na politykę innych państw. Jest to wiec forma tzw. moral suasion"czyli odwołania się do moralności by wpłynąć bądź zmienić zachowanie danej jednostki – podkreśla Maciej Golubiewski.

– Nie mam wiedzy o zakulisowych negocjacjach z rządem USA w sprawie restytucji mienia pożydowskiego i nigdy bym się na nie jako wicepremier nie zgodził. Niezależnie od tego, że nasz rząd traktuje USA jako oczywistego sojusznika, w sprawie JUST Act 447 nie ulegniemy żadnym naciskom – mówi z kolei Jarosław Gowin.

– Naciski pojawią się zewsząd, włącznie z ambasadą USA. Zresztą naciski te są od dawna, jeśli chodzi o restytucję mienia i inne sprawy. I będą, aż pójdą sprawy w jedną czy w drugą stronę. Tak się przecież uprawia politykę. Nie odpuszcza się nigdy. Stale i wytrwale dąży do swojego – puentuje mieszkający na stałe w USA prof. Marek Chodakiewicz.

BITWA O WIZERUNEK

W całym wielowątkowym zagadnieniu JUST Act 447 jest jeszcze jedna niezwykle istotna kwestia – percepcja tego konfliktu poza granicami Polski. Bez prześledzenia narracji medialno-politycznej prowadzonej wokół restytucji mienia pożydowskiego w USA i Izraelu nie da się bowiem prawidłowo ocenić skali nacisków ani stawki, o którą toczy się gra. A w związku z tym dostosować środków adekwatnych do jej skontrowania. – Większość Izraelczyków nawet nie wie o istnieniu JUST Act 447, nie rozmawia się na co dzień na ten temat – mówi jeden z lokalnych dziennikarzy telewizyjnych.

– Debata na temat restytucji mienia pożydowskiego nie jest mocno widoczna w zagranicznych mediach. Jeśli już ten temat jest podejmowany, to opisuje się go z akcentem na trudności, które spotykają ocalałych z Holokaustu w odzyskiwaniu ich utraconej własności, łącząc z kontrowersjami powstałymi po znowelizowaniu ustawy o IPN – twierdzi w rozmowie z „Do Rzeczy" dr Stanley Bill, dyrektor Programu Studiów Polskich Uniwersytetu w Cambridge, śledzący na bieżąco wizerunek Polski za granicą.

Podobnie na to patrzy dr Daniel Tilles z Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie, twórca popularnego anglojęzycznego portalu Notes from Poland, skierowanego do obcokrajowców mieszkających nad Wisłą: – Temat restytucji rzadko, głównie po jego podpisaniu przez Donalda Trumpa, pojawia się w żydowskich oraz mainstreamowych mediach w USA i Izraelu. Zarówno w Polsce, jak i za granicą w istniejącej debacie kładzie się jednak nacisk na mienie obywateli pochodzenia żydowskiego, co jest mało precyzyjne i wprowadza w błąd, ponieważ problem dotyczy w wielu przypadkach również własności Polaków, którzy mają takie same problemy z odzyskaniem odziedziczonych nieruchomości.

Jarosław Gowin dodaje, że podczas formalnych wizyt w USA i Izraelu w ubiegłym roku „w rozmowach ze środowiskiem amerykańskich Żydów JUST Act był tematem numer jeden", w Izraelu

eprasa.pl cd6a0bf674

natomiast „nikt się tą ustawą ani tematem restytucji mienia nie interesował”. – Nie chcę oceniać motywów środowiska amerykańskich Żydów, natomiast ci zamieszkujący Izrael mają jasny priorytet. Interesują się bezpieczeństwem i stabilnością swojego państwa. Uważam, że w kontaktach z nimi stosunkowo łatwo wypracować porozumienie, i podtrzymuję tezę, którą głoszę od lat, że Polska i Izrael powinny wzajemnie traktować się jako strategicznych sojuszników – przekonuje wicepremier.

Jeden z innych przedstawicieli rządu pragnący zachować anonimowość zauważa jednak, że prawdziwa presja dopiero na Polskę będzie wywierana. – Gra w rzeczywistości toczy się o to, aby w Polsce, podobnie jak np. na Węgrzech, powstał fundusz, z którego opłacano by lokalne inicjatywy żydowskie, dbano o cmentarze, edukowano. Do tego wprost zmierza np. WJRO (World Jewish Restitution Organization). Oni grają o powstanie takiego funduszu, którym mogłyby kierować organizacje trzeciego sektora. A przecież my więcej wydajemy pieniędzy na Żydów niż Czesi czy Słowacy, tylko nie mamy tej polityki skoordynowanej. Sto milionów idzie z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego na żydowskie cmentarze, a nikt o tym na Zachodzie nie słyszał. Dlaczego? – pyta mój rozmówca.

Podpisując w czerwcu 2009 r. deklarację w Terezinie, przygotowano podwaliny pod obecny kryzys i kształt JUST Act 447

Jego intuicję potwierdził niedawno sam skarbnik Światowej Organizacji Restytucji Mienia Żydowskiego – Gideon Tylor. Rozpoczęła ona dużą kampanię wideo #MyPropertyStory. Polega ona na nagrywaniu ocalałych z Holokaustu Żydów, którzy opowiadają o swojej historii i majątku straconym w czasie II wojny światowej w Polsce. Kampania, zupełnie wprost, ma być formą nacisku m.in. na polski rząd. Opisujący cykl nagrań tygodnik „The New York Jewish Week”, przypomniał słowa sekretarza stanu USA Mike’a Pompeo. – Wzywam moich polskich kolegów, aby posunęli się naprzód w ustalaniu przepisów dotyczących zwrotu mienia osobom, które utraciły je w czasach Holokaustu – powiedział Pompeo na niedawnym szczycie bliskowschodnim w Warszawie.

Obserwując, przy jakich naciskach na kongresmanów ze strony organizacji żydowskich w USA rodziła się ustawa 447, naturalna wątpliwość, która przychodzi na myśl, brzmi: Czy to, co robimy jako Polacy w celu odwrócenia jej negatywnych politycznych konsekwencji, jest równie skuteczne? Czy protesty takie jak opisywane na początku artykułu manifestacje Polonii albo odbywające się niedawno pikiety pod konsulatem Izraela w Nowym Jorku pomagają?

JAK SIĘ BRONIĆ?

– Niestety, nie ma w tym myślenia strategicznego, tylko raczej spontaniczność i gniew. Nie ma spójnej narracji, która przekonywałaby Amerykanów, czyli nieprzekonanych. Taką narracją byłoby podkreślanie, że jest dyskryminacją upominać się o mienie tylko obywateli żydowskich, podczas gdy wszyscy, również chrześcijanie polscy, stracili tak wiele pod nazistowskimi Niemcami i sowiecką komuną – ocenia prof. Marek Chodakiewicz, komentując styl polonijnych protestów. Dodaje, że należy się cieszyć z tego, iż do nich dochodzi, ponieważ w taki sposób wiele grup społecznych zabiegało w przeszłości za oceanem o swoje interesy. Jednak sama „ulica” nie wystarczy. – Zbyt często dyplomacja RP jest zagubiona, wręcz wstydzi się takich akcji. A powinna się nimi cieszyć, może publicznie je dezawuować, a po cichu dopingować i wspierać. Taki podział ról. Przydaliby się również lobbyści sprawy polskiej, ale ich właściwie nie ma – wskazuje Chodakiewicz.

– Część środowisk polonijnych wypowiedziała się przeciwko JUST Act 447 poprzez demonstracje publiczne w w kilku miastach USA – mówi konsul Maciej Golubiewski. – Stały się one pretekstem dla niektórych amerykańskich mediów do opublikowania tekstów o rzekomym antysemityzmie Polonii. Na ewentualne konsekwencje tych protestów zwrócił uwagę Kongres Polonii Amerykańskiej i Kluby Gazety Polskiej podkreślając, że tego typu działania środowisk polonijnych mogą wpłynąć na prezentację rzeczywistego stanowiska polskiego rządu w mediach na świecie i mogą osłabić pozycję Polski w negocjacjach bilateralnych z USA np.w obszarze obronności – wskazuje.

Wielu moich rozmówców, pomimo różnic w ocenie JUST Act 447, zgadza się, że na gruncie prawa i historii Polska ma przewagę. Musi jednak prezentować te argumenty pragmatycznie i spójnie.

Podczas okupacji na ziemiach polskich majątki po wymordowanych Żydach przejmowała III Rzesza. Pełna odpowiedzialność za wywłaszczenie obywateli polskich pochodzenia żydowskiego leży więc po stronie III Rzeszy i jej prawnego następcy, Republiki Federalnej Niemiec. – W przypadku mienia bezspadkowego pojawia się argument, że państwo polskie czerpało zysk z przejęcia pożydowskich nieruchomości. Patrząc na zdjęcia Warszawy po wojnie, trudno mi sobie wyobrazić, w jaki sposób ta kupa gruzów mogła generować dochody. To instrument politycznego nacisku. Gdyby były podstawy prawne, to proszę mi wierzyć, że w ciągu ostatnich 20, 30 lat ktoś by z nich skorzystał – twierdzi Sławomir Dębski.

Jest jeszcze jeden, być może kluczowy dokument, czyli podpisana w 1960 r. pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a PRL ustawa indemnizacyjna. Na jej mocy ówczesny polski rząd wypłacił Kongresowi odszkodowanie za znacjonalizowane mienie obywateli USA, które z kolei przejęły wszelkie późniejsze roszczenia Amerykanów pod adresem strony polskiej.

– Pamiętajmy, że prawo nie może nikogo redyskryminować. Wprawdzie obywatele polscy pochodzenia żydowskiego stanowili największą grupę ofiar II wojny na naszych ziemiach, ale nie byli jedynymi, którzy utracili życie i pozostawili po sobie majątki. To są miliony ludzi. Z tego tytułu trudno znaleźć jakiekolwiek kryterium poza ustawami norymberskimi, pozwalające różnicować obywateli państwa polskiego na Żydów i nie-Żydów – dodaje mój inny rozmówca, ekspert ds. prawa międzynarodowego, zwracający uwagę, że mienie pożydowskie stanowi od ok. 15 do 20 proc. całego majątku, który został po wojnie znacjonalizowany.

Terminy określone w polskim prawie na zgłaszanie roszczeń restytucyjnych dawno upłynęły. W przypadku mienia zabużańskiego nastąpiło to 31 grudnia 2008 r., a w przypadku mienia opuszczonego po II wojnie światowej – 31 grudnia 1955 r. Czy pomimo tego rząd Polski ugnie się pod naciskiem USA oraz Izraela i podda się lobbingowi? Z perspektywy maratonu wyborczego kwestia ta bez jednoznacznego stanowiska popartego konkretnymi działaniami będzie z dnia na dzień nabierała wagi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd6a0bf674

Piotr Włoczyk

Przedstawianie faryzeuszy w pozytywnym świetle, setki milionów z budżetu państwa na walkę z antysemityzmem, zamknięcie Radia Maryja – m.in. takie kroki proponuje Europejski Kongres Żydów

Bat na antysemitów

Jezus i faryzeusze: ponowna ocena interdyscyplinarna" – to tytuł konferencji współorganizowanej przez Papieski Instytut Biblijny, której druga część odbędzie się w tym tygodniu w Watykanie. Jak pisze John L. Allen Jr., amerykański watykanista pracujący dla katolickiego portalu Cruxnow.com, celem konferencji ma być „uwidocznienie uprzedzeń wobec faryzeuszy – starożytnych poprzedników rabinów".

Ojciec Etienne Vetö, dyrektor Centrum Studiów Judaistycznych Papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego, tłumacząc powód zwołania tego spotkania, podkreślił związek między negatywnymi stereotypami narosłymi wokół faryzeuszy a dzisiejszym antysemityzmem.

„Kiedy słyszymy w kościołach negatywne komentarze na temat faryzeuszy, zazwyczaj mówimy po prostu »Amen«. Nasze uszy nie są wyczulone na uprzedzenia" – tłumaczy prof. Amy-Jill Levine, jedna z organizatorek konferencji, równocześnie ekspertka reprezentująca stronę żydowską. Jej zdaniem dużym problemem jest to, że w Ewangeliach faryzeusze przedstawiani są generalnie jako... przeciwnicy Jezusa. Profesor Levine pracuje na Vanderbilt University i specjalizuje się w Nowym Testamencie.

Co ważne, prof. Levine jest współredaktorką „Adnotowanego Nowego Testamentu Żydowskiego", czyli Nowego Testamentu z przypisami przygotowanymi przez 70 żydowskich naukowców, które mają przedstawiać judaistyczne spojrzenie na NT. Profesor Levine wręczyła pod koniec marca egzemplarz tej ponad 800-stronicowej księgi papieżowi Franciszkowi.

REHABILITACJA FARYZEUSZY

Jak wprost zauważa John L. Allen Jr., żydowscy naukowcy, którzy uczestniczą w konferencji, chcą doprowadzić do „zrehabilitowania" faryzeuszy przez Kościół katolicki. Co ciekawe, sam papież Franciszek, który ma przyjąć uczestników konferencji na prywatnej audiencji, wielokrotnie używał odniesień do faryzeuszy i faryzejskości, by uwidocznić w ten sposób różnicę między katolicyzmem „sztywnym", „skostniałym" a katolicyzmem „otwartym". Słowo „faryzeusz" w ustach głowy Kościoła ma tu więc zdecydowanie negatywny wydźwięk.

Chociaż dla wielu chrześcijan kampania na rzecz „zrehabilitowania" faryzeuszy może brzmieć kompletnie niedorzecznie, to – zdaniem żydowskich specjalistów ds. walki z antysemityzmem – ma to być jedno z ważniejszych narzędzi służących do wyeliminowania rzekomo głęboko zakorzenionej w chrześcijaństwie nienawiści względem Żydów.

W ten sposób realizowany jest w praktyce oficjalny program mający na celu wykorzenienie antysemityzmu „w ciągu kilku najbliższych pokoleń", który został przedstawiony w zeszłym roku przez Europejski Kongres Żydów (EKŻ). Warto się przyjrzeć bliżej temu dokumentowi, ponieważ zmiana wizerunku faryzeusza wcale nie jest tu najbardziej kontrowersyjnym postulatem.

MONITORING NIENAWIŚCI

Katalog rekomendacji przedstawionych przez EKŻ nazwany został ambitnie „Koniec z antysemityzmem!". Autorzy zawieszają sobie poprzeczkę niezwykle wysoko, argumentując, że całkowite wyeliminowanie uprzedzeń względem Żydów to nie kwestia „czy", tylko „kiedy". Rekomendacje są owocem wielkiej konferencji w sprawie walki z antysemityzmem, która odbyła się w Wiedniu w lutym zeszłego roku. Jej organizatorami były EKŻ, New York University, Tel Aviv University oraz University of Vienna.

Powagi całej inicjatywie dodaje bez wątpienia zamieszczone na początku raportu przesłanie Franciszka skierowane do uczestników konferencji, w którym papież podkreślił – wielokrotnie powtarzany przez kolejne głowy Kościoła – sprzeciw wobec postaw jawnie antysemickich.

W przedmowie przewodniczący Europejskiego Kongresu Żydów Mosze Kantor alarmuje, że „nacjonaliści" już są u władzy w „niektórych państwach". Nie wspomina tu o Polsce, natomiast na celownik bierze Niemcy (za obecność w parlamencie AfD), Węgry, (za działalność Jobbiku), a także Austrię. Co ciekawe – to właśnie austriacki rząd był sponsorem publikacji EKŻ.

eprasa.pl cd6a0bf674

Austrii dostało się od Kantora za to, że Wolnościowa Partia Austrii (FPÖ) została dopuszczona do współrządzenia krajem. Jak podkreśla Kantor, EKŻ od dłuższego czasu „zgłasza sprzeciw wobec obecnej sytuacji politycznej w Austrii".

„Wzrost antysemityzmu to jedno z głównych wyzwań dla bezpieczeństwa w naszych czasach – pisze szef EKŻ. I tłumaczy, kim są, jego zdaniem, ofiary tego zjawiska. – Równocześnie jest to atak na najbardziej godną zaufania, przestrzegającą prawa, aktywną cześć społeczeństwa".

Wprawdzie rozdział o walce z antysemityzmem w szeregach chrześcijan umieszczony jest pod koniec publikacji EKŻ, ale warto omówić go w pierwszej kolejności, ponieważ wzbudza chyba największe kontrowersje. Pojawia się w nim też kwestia jednego z najbardziej znanych polskich mediów katolickich.

„Koniec z antysemityzmem!" przeciwstawia papieża Franciszka (który został tu uznany za „przyjaciela Żydów") Radiu Maryja. Twórcy wytycznych powołują się na opublikowany w 2008 r. raport amerykańskiego Departamentu Stanu na temat antysemityzmu na świecie, w którym polska rozgłośnia została uznana za „jedno z najbardziej antysemickich mediów w Europie". Autorzy publikacji EKŻ wprost piszą w rekomendacjach, że Radio Maryja powinno zostać rozwiązane.

Poza tym należy – co widać już choćby po watykańskiej konferencji w sprawie faryzeuszy – prześwietlić Nowy Testament pod kątem treści antysemickich.

„Zaczynając od Nowego Testamentu, boskie objawienie manifestuje swą obecność w chrześcijańskich świętych tekstach, które przybierają również formę nienawiści" – możemy przeczytać w publikacji EKŻ. Jak dalej twierdzą autorzy, to ziarno nienawiści stworzyło tradycję antysemityzmu, która z kolei umożliwiła dokonywanie zbrodni na Żydach, co ostatecznie przybrało najstraszniejszą formę podczas Holokaustu. Nietrudno dopatrzyć się tu przekazu upatrującego w chrześcijaństwie korzenia całego zła. Zapewne nieprzypadkowo raport posługuje się zbitką słów „chrześcijański antysemityzm".

Publikacja EKŻ postuluje, by program nauki religii chrześcijańskiej oraz podręczniki powstawały przy udziale specjalistów od judaizmu, a także ekspertów od antysemityzmu, by usunąć wszelki przekaz, który potencjalnie mógłby napędzać antysemityzm. Stosunek do faryzeuszy ma być – jak można wywnioskować z raportu – wyznacznikiem poziomu antysemityzmu. Co ciekawe, autorzy rekomendacji wskazują, by bardzo ostrożnie dostosowywać w tym kontekście przekaz do wieku uczniów. „Polemiki z Nowego Testamentu wymierzone w faryzeuszy powinny być dyskutowane tylko ze starszymi uczniami" – czytamy w „Koniec z antysemityzmem!". Eksperci EKŻ uważają, że młodszym dzieciom, uczącym się w szkołach podstawowych, powinno się tłumaczyć, że „faryzeusze i Jezus często się nie zgadzali, ale generalnie utrzymywali dobre relacje".

EKŻ postuluje, by program nauki religii chrześcijańskiej oraz podręczniki powstawały przy udziale ekspertów od judaizmu

Autorzy publikacji mocno podkreślają, że nie wolno pozwolić, by w głowach uczniów zaistniało połączenie konfliktów na linii faryzeusze–Jezus z ukrzyżowaniem. I tu dochodzimy do bodaj najbardziej zastanawiającej rekomendacji ekspertów EKŻ: „Zamiast tego należy wskazywać na Poncjusza Piłata jako na winnego ukrzyżowania Jezusa". Śmierć

eprasa.pl cd6a0bf674

Mosze Kantor, szef Europejskiego Kongresu Żydów, podczas konferencji w czeskiej Pradze w 2015 r.

FOT. MICHAŁ KAMARYT/CTK/PAP

Jezusa na krzyżu była więc – w tej wersji historii – efektem działań Rzymian, od których należy odseparować Żydów.

Na tym tle pomysł, by do kolejnych wydań Nowego Testamentu dodawane były specjalne komentarze, informujące o antysemickich treściach, nie brzmi już tak kontrowersyjnie.

Widać, że kluczem do walki z antysemityzmem ma tu być odpowiedni rodzaj edukacji.

„Chrześcijańscy i muzułmańscy wykładowcy, nauczyciele religii oraz duchowni muszą być nauczani na temat antysemickich elementów w ich dziedzictwie – czytamy w publikacji EKŻ. – [...] Chrześcijańscy i muzułmańscy duchowni, a także nauczyciele religii powinni następnie uczyć w swoich parafiach i szkołach tego, czego nauczyli się na temat antysemityzmu".

Żadnej polityki nie da się oczywiście realizować bez odpowiednich środków, więc specjaliści ds. walki z antysemityzmem rekomendują, by organizacje religijne na całym świecie przeznaczały na ten cel 1 proc. swojego budżetu.

WIĘCEJ NIŻ NA IPN

Tutaj dochodzimy do postulatów finansowych, które EKŻ stawia przed wszystkimi państwami świata. Otóż każdy kraj powinien co roku wydawać na walkę z antysemityzmem co najmniej 0,02 proc. swojego PKB. W przypadku Polski byłoby to ok. 400 mln zł, czyli nieco więcej, niż wynosi roczny budżet IPN. Najlepiej też, by mechanizmy służące zwalczaniu tego zjawiska były zapisane w konstytucji.

Ponadto „w zależności od wielkości, każdy kraj potrzebuje przynajmniej jednego, jeżeli nie więcej, niezależnego instytutu zajmującego się badaniem antysemityzmu". Wszystkie państwa świata, a także organizacje międzynarodowe powinny również wyznaczyć specjalnych urzędników do walki z tym zjawiskiem. Mało tego, systemy edukacyjne powinny zostać poddane zmianom, by uwzględniały nauczanie o żydowskiej historii, kulturze i religii (a także o samym antysemityzmie) od poziomu przedszkola aż do uniwersytetów.

Jak szeroka jest w tej wykładni definicja antysemityzmu? Bardzo szeroka, ponieważ, zdaniem autorów raportu, obowiązkiem wszystkich powinno się również stać zwalczanie prób bojkotu ekonomicznego państwa Izrael i nakładania na nie sankcji za politykę wobec Palestyńczyków. Ponadto „Izrael powinien być chwalony jako jedyny kraj na Bliskim Wschodzie, który zdołał zbudować działające społeczeństwo multikulturalne".

Wszelkie porównania Strefy Gazy do getta należy w tym kontekście uznać za antysemityzm, ponieważ – jak twierdzą twórcy rekomendacji – antysemityzmem jest również porównywanie polityki Izraela do polityki prowadzonej przez nazistów.

Postulat przeznaczania 1 proc. budżetu na przeciwdziałanie antysemityzmowi nie dotyczy jedynie wspólnot religijnych. Autorzy raportu twierdzą, że każda „grupa, organizacja i instytucja" powinny wydawać rocznie 1 proc. swojego budżetu, by walczyć z antysemityzmem w „ramach własnego kontekstu".

W tej narracji antysemityzm jest jednym z największych zagrożeń dla bezpieczeństwa na świecie, więc twórcy koncepcji walki z tym zjawiskiem szczególną rolę przyznają przedstawicielom elit społecznych, którzy mają za zadanie niezwłoczne protestowanie przeciw „wszelkim przejawom antysemityzmu" w możliwie najgłośniejszy i najbardziej widoczny sposób.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd6a0bf674

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Parlament Europejski uchwalił rezolucję, według której działalność środowisk pro-life i sprzeciw wobec przywilejów LGBT to zachowania godzące w prawa człowieka. Wezwał również Komisję Europejską do działań na rzecz postulatów organizacji feministycznych i ideologii gender...

RYSZARD CZARNECKI: „Ostatnie podrygi zdychającej ostrygi" – mówią niektórzy złośliwcy. Chciałoby się tę sytuację skomentować prześmiewczo, ale sprawa jest poważna. Od kilku miesięcy obserwujemy próby dopychania kolanem różnych regulacji, rezolucji mających bardzo jednoznaczny lewicowo-liberalny charakter ideologiczny. Te gwałtowne wysiłki, aby przed wyborami europejskimi 26 maja tę „wajchę" w PE w Brukseli i Strasburgu przesunąć jak najbardziej w lewo, mogą i śmieszyć, i irytować, ale to w zasadzie, w wymiarze politycznym, dobra wiadomość. Dobra, ponieważ oznacza, że liberałowie i lewica, uchwalając dziś bardzo zideologizowane rezolucje i korygując dyrektywy, już wiedzą, że w przyszłym europarlamencie będzie im znacznie trudniej pozyskać większość pozwalającą na przepychanie takich kwestii. I że dla nich to ostatni moment, by takie rewolucyjne, lewackie historie wymuszać na Parlamencie Europejskim. Po majowych wyborach będzie im już dużo trudniej.

Rezolucja jest tylko aktem woli, a nie obowiązującym prawem. Nie obawia się pan, że jeśli jednak wybory do PE nie potwierdzą przypuszczeń, że Europa skręca w prawo, to za chwilę może się okazać, iż na bazie rezolucji ktoś przygotuje zmiany pozwalające na ściganie oponentów LGBT w ramach np. walki o rzeczone prawa człowieka?

Formalnie te sprawy są oczywiście w gestii krajów członkowskich UE, więc teoretycznie nie powinniśmy się obawiać, że dojdzie do opisanej przez pana sytuacji. Z drugiej jednak strony pamiętamy, że polityka imigracyjna też była do niedawna formalnie w gestii poszczególnych państw, po czym jednak się okazało, że decyzje zapadają na forum całej UE. Czyli pojawiła się niepokojąca praktyka, że w trakcie gry zmieniamy obowiązujące reguły. Na szczęście Polska wymusiła

FOT. ANNA ABAKO/EAST NEWS

praktyczne prawo weta przez państwo członkowskie. Niestety, tak jak wspomniałem, obserwujemy pewną tendencję do terroryzowania przez chwilową większość chwilowej mniejszości w Parlamencie Europejskim – zwłaszcza, choć nie tylko, w sprawach natury obyczajowej, moralnej i ideologicznej.

Frans Timmermans zaangażował się w kampanię wyborczą w Polsce. Wspiera m.in. kampanię Włodzimierza Cimoszewicza, wcześniej Roberta Biedronia.

To złamanie uchwalanych przez samą Unię reguł gry. To złamanie unijnego prawa, bo Timmermans nie wziął urlopu na przyjazd do Polski – a sprawdziłem to skrupulatnie – jako pierwszy wiceprzewodniczący Komisji Europejskiej. Uczynił inaczej niż nasz sąsiad, też wiceprzewodniczący Komisji Europejskiej, Maroš Šefčovič, który kandydując na prezydenta Słowacji, urlop wziął. Timmermans jest bezwstydny i nie ma żadnych moralnych hamulców. Realizując swoją partyjniacką politykę jako kandydat socjalistów na szefa KE, narusza suwerenność naszego kraju. Inna rzecz, że pan Biedroń go zaprasza i dopieszcza, robi to też SLD. Generalnie mamy do czynienia ze strony polityków Koalicji Europejskiej i Wiosny z kontynuacją bardzo niechlubnej karty w polskiej historii tych środowisk politycznych, od średniowiecza do teraz, które przegrywając walkę polityczną w kraju, uciekali się do żebrania o pomoc zewnętrzną na zagranicznych dworach.

A skoro mowa o kwestiach ideologicznych, światopoglądowych, to nie sposób nie zapytać o Warszawę, z której startuje pan do PE. Prezydent miasta podpisał niedawno deklarację LGBT plus, zrobił to przy sporym poparciu części – zwłaszcza młodych – mieszkańców miasta...

Rzeczywiście, fakty są takie, że Warszawa w pierwszej turze wybrała kogoś, kto bardzo jednoznacznie deklarował swój daleko idący lewicowy liberalizm ideologiczny. Wydawało się jednak, że jak wygra z kandydatem PiS, to nie będzie już taktycznie dalej sięgał po głosy lewicy. Okazało się, że Rafał Trzaskowski stał się zakładnikiem lewicowych organizacji i wyborców, stąd podpisanie deklaracji LGBT plus. Wygląda też na to, że był wykonawcą pewnego planu politycznego, wyścigu pomiędzy PO i partią Wiosna Roberta Biedronia o głosy elektoratu skrajnie liberalnego. Kierownictwo Platformy zaś uznało, że podpisanie przez ich prezydenta stolicy deklaracji LGBT plus odbierze polityczny tlen Biedroniowi. Tyle że na tej wojnie domowej środowisk liberalnych i lewackich stracili warszawiacy.

To, co się dzieje obecnie w stolicy, przypomina mi sytuację z Barcelony, gdzie mocno lewicowa burmistrz miasta otoczyła się jeszcze bardziej lewicowymi doradcami, by w tej katolickiej i zwracającej uwagę na tradycyjne wartości Katalonii realizować skrajnie lewicową rewolucję światopoglądową.

A w tej wojnie na światopoglądowej lewicy partia Biedronia ma pana zdaniem szansę stać się alternatywą dla PO? Wiosna zaczęła z impetem, ale ostatnio w sondażach dołuje. W dodatku pojawiły się w mediach kompromitujące Biedronia informacje dotyczące przemocy wobec matki.

Bonus za świeżość Biedroń już miał, teraz jest czas twardej walki polityczno-wyborczej, będący zarazem największym dla niego sprawdzianem. Myślę, że ma szanse, nawet spore, na przekroczenie progu wyborczego i uzyskanie trzech–czterech mandatów do PE. Jeżeli ktoś uważał, że to on jesienią może stać się alternatywą na lewo od PO, to chyba właśnie przeżywa rozczarowanie. Oczywiście jest też możliwe, że po wyborach europarlamentarnych zaczną się wewnętrzne walki w Koalicji Europejskiej, oczywiście jeżeli ona wybory przegra, co jest prawdopodobne.

Z Ryszardem Czarneckim, europosłem PiS
rozmawia Wojciech Wybranowski

Timmermans narusza suwerenność Polski

eprasa.pl cd6a0bf674

Pokłócona Koalicja Europejska, która publicznie zacznie szukać winnych porażki, może osłabnąć i wtedy partia Wiosna może stać się parasolem, pod którym ewentualnie schronią się wyznawcy liberałów i lewactwa.

Zakłada pan, że Koalicja Europejska osłabnie, zacznie się rozpadać, ale już 4 czerwca ma zostać ogłoszony ruch, którego patronem zostałby Donald Tusk. Wróci z Europy na białym koniu, zdetronizuje Schetynę na fotelu lidera opozycji i stanie na jej czele?

Nie na rumaku, tylko na chabecie. Proszę nie żartować, panie redaktorze. Uważam, że Donald Tusk wróci w sensie nie fizycznym, ale politycznym do kraju tylko wtedy, gdy będzie miał realne szanse uzyskania roli lidera opozycji. Ma jednak problem, ponieważ pojawił się inny „samiec alfa", myślę tutaj o Grzegorzu Schetynie. Ich potencjalna rywalizacja o to, kto faktycznie ma kierować obozem anty-PiS, będzie może kuluarowa, ale bardzo krwawa i wyniszczająca obu pretendentów. Schetyna pokazał już dużą sprawność w politycznych gierkach, których efektem było spacyfikowanie kolejnych konkurentów do roli przywódcy PO; mówię tutaj zarówno o Ewie Kopacz, Borysie Budce, jak i o Sławomirze Neumannie. Reasumując: Schetyna, nie będąc charyzmatycznym politykiem, który porywa tłumy, jest dość sprawnym graczem kuluarowym, potrafiącym wyraźnie „wejść w szkodę" Tuskowi. Nie sądzę, by Tusk tak pospiesznie do Polski politycznie wracał. On oczywiście bardzo by tego chciał, ale obecnie w kraju nie ma dobrej pogody dla Tuska i długo nie będzie. Może on „poczuć krew" i szanse dla siebie tylko wtedy, gdyby gwałtownie spadły sondaże Prawa i Sprawiedliwości, a na to się nie zanosi.

Jednak po prawej stronie sceny politycznej tworzy się pewna alternatywa dla Prawa i Sprawiedliwości, mam tu na myśli koalicję o nazwie Konfederacja. W kuluarach PiS słychać głosy, że co najmniej dwa–trzy mandaty ta koalicja wolnościowców, konserwatystów i narodowców może zdobyć kosztem obozu rządzącego.

To jest bardzo niebezpieczne zjawisko. Mówię to jako jeden z tych polityków w obozie niepodległościowym, który na własnej skórze doświadczył podziałów na prawicy. Przypomnę, że w latach 1993 i 2001 podzielona prawica, ten szeroko rozumiany obóz patriotyczny, centroprawica oddała na tacy władzę lewicy w wyniku wewnętrznych podziałów, animozji czy ambicjonalnych kłótni w naszym środowisku. Wnioski z tego wyciągnął Jarosław Kaczyński, który zjednoczył wokół siebie środowiska prawicowe i centroprawicowe, potrafił nawet zaprosić na pokład frondystów z własnej partii. Kiedy patrzę na doświadczenia z przeszłości, muszę powiedzieć, że pojawienie się Konfederacji jest bardzo groźne, ponieważ zwiększa szansę na wygranie wyborów europejskich i sejmowych przez PO i Koalicję Europejską. Chciałbym powiedzieć w tym miejscu bardzo wyraźnie, że ja nie oceniam intencji liderów Konfederacji, one mogą być nawet dobre, nie odmawiam im patriotyzmu, ale dobrymi intencjami jest wybrukowane polityczne piekło. Oni – chcąc nie chcąc – stają się nadzieją dla obozu kosmopolitycznego, obozu, który chce, by w Polsce było tak, jak było, żeby jeszcze bardziej punktem odniesienia były Bruksela, Berlin czy Paryż. Wnosząc na sztandary hasła narodowe, patriotyczne, konfederaci, być może niezależnie od swoich chęci, de facto są politycznymi idiotami, działającymi na rzecz liberałów i lewicy, internacjonalistów oraz kosmopolitów. Może zabrzmi to bardzo ostro, ale właśnie tak to widzę. Nie marnujmy więc głosów, polska prawica, obóz patriotyczny wygra w maju i jesienią tylko wtedy, gdy poparcie niepodległościowych wyborców skoncentruje się na Prawie i Sprawiedliwości.

Nie marnujmy głosów, polska prawica, obóz patriotyczny, wygra tylko wtedy, gdy poparcie niepodległościowych wyborców skoncentruje się na Prawie i Sprawiedliwości

Konfederacja nie wzięła się znikąd, wzięła się z rozczarowania prawicowego elektoratu niedotrzymanymi obietnicami wyborczymi PiS: niezapewnienia ochrony życia od chwili narodzin do naturalnej śmierci, niepodniesienia kwoty wolnej od podatku, niezbyt skutecznej polityki zagranicznej...

Jasne, błądzenie jest rzeczą ludzką i ja nie twierdzę, że sprawując władzę, nie popełnialiśmy błędów. Podchodzimy z pokorą i do wyborców, i do naszych błędów oraz dyscyplinujemy ludzi naszego obozu, którzy je popełniają. Jesteśmy gotowi uderzyć się w piersi wtedy, kiedy trzeba, jednak proszę pamiętać, że przy wszystkich naszych zaniechaniach i błędach należy pamiętać o „realpolitic". Otóż polityka jest sztuką realizowania rzeczy możliwych w danym miejscu i czasie: nie da się przecież zrobić wszystkiego w ciągu czterech lat. Nie można walczyć na wszystkich frontach naraz. Martwią mnie ci obserwatorzy, w tym gronie jest kilku cenionych publicystów, którzy mając serce po prawej stronie, mówią: „Nie zaczynajcie zbyt wielu wojen", a zarazem krzyczą: „Nie zrobiliście tego, tego i tamtego". Uważam, że wiele rzeczy niezałatwionych w tej kadencji, np. sprawa „westernizacji" mediów w Polsce – mam tu na myśli, że powinny u nas obowiązywać takie zasady jak na rynku mediów w Europie Zachodniej – musi zostać załatwione w kolejnej kadencji. Przestrzegam przed byciem pięknoduchem, który politykę wyobraża sobie tylko jako deklamowanie tego, co być powinno, w sytuacji gdy i tak na razie nie ma szans na realizację tych celów.

Wśród niespełnionych obietnic jest też naprawa służby zdrowia i sytuacji w oświacie. Strajk nauczycieli został zawieszony do września.

Przez ostatnie trzy lata rządów PO-PSL nauczyciele nie dostali ani złotówki podwyżki. Co więcej, w ciągu ośmiu lat rządów naszych poprzedników zwolniono z pracy 42 tys. nauczycieli, a 2,5 tys. szkół zostało zamkniętych. Taka była w praktyce polityka rządów Tuska i Kopacz, a także samorządów pozostających głównie w rękach właśnie PO i PSL. To, że wtedy ZNP nie wychodził na barykady, świadczy tylko o służalczości tego związku wobec poprzedniej władzy. A sam Broniarz reaguje jak pies Pawłowa – jak jest rząd prawicowy i wprowadza gimnazja, to protestuje, jak jest rząd prawicowy i likwiduje gimnazja, to też protestuje. Niestety, mamy w tym przypadku do czynienia z polityką w marnym wydaniu, a nie z troską o nauczycieli. Przypomnę też, że przez trzy miesiące negocjacji między MEN a rządem, począwszy od stycznia, na kilkanaście tur rokowań pan Broniarz pojawia się raz na ruski rok. W mojej ocenie świadczy to o tym, że ZNP chciał gonić króliczka poprawy bytu nauczycieli, a nie go złapać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd6a0bf674

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

WSTRZĄSAJĄCY WYWIAD Z ŻOŁNIERZEM NSZ PRZEŚLADOWANYM PRZEZ KOMUNĘ

Ronen Bergman – **Egzekutorzy z Mosadu**
Marcin Bartnicki – **Seks dla Izraela**
Piotr Zychowicz – **Wpadki zabójców z gwiazdą Dawida**
Sławomir Cenckiewicz – **Plusy i minusy „Kuriera"**
Sławomir Koper – **Żony i kochanki Sienkiewicza**
Sebastian Bojemski – **Zanim Hitler runie, śmierć komunie!**
Mikołaj Iwanow – **Żydowscy partyzanci Stalina**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Rasa Ariów i sieroty po Marksie**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl cd6a0bf674

FOT. ROMAN BOSIACKI/AGENCJA GAZETA

Rzeczpospolita samoobronna

Rafał A. Ziemkiewicz

Strajk nauczycieli był dobitnym znakiem, że skończyła się idea „Polski solidarnej", a zwyciężyła idea „Polski samoobronnej"

Wygrała idea stanowiąca przeciwieństwo tej przyświecającej wielkiemu ruchowi społecznemu zrodzonemu z Sierpnia '80, pozwoliłem sobie ją przed laty nazwać ideą Polski samoobronnej. Zwyciężyła, choć Polski „samoobronnej", w przeciwieństwie do „solidarnej", nikt nigdy otwarcie nie postulował, nie kreślił jej wizji, a tym bardziej nie tłumaczył, na czym ma spełnienie tej wizji polegać i jak to osiągnąć. To, co nazwałem Polską samoobronną, płynie wprost z pańszczyźnianego instynktu, o którym pisałem w wydanym przed 16 laty i wciąż niestety bardzo aktualnym „Polactwie" – książce, o której zwykłem gorzko żartować, że z polityków przeczytał ją, zrozumiał i na nasze nieszczęście wykorzystał tę wiedzę w praktyce tylko jeden jedyny Donald Tusk.

Ów instynkt podpowiada „polactwu", że – by użyć szlagwortu ze znanej kiedyś piosenki Kazimierza Grześkowiaka – „nieważne, czyje co je, ważne to je, co je moje". Chłopski poeta Ernest Bryll ujął to bardziej wzniośle w wierszu „Ikar", nie wiem, czy wciąż jeszcze obecnym w szkolnych podręcznikach: nie „gapić się w Ikary" (to jest przejmować się tzw. imponderabiliami) trzeba, tylko „swoje ucapić". Kto myśli o innych, zamiast o tym, by „swoje ucapić", ten jest frajerem i przegrywa.

Oczywiście kiedyś powiedzieć to głośno byłoby strasznym wstydem: to przecież zachowanie pogardzanego w oficjalnym dyskursie „chama". Na użytek innych trzeba więc było przez całe lata dorabiać do walki o wyrwanie „swojego" ideologię, pozory. Ale też, im bardziej elity III RP traciły szacunek i posłuch, im mniej przeciętny Polak wierzył w oficjalną wizję „transformacji", tym ten wstyd był

eprasa.pl cd6a0bf674

mniejszy. Przełomowe znaczenie miał tu wyborczy sukces śp. Andrzeja Leppera i jego Samoobrony (dlatego też traktuję ją tutaj jako symbol całej przemiany).

Oczywiście w oczach elit był ten sukces czymś niepojętym – do dziś pamiętam kuriozalną wypowiedź ówczesnego szefa informacji Radia RMF, który na łamach „Tygodnika Powszechnego" apelował, by media Leppera i jego partię (trzeci wtedy klubie w Sejmie!) w ogóle ignorowały i traktowały z dumną pogardą „ludzi kulturalnych i na pewnym poziomie" wobec zbuntowanego chamstwa. Ale było to już śmiertelne rzężenie inteligenckiego „etosu".

ETOS PORZUCONY

Strajkujący nauczyciele, którzy dla wymuszenia „swojego" posunęli się do blokowania egzaminów, w tym matur, uważanych (nie całkiem słusznie, ale to mniejsza) za szczególnie istotne, całkowicie ten etos porzucili, kopiując zachowanie właśnie owych „chamów zbuntowanych", które 10 lat temu budziło w inteligencie żywiołowe oburzenie i pogardę. Przy czym posunęli się dużo dalej, niż kiedykolwiek uczynili to chłopi, blokujący przypadkowym ofiarom ich protestów przejazd publicznymi drogami. Niewinne dzieci cierpią? A co nas to obchodzi! Niech mają pretensje do rządu, że nie chce nam dać tego, co się słusznie należy!

Jakby ze starego nawyku, nauczyciele próbowali wmówić, że walczą o przyszłość, godność etc. Ale robili to rutynowo, bez przekonania i zapału – głównym ich przekazem była raczej wściekłość, że rząd ma pieniądze na dopłaty do hodowli krów i świń (pomińmy propagandową manipulację, na której to twierdzenie oparto), a dla nich, przecież o tyle ważniejszych, nie ma. Owe świnie i krowy, przywoływane w dziesiątkach wypowiedzi związkowców i uczestników strajku oraz w grafomańskich strajkowych piosenkach, nadały całej akcji charakter bardzo, mówiąc językiem lewicy, klasowy. Po oskrobaniu z upiększeń brzmiał on: my, nauczyciele, jako inteligenci, zasługujemy przecież na pieniądze bardziej niż jakiś cham hodujący bydło! Można dodać też: i bardziej niż emeryci – bo przecież równie istotnym impulsem do wybuchu strajku było „jarkowe", na zasadzie „PiS zaczął rozdawać pieniądze, jak teraz nie przyciśniemy, to rozdadzą wszystko i dla nas nic nie zostanie".

„Klasowy" charakter protestu podkreśliło zaangażowanie po jego stronie opiniotwórczych elit. Chociaż bezwzględność, z jaką strajkujący nauczyciele potraktowali maturzystów i gimnazjalistów, była tylko naśladowaniem braku empatii Samoobrony wobec użytkowników dróg, to zachowanie „elit" w tym wypadku okazało się zasadniczo odmienne. Gdy o „swoje" upominali się robotnicy, elity nasładzały się wezwaniami Wałęsy, by ich „pałować". Gdy czynili to chłopi – wręcz domagały się, by do chamów strzelać. Czy potraficie sobie państwo wyobrazić, by „Gazeta Wyborcza" wydrukowała specjalne wydanie „Gazety na blokady" i rozdawała je bezpłatnie chłopstwu?

Nie sądzę, żeby „elity" zauważyły, że przekroczyły granicę. Wszystko działo się w emocjonalnym paroksyzmie nienawiści do PiS, w retoryce postulowanego od trzech lat antypisowskiego „majdanu", w oparach absurdu, jakim było przywoływanie wzorca strajków sierpniowych czy nawet prastarego „za wolność naszą i waszą". Ale dla przeciętnego Polaka sens tej akcji był jednoznaczny. Oto inteligencja – bo słusznie czy nie (moim zdaniem raczej nie) nauczycieli uważa się za modelowych inteligentów – przyznała czynem, że „chamski" wzorzec „ważne to je, co je moje" jest jedynie słusznym.

Tak, zgodzę się, gdy ktoś powie, że nauczyciele próbowali tylko powtórzyć skok na wspólną kasę, który udał się policjantom. Ci ostatni, przypomnę, przed stuleciem niepodległości poszli masowo na lewe zwolnienia lekarskie, rząd wystraszył się, że wskutek braku „zabezpieczenia" obchody skończą się jakimiś zamieszkami, kompromitacją, i uległ, a policjanci „swoje ucapili" – to był bez wątpienia wielki triumf „Polski samoobronnej". I nie dlatego nauczyciele nie zdołali go powtórzyć, że to niemoralne, tylko dlatego, że „przestrzelili" z żądaniami i nie przewidzieli, że egzaminy, w przeciwieństwie do Marszu Niepodległości, da się „zabezpieczyć" dzięki pomocy wolontariuszy.

Jednak policjantom w pewnym sensie było wolno zrobić taką „chamówę", bo po „psach" nikt się nie spodziewa i nikt od nich nie żąda, że będą warstwą „wzorcotwórczą" i „etosową". A nauczyciele tak właśnie byli dotąd traktowani. Jako „inteligencja", który to „brand" (zachęcam do zapoznania się z badaniami prof. Domańskiego) postrzegany jest, czy przynajmniej do niedawna był, w sposób szczególny.

Ta szczególna pozycja inteligenta właśnie definitywnie runęła w gruzy.

KONIEC ZŁUDZENIA

Można by to porównać – kto pamięta? – z tą sceną z filmu „Piłkarski poker", w której szef klubu mówi przed decydującym meczem do głównego bohatera: „Ty zawsze mówiłeś, że mnie szanujesz, bo cię nigdy nie zmuszałem do robienia świństw, więc słuchaj, ja ci dziś mówię: przestań mnie szanować!". Tak, tak właśnie powiedzieli Polakom nauczyciele – i znacznie szerzej, „inteligenci", „elita", która ich masowo wsparła: „Przestańcie nas szanować! Mamy w de wasz szacunek, chcemy kasy!".

Stało się coś naprawdę ważnego. Można rzec: runęło złudzenie, na którym trzymał się mocą przyzwyczajenia pewien społeczny porządek. To, co wolno było „chamom", chłopom, robotnikom, policjantom – tego na mocy owego złudzenia nauczyciele jako inteligenci nie mogli. Oni mieli być lepsi!

Ale wyrzekli się swej szczególnej pozycji. I tym samym usankcjonowali ostatecznie przekonanie, że chamski odruch, by „swoje ucapić" i mieć wszystkie „Ikary" głęboko gdzieś, jest jedyną rozsądną zasadą funkcjonowania. Inaczej mówiąc – że nie ma innej rzeczypospolitej niż „samoobronna".

Nie brak dziś głosów, że na strajku szkolnym stracili wszyscy, że trudno będzie odbudować prestiż zawodu, system edukacyjny… Otóż jest znacznie gorzej. Runął nie tylko system edukacyjny, lecz także runęła ostatecznie wiara – czy, niechby nawet, złudzenie – że inteligenci są lepsi od „chamów". Rozchwiany został pewien mit, który porządkował społeczeństwo. I diabli wiedzą, jakie to przyniesie to skutki.

Rzecz w tym bowiem, że „rzeczpospolita samoobronna" z zasady nie jest już w ogóle rzecząpospolitą. Jest postkomunistyczną magmą, rządzącą się pierwotnymi odruchami – po prostu zaprzeczeniem społecznej organizacji. To właśnie miałem na myśli w „Polactwie", które to słowo oznaczać miało bynajmniej nie niewykształconych Polaków, jak insynuowali niektórzy, tylko ludzi wyzutych z poczucia wspólnego dobra i wspólnego, narodowego interesu. Niestety, stwierdzam bez cienia satysfakcji, okazałem się prorokiem.

Wchodzimy, Polacy, w bardzo niebezpieczny zakręt.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd6a0bf674

Wiosna treserów Kościoła

Piotr Semka

Walenie na odlew w hierarchów polskiego Kościoła nikogo już nie dziwi. Ta tresura jest tym łatwiejsza, że Kościół sam dziś nie jest pewien siebie

Symbolami wszelkiego zła w polskim Kościele dla mediów liberalnych jest dziś abp Marek Jędraszewski ex aequo z abp. Sławojem Leszkiem Głódziem. Metropolitę krakowskiego krytykowano za wielkopiątkowe kazanie w Kalwarii Zebrzydowskiej. Szczególną irytację wywołały słowa: „Obecnie ten, kto się przyznaje publicznie do Chrystusa i chce wprowadzać jego nauczanie, jest uznawany za kogoś, kto należy do ciemnogrodu, jest wrogiem poprawności politycznej, nie uznaje tolerancji, nie zna smaku prawdziwej wolności, jest fanatykiem, faszystą, przeciwnikiem WHO, homofobem i walczy z postępem ludzkości".

W przypadku metropolity gdańskiego powodem ataków była krytyka części nauczycieli za próby storpedowania egzaminów maturalnych. „Jakże inaczej można określić krzywdę, jaka spotkała młodzież szkolną, potraktowaną jako zakładnicy przez inicjującą strajk organizację nauczycielską?" – pytał metropolita. W jego opinii ci, którzy nie brali udziału w egzaminach, „skrzywdzili wrażliwość, idealizm, zaufanie ludzi młodych, dzieci i młodzieży". Arcybiskup Głódź podkreślił jednocześnie bezstronność Kościoła: „Nie stajemy po żadnej stronie. Ale trzeba mówić prawdę i stać po stronie prawdy".

Katarzyna Kolenda-Zaleska, dziennikarka TVN, zareagowała na oba wystąpienia płomiennym wyznaniem: „Wstydzę się za swój Kościół". W jej opinii: „Katolik w święto Zmartwychwstania chciałby posłuchać o Bogu. Chciałby, aby mądry kapłan pomógł mu zrozumieć tajemnicę zbawienia, wytłumaczył i przeprowadził przez niezwykłe misterium. Część hierarchów Kościoła uznała jednak, że ten czas to znakomita okazja, by napiętnować innych – zwłaszcza ludzi

eprasa.pl cd6a0bf674

Abp Marek Jędraszewski (z lewej) i abp Sławoj Leszek Głódź są w ostatnim czasie najbardziej krytykowanymi przez liberalne media hierarchami Kościoła katolickiego w Polsce

FOT. WALDEMAR DESKA/PAP

LGBT, a nawet strajkujących nauczycieli, tak jak to zrobił metropolita gdański. [...] Za taki Kościół można się tylko wstydzić. [...] Co to ma wspólnego z radosną nowiną i Bogiem zmartwychwstałym?".

Jeszcze mocniejszego języka użył portal tygodnika „Polityka": „Głódź znieważył nauczycieli". W Radiu TOK FM Włodzimierz Cimoszewicz radził metropolicie gdańskiemu, by raczej „walczył z problemem alkoholizmu".

Oba kazania wygłoszone były mocnym językiem, ale nie wykraczały poza oceny rzeczywistości, do których mają prawo kapłani powodowani czy to troską o sytuację osób wierzących, czy troską o dobro publiczne.

Nie jest niczym dziwnym, aby w dniu męki Chrystusa zadać pytania, jak reaguje dzisiejszy zlaicyzowany świat na przesłanie wynikające z zasad wiary. Tak samo mieści się w granicach praktyki duszpasterskiej moralna ocena lekceważenia dobra uczniów. Arcybiskupowi Głódziowi przypisywano perfidię, pytając, jak – skoro skrytykował strajk – mógł mówić, że nie staje po żadnej ze stron. Tymczasem metropolita nie oceniał postulatów płacowych, skrytykował jedynie narażanie podopiecznych wskutek formy protestu na szwank.

Używanie coraz ostrzejszego języka w stosunku do biskupów – „za których trzeba się wstydzić" – nasila się od czasu konferencji z 14 marca, na której episkopat przedstawiał dane na temat liczby wypadków nadużyć seksualnych wobec dzieci i młodocianych oddanych pod opiekę osób duchownych.

Błędy medialne, które wówczas popełnili abp Gądecki czy abp Jędraszewski, były szeroko omawiane w mediach – także przez publicystów życzliwych Kościołowi. Obaj hierarchowie w niezręczny sposób połączyli podawanie danych o liczbie nadużyć wobec dzieci i młodocianych z dywagacjami o używaniu sprawy pedofilii do ataków na Kościół. Krytyka określenia „zero tolerancji" została wypowiedziana w taki sposób, że łatwo było ją zrozumieć jako bagatelizowanie przypadków pedofilii. Potem abp Jędraszewski poruszył temat skazania abp. George'a Pella, znów w mało zręczny medialnie sposób. I już wtedy reakcje krytyków Kościoła przekroczyły wszelkie granice. Portal OKO.press grzmiał: „Episkopat przemówił do ofiar pedofilii językiem Gomułki". Z kolei dziennikarz Szymon Hołownia ogłosił, że „słuchał słów hierarchów z przerażeniem".

A Misza Tomaszewski z pisma „Kontakt" – młodzieżówki warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej – napisał nawet list otwarty do obu hierarchów. „Jesteście skończeni. [...] Jesteście skończeni nie jako ludzie – jako chrześcijaninowi wolno mi wierzyć w to, że żaden człowiek nie jest skończony jako człowiek – lecz jako osoby biorące odpowiedzialność za polski Kościół i wypowiadające się w jego imieniu".

Ten styl walenia na odlew nikogo już nie dziwi. Nikt z warszawskiego KIK nie skomentował publicznie manifestu katolewicowego radykała. W biskupów można walić czym popadnie. A jak się zadaje pytania o natężenie agresji, nawet z części mediów katolickich słychać perswazyjne głosy: „No wiesz, przyznać jednak trzeba, że hierarchowie popełnili błędy medialne". Owszem, popełnili. Jednak czy zwalnia nas to z dyskusji, co abp Gądecki i abp Jędraszewski chcieli, nawet w ten niedoskonały sposób, nam powiedzieć?

PARĘ WAŻNYCH PYTAŃ

O co więc chodziło abp. Gądeckiemu i abp. Jędraszewskiemu – szefowi Konferencji Episkopatu Polski i jego zastępcy? Deklarując bezwarunkową wolę rozliczenia się z grzechów przeszłości, przywołali jednocześnie parę ważnych kwestii.

Po pierwsze, odrzucili formułowaną coraz wyraźniej przez obóz liberalny tezę, że Kościół wraz z ujawnianiem pełnej skali przypadków pedofilii traci prawo do wypowiadania się w kwestiach moralnych.

Po drugie, wskazali, że nie można zgadzać się na przedstawianie Kościoła jako jedynego miejsca takich praktyk.

Po trzecie – to już wniosek z komentarza abp. Jędraszewskiego o sprawie abp. George'a Pella – że oskarżenia o molestowanie nieletnich mogą być budowane na bardzo wątpliwych dowodach, a mimo to ukuty przez media stereotyp duchownych jako oczywistych pedofilów może skłaniać sądy do wyroków na bazie bardzo słabych dowodów poszlakowych. Uwagi te mają głęboki sens. Na przykład w Kościele Niemiec afery pedofilskie sprzed lat stały się pretekstem do odebrania przez media tamtejszemu Kościołowi katolickiemu prawa do oceniania rzeczywistości społecznej i politycznej. Co więcej, szukając uwiarygodnienia się po aferach, episkopat Niemiec przyjął sugestię, aby drogi uzdrowienia sytuacji wskazała specjalna komisja złożona także ze świeckich, niekiedy bardzo odległych od zasad kościelnej etyki. Nic dziwnego, że wśród wskazań dla hierarchii znalazły się postulaty sprzeczne z kościelną doktryną – postulat zniesienia celibatu czy liberalizacji etyki seksualnej. Co charakterystyczne, nawet bardzo daleko idąca samokrytyka episkopatu RFN nie poprawiła sytuacji. Media „jeżdżą" po Kościele „przepraszającym, że jeszcze żyje" znacznie brutalniej niż wcześniej.

Podobne sytuacje zdarzały się już w dziejach Kościołów chrześcijańskich. W chwili wystąpienia Marcina Lutra grzechy kardynałów i biskupów – zarówno te kryminalne, np. malwersacje i oszustwa, jak i te doktrynalne,

eprasa.pl cd6a0bf674

np. handel odpustami – zwolennicy reformacji wykorzystywali do całkowitej dyskredytacji „papizmu". Po rewolucji bolszewickiej w Rosji odbierano Cerkwi prawosławnej wszelkie prawa, wypominając jej wspieranie caratu. Po II wojnie światowej na Słowacji czy Węgrzech Kościołowi katolickiemu odmawiano prawa do formułowania ocen moralnych z racji jego wcześniejszego poparcia dla kolaboranckich reżimów.

Teraz sytuacja się powtarza i z wolna zaczyna układać się w logikę ideologicznej tresury wobec biskupów.

Kościół nie może akceptować takiego stanu rzeczy, jeśli uważa się za depozytariusza wiary objawionej przez Boga. Powinien potępiać grzechy ludzi w Kościele, ale nie może wątpić w swoją misję przekazywania depozytu wiary, jeśli uważa się za instytucję trwalszą od ludzkich błędów. I właśnie te przekonania lewica i liberałowie starają się wykorzenić z głów duchownych.

ZARZĄD POWIERNICZY

Laickie media od lat starają się objąć polski Kościół swoistym moralnym zarządem powierniczym. Instruowanie, co ma zmienić w sobie Kościół, jeśli chce podnieść się z upadku i przetrwać nowe czasy, staje się domeną ludzi, którzy już nawet nie udają, że są wierzący.

W dodatku „Nasza Europa" „Gazety Wyborczej" opublikowano ostatnio wywiad z reżyserem Françoisem Ozonem pod charakterystycznym tytułem: „Kościół się nie zmieni, jeśli go do tego nie zmusimy". Wywiad kończy pytanie: „Nadal wierzy pan w Boga?". Filmowiec kpiarsko odpowiada: „Czułem, że wierzę, między ósmym a dziesiątym rokiem życia. Teraz wierzę w Boga tylko wtedy, gdy podróżuję samolotem, w którym są turbulencje".

W tym samym numerze „GW" Marek Beylin wprost wyjaśnia, w którym kierunku mają przebiegać zmiany w Kościele katolickim. „Kościół w Europie nie zniknie, ale ma przed sobą trzy drogi. Może pójść za polskim przykładem, zmieniając się w siedlisko postaw zgoła antyewangelicznych. Może wybrać dystans do spraw tego świata, skupiając się na obietnicy życia wiecznego. Jednak może też, idąc w ślady niektórych wspólnot protestanckich – wspierać dążenia wiernych do wolności, równości i godności życia, mieszcząc się w świeckim świecie".

Beylin nie stawia kropki nad i – nie wyjaśnia wprost, kto będzie decydował, czy Kościół „mieści się w świeckim świecie, czy nie". Oczywiście będzie to czynił obóz liberalny, który już dziś za pomocą mediów stara się tresować biskupów tak jak niegdyś w PRL Urząd do spraw Wyznań. Nie są to już naciski administracyjne, ale perswazja mediów. To taktyka kreowania czarnych postaci, takich jak wspomniani już arcybiskupi Gądecki, Jędraszewski czy Głódź. Ci źli przedstawiani są zazwyczaj w opozycji do tych dobrych. W tej roli od pewnego czasu występują prymas Wojciech Polak i abp łódzki Grzegorz Ryś.

Kolejny element nieformalnej kontroli to tworzenie puli tematów akceptowalnych dla ludzi Kościoła i tematów tabu. Biskupi mogą do woli wypowiadać się w kwestii ekologii, walki z szowinizmem i wspierać imigrantów. Nie wolno im natomiast krytykować programów LGBT, odrzucać ideologii gender, wspierać tradycji narodowych czy – jak to wykazał przypadek abp. Głódzia – krytykować „słusznego" strajku nauczycieli.

Jednak to ostatnie zależało od politycznego kontekstu. Zróbmy mały eksperyment myślowy. Co by było, gdyby za rządów Platformy Solidarność nauczycielska zorganizowała strajk zagrażający maturom? Czy „słuszni" biskupi nie byliby chwaleni za odwagę piętnowania egoizmu pracowników oświaty przez te same media, które dziś gromią abp. Głódzia?

„Gazeta Wyborcza" oprócz musztrowania biskupów sięga zresztą dalej. Już dziś wskazuje, kto może przeprowadzić wewnętrzną rewolucję oddolną w polskim Kościele. W tej roli występują ostatnio młodzi ze wspomnianego już pisma „Kontakt". Łamy „GW" otwarto ostatnio przed dwojgiem młodych kontestatorów: studentką Uniwersytetu Warszawskiego Marią Rościszewską i młodym filozofem Ignacym Dudkiewiczem. Oni hasło sprzeciwu wobec hierarchii rzucają już całkiem wyraźnie. „Świeccy muszą w końcu przestać oglądać się na biskupów i na to, co mówią. Bo biskupi zbyt często mówią bzdury i rzeczy szkodliwe dla całego Kościoła, ale też dla konkretnych ludzi" – głosi Ignacy Dudkiewicz.

Jak widać, trwa już casting na działaczy polskiego odpowiednika niemieckich ruchów postępowych katolików w stylu „Wir sind die Kirche" („My jesteśmy Kościołem"). Na razie jest to grupa niewielka, ale można jej wróżyć szybką medialną karierę.

„ZMIEŃCIE SIĘ ALBO ZGINIECIE"

Ta tresura jest tym łatwiejsza, że Kościół sam dziś nie jest pewien siebie. To z tego powodu coraz częstsze są porównania do czasów reformacji. Wtedy także wielu biskupów z uwagą słuchało ostrzeżeń modernistów: „Zmieńcie się albo zniknie!".

W sytuacji burzliwego pontyfikatu Franciszka coraz więcej pewników zostaje zakwestionowanych.

Wielu księży katolickich w Polsce już mentalnie przyjmuje sposób myślenia tych ewangelików, którzy bez szemrania zgadzają się na ograniczenia nakładane przez świeckie państwo. Niektórzy odreagowują tą drogą urazy po apodyktycznym biskupie czy kierują się chęcią poszerzenia osobistej wolności np. poprzez zniesienie celibatu. To oni chwalili film „Kler", bo dowalał nielubianym hierarchom. Zawsze przydać można temu szlachetny rys troski o przyszłość Kościoła.

W „Polityce" zamieszczono niedawno wywiad z o. Pawłem Kozackim. Zakonnik wysokiej rangi – prowincjał polskiej prowincji dominikanów – o. Kozacki nie polemizuje z lekceważącymi opiniami o biskupach zawartymi w pytaniach. Bardzo rzadko podejmuje dialog ze wzgardliwymi opiniami o polskim Kościele. I skwapliwie odcina się od środków politycznych. „Jeśli ktoś chce używać środków tego świata, takich jak głosowania czy układy polityczne, to znaczy, że bardziej ufa ludzkim zabezpieczeniom niż sile Ewangelii". Tego, kto ma podjąć polemikę z obozem zmian politycznych, np. z postulatami laicyzacyjnymi partii Wiosna, o. Kozacki już nie wyjaśnia.

Pytany o odmienność „Kościoła abp. Rysia" i „Kościoła abp. Jędraszewskiego" odpowiada: „Może się okazać, że lokalne Kościoły są tak różne, że niewiele je łączy. To jest wyzwanie. W świecie wolności i indywidualizmu każdy czuje się autorytetem".

Na tle tego demonstrowanego rysu bezradności pytania stawiane przez abp. Gądeckiego i abp. Jędraszewskiego – choć formułowane nieporadnym językiem – brzmią jak wezwanie do zachowania własnej podmiotowości. Bez niej ciasne ramy tego, co jeszcze jest dozwolone dla katolików, chętnie wyznaczą ludzie odlegli od religii. Lubią to robić już od ponad 200 lat – przynajmniej od rewolucji francuskiej.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd6a0bf674

Sekielski na fali

Kamila Baranowska

Dziennikarz Tomasz Sekielski zrobił film dokumentalny o pedofilii w polskim Kościele i zapowiedział powstanie następnego – o SKOK-ach. Jedni mówią o bezkompromisowym dziennikarstwie, inni zarzucają mu złe intencje i stronniczy dobór tematów

Premierę filmu „Tylko nie mów nikomu" zaplanowano na 11 maja, będzie dostępny w serwisie YouTube, za darmo. Na film składa się osiem różnych dramatycznych historii wykorzystywania seksualnego dzieci przez duchownych.

– W każdym przypadku przez lata Kościół udawał, że nic się nie dzieje, a jeśli reagował, to dopiero po kolejnej wpadce, gdy nie dało się już dłużej kryć sprawcy. Albo dopiero kiedy reagowali inni dorośli – opowiadał Sekielski w „Kulturze Liberalnej". Podkreślał też, że chciał skupić się na ofiarach, na tym, jak to, co się wydarzyło, wpłynęło na ich późniejsze życie. Mówi, że wysłuchał kilkudziesięciu relacji, a każda pokazana w filmie historia jest solidnie udokumentowana. – Wszystkie historie, które pokażę, są bezsporne, bo prokurator lub nawet sąd potwierdził prawdziwość zarzutów stawianych księżom, których śladem podążamy. Nikt nie będzie mógł nam zarzucić, że coś jest przekłamane – zapewnił w „Gazecie Wyborczej". W filmie znajdą się także nagrane ukrytą kamerą konfrontacje ofiar ze sprawcami i – jak zapowiada autor – są to sceny wstrząsające.

Mają się także pojawić „głośne nazwiska" ważnych hierarchów, co – jak spodziewa się Sekielski – sprawi, że film wywoła duże emocje.

PYTANIA O INTENCJE

Film Sekielskiego o pedofilii w polskim Kościele budził zainteresowanie na długo, zanim powstał. Sekielski wielokrotnie narzekał, że nie mógł znaleźć nikogo chętnego do sfinansowania produkcji.

Postanowił więc o pieniądze poprosić przez Internet. Założył oficjalną zbiórkę na specjalnej platformie do zbierania pieniędzy na konkretny cel. Sumę, jakiej potrzebował, ocenił na 450 tys. zł. Udało mu się je zebrać trzy miesiące przed zakładanym terminem. Niekonwencjonalny sposób zbierania pieniędzy stał się jednocześnie doskonałym narzędziem promocji – o filmie i etapach jego powstawania informowały regularnie największe portale.

– Niezależne dziennikarstwo, dokumenty będą powstawać, dzięki wam […] tylko w ten sposób możemy poruszać tematy, o których nie chcą mówić duże media, bo jest im niewygodnie, bo muszą zwracać uwagę na reklamodawców – mówił w nagraniu, w którym dziękował darczyńcom – ponad 2,5 tys. osób.

Sekielski w swoich wypowiedziach sugeruje, że jest jakaś zmowa milczenia wokół tematu pedofilii w polskim Kościele, w którą zaangażowane są także media, tymczasem patrząc na to, co się ostatnio dzieje, można odnieść inne wrażenie. Rekordy popularności, które bił film „Kler", pokazały, że podjęcie akurat tego tematu to gwarancja i rozgłosu, i sukcesu. Dziennikarz spotkał się zresztą z zarzutem, że próbuje się pod sukces Smarzowskiego podczepić.

Kiedy niedawno w Gdańsku próbowano nocą obalić pomnik prałata Jankowskiego i okazało się, że na miejscu był także Sekielski z ekipą filmową, internauci zastanawiali się, czy cała akcja nie była ustawką pod promocję filmu i w jakim charakterze dziennikarz był tam obecny. On sam odciął się od tych spekulacji. – Wszelkie sugestie dotyczące tego, że w jakikolwiek sposób byłem stroną sprawy i brałem udział w obalaniu pomnika, to kłamstwa. Byłem na miejscu jako dokumentalista – oświadczył. – Otrzymaliśmy sygnał, że w nocy będzie się działo coś dużego w sprawie pomnika prałata Jankowskiego, i uznaliśmy, że warto pojawić się na miejscu. Nie wiedzieliśmy, co dokładnie się wydarzy – tłumaczył.

W innym z wywiadów mówił zaś, że jego cel jest prosty, chodzi o chęć podejmowania „tematów, które uważa za ważne i interesujące". – Takich, które sprawiają, że moi widzowie są lepiej poinformowani, mają większą wiedzę o otaczającym nas świecie – mówił.

Nie wszyscy jednak dają wiarę temu wyjaśnieniu. W kontekście zbliżającej się premiery filmu padają pytania o intencje i o taki, a nie inny dobór tematu z sugestią, że pedofilia to zjawisko dużo szersze i nie dotyczy wyłącznie Kościoła.

– Gdy złośliwi pytają, dlaczego nie zajmuję się np. murarzami pedofilami, odpowiadam, że Kościół jest instytucją szczególnego zaufania i że dla dzieci wychowywanych w wierze katolickiej ksiądz to jest namiestnik Boga, który z nimi rozmawia – odpowiadał w „Gazecie Wyborczej". – Księża są świadomi tej swojej pozycji. I niektórzy w kontaktach z dziećmi to wykorzystują w obrzydliwy sposób, a inni w obrzydliwy sposób udają, że nic się nie dzieje. Bardzo często ci, którzy o wszystkim wiedzieli, zamiast działać, przenosili zboczeńców z parafii na parafię. Tak to wygląda od lat – stwierdził.

eprasa.pl cd6a0bf674

FOT. KONOPKA BARTŁOMIEJ/BEGW

Publicyści katoliccy, z którymi rozmawialiśmy, są zgodni co do tego, że takie filmy jak „Kler" czy dokument Sekielskiego – bez względu na intencje autorów – mogą wnieść coś dobrego.

Chociaż nie podoba im się utrwalanie przekonania, że pedofilia to problem wyłącznie duchownych i Kościoła.

– Nie mnie oceniać intencje poszczególnych osób, ale ograniczanie pedofilii tylko do Kościoła to najgorsze, co można zrobić, ale nie Kościołowi, lecz potencjalnym ofiarom pedofilów. W konsekwencji wielu z nas wyłącza czujność, bo skoro nie ma sutanny, to nie ma zagrożenia. A doskonale wiemy, że to kłamstwo – mówi Weronika Kostrzewa z Radia Plus. Dodaje jednak, że „prawda wyzwala, bez względu na intencje ujawniającego ją".

– Tak jest też w tym przypadku. Kościół – zarówno wierni, jak i duchowni – przechodzi ważny proces zrozumienia skali i wagi problemu. Uczymy się reagować, zapobiegać, ale też wyrażać skruchę. System, który wypracowuje Kościół zarówno do walki z tą patologią, jak i dojścia do przyczyn samego zjawiska, będzie mógł posłużyć innym grupom „zawodowym" oraz całemu społeczeństwu – podkreśla.

W podobnym tonie wypowiada się także Bogumił Łoziński z „Gościa Niedzielnego". – Nie wiem, w jakim tonie będzie utrzymany film i czy będzie to wyłącznie ton oskarżycielski, ale czasem i niedobre intencje mogą przynieść dobre owoce. Może i „Kler", i film Sekielskiego są potrzebne, żeby Kościołem trochę potrząsnąć – mówi. Jego zdaniem problem jest wielopoziomowy. – Nie jest tak, że Kościół nic nie robi. Tylko że doszliśmy do sytuacji, w której wszyscy księża są traktowani jak potencjalni pedofile. To bardzo krzywdzące i dla nich samych, i dla Kościoła, i dla wiernych. W reakcji na ujawniane informacje są wydawane szczegółowe normy zachowań w poszczególnych diecezjach, a księża skarżą się, że w praktyce prowadzi to do wygaszania np. duszpasterstw młodzieży – mówi. Dodaje jednak, że to trudne tematy, bo jeśli tego typu decyzje mają zapobiec choćby jednej tragedii, to może warto.

Rzecznik Konferencji Episkopatu Polski zapytany o film Sekielskiego i o to, czy były próby kontaktu z jego strony i jaka była odpowiedź Kościoła, nie chciał udzielić żadnego komentarza. – Trudno

eprasa.pl cd6a0bf674

komentować film, którego się nie widziało – odpowiedział jedynie.

Tomasz Sekielski, z którym wielokrotnie próbowaliśmy się umówić na spotkanie, niestety nie znalazł dla nas czasu.

POWRÓT NA ORBITĘ

Film „Tylko nie mów nikomu" to szansa na wielki come back bardzo popularnego dziennikarza, który w ostatnich latach nieco zniknął z głównego medialnego nurtu. To jego drugi film dokumentalny, wcześniej nakręcił „Władców marionetek" o politycznej kuchni i niespełnianych obietnicach politycznych.

Najbardziej jednak jest kojarzony ze swojej pracy w TVN, w którym przez lata był reporterem „Faktów", a później prowadzącym popularne programy publicystyczne. W 2012 r. dość nieoczekiwanie odszedł ze stacji, z którą był związany 15 lat. Przeszedł prosto do konkurencji, czyli do TVP, gdzie miał autorski program publicystyczno-reporterski „Po prostu", był też prowadzącym „Woronicza 17".

W branży spekulowano, że czuł się w TVN niedoceniany po tym, jak z anteny zdjęto program „Teraz my!", który był wielkim sukcesem duetu Tomasz Sekielski i Andrzej Morozowski.

Program był swego rodzaju kontynuacją nadawanego w TVN24 „Prześwietlenia", w którym prowadzący rozmawiali z gośćmi, najczęściej politykami, o bieżących sprawach politycznych, tylko robioną z o wiele większym rozmachem. W dużym studiu, z publicznością na żywo. I przede wszystkim był emitowany na głównej antenie TVN, nie w informacyjnym TVN24.

– Podczas przygotowań do startu programu obaj byliśmy strasznie zdenerwowani. Ja zacząłem poważnie tyć. Na udział w „zerowym" programie zgodzili się Bronisław Komorowski i Michał Kamiński. Pięknie się pokłócili. Tak jakby byli na antenie – wspominał po latach Tomasz Sekielski. Rzeczywiście „Teraz my!" okazało się dużym sukcesem. W szczytowym momencie program oglądały ponad 2 mln osób. Chętnie brali w nim udział politycy wszystkich partii. Wydana później książka „Teraz my prześwietlamy" autorstwa Sekielskiego i Morozowskiego zawiera m.in. stenogramy niektórych programów. Czytając je dzisiaj, aż trudno uwierzyć, że tak wyglądały polska polityka i dyskusja w studiu telewizyjnym jeszcze niespełna 15 lat temu. Program po wyborach w 2005 r., w którym gościli Jarosław Kaczyński i Jan Rokita – wiadomo już było, że kandydatem PiS na premiera jest Kazimierz Marcinkiewicz. – Jak pana słucham, panie prezesie – tak szczerze – to jakbym słuchał premiera – mówi Tomasz Sekielski do prezesa PiS. – Ja widocznie mam w sobie coś premierowskiego. Już na to nic nie poradzę – odpowiada Kaczyński. – Czy tak się to zmarnuje? – pyta Sekielski. – No wie pan, ile rzeczy, ile wartości się marnuje w historii – odpowiada Kaczyński. Wtedy jeszcze wszyscy wierzyli w koalicję PO-PiS i ani dziennikarze, ani politycy nie zachowywali się jak na wojnie.

Program miał także swoje sukcesy, jeśli chodzi o polityczne newsy. To w nim, niecałe dwa tygodnie przed drugą turą wyborów prezydenckich, Lech Kaczyński przeprosił na wizji Donalda Tuska za „element czarnej kampanii", jak określił ujawnioną przez Jacka Kurskiego historię „dziadka z Wehrmachtu". Sekielski przyznał, że dzięki tym przeprosinom mieli „jeden z najważniejszych przedwyborczych programów". Największym echem odbiły się jednak „taśmy Beger", czyli dziennikarska prowokacja, w ramach której nagrano, jak politycy PiS nakłaniają Renatę Beger, posłankę Samoobrony, do przejścia do PiS, obiecując stanowiska. Sprawa budziła spore kontrowersje, czego najlepszym dowodem jest to, że z jednej strony dziennikarze dostali za ujawnienie taśm nagrodę Grand Press, a z drugiej naganę od Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Bywało i tak, że za programy przepraszali, tak jak za ten z Jackiem Kurskim. Było tak ostro, że PiS ogłosił bojkot TVN. Chociaż Sekielski i Morozowski uważali, że to tylko pretekst i chodziło o zemstę za taśmy, to wydali oświadczenie, w którym przepraszali za formę i styl rozmowy.

TVN zlikwidował program, bo planem kierownictwa stacji już wtedy było przekształcenie głównej anteny w antenę wyłącznie rozrywkową i przeniesienie całej publicystyki do kanału informacyjnego. Wcześniej taki sam los spotkał Monikę Olejnik i jej „Kropkę nad i", najdłużej utrzymali się Bogdan Rymanowski i jego „Kawa na ławę", ale i on w końcu wylądował w TVN24. Sekielskiemu zaproponowano stworzenie autorskiego programu w TVN24. Tworzył i prowadził „Czarno na białym", które – tworzone obecnie przez innych – jest na antenie do dziś. Swoje rozstanie z TVN tłumaczył innymi planami zawodowymi.

– Mam plany wykraczające poza tę sferę dziennikarstwa i dlatego postanowiłem odejść. Prowadzę program w TOK FM, pracuję nad projektem internetowym, planuję też nakręcić kolejne filmy dokumentalne. Prędzej czy później doszłoby zapewne do konfliktu interesów między tym, co robiłem dla TVN24, a moją działalnością pozatelewizyjną, to wynikało z zapisów umieszczonych w moim kontrakcie – mówił Wirtualnym Mediom. Mniej więcej w tym samym czasie ukazała się jego pierwsza powieść kryminalna „Sejf". Pisanie książek mocno go wciągnęło. Do dziś wydał ich pięć – dwa tomy kontynuacji „Sejfu" („Obraz kontrolny" i „Gniazdo kruka") oraz pierwsze dwa tomy następnej trylogii „Susza".

LANS NA ZDROWIE

Po odejściu z TVN i zakończeniu współpracy z TVP Sekielski współpracował z mniej popularnymi stacjami – miał program w Nowa TV, robił cykl dokumentalny dla Fokus TV, prowadził wideoblog dla Wirtualnej Polski. Od jesieni ubiegłego roku jest jednym z prowadzących poranki w Onecie.

Jednocześnie, jak poinformował, pracuje nad następnym filmem – o SKOK. Tak jak w przypadku filmu o pedofilii w Kościele tym razem też zbiera pieniądze przez Internet. Zbiórka już ruszyła. Sam temat znów budzi kontrowersje, tym razem bardziej polityczne, i pewnie będzie prowokował pytania. Patrząc na emocje w wojnie polsko-polskiej, można być pewnym, że potrzebna kwota uzbiera się dość szybko.

Dziennikarz wie jednak, że aby to wszystko miało sens, musi cały czas podtrzymywać zainteresowanie i przypominać o swoim istnieniu. Jest bardzo aktywny na swoim kanale YouTube i widać, że dobrze się w sieci odnajduje. Ostatnio np. relacjonuje swój proces odchudzania. Zresztą dzięki swojemu wyznaniu, że waży 185 kg, a chciałby o 100 mniej i właśnie zaczyna swoją walkę, wylądował na okładce „Newsweeka", udzielił paru dużych wywiadów, w tym jednego „Vivie!", napisała o nim większość portali. Mówi, że nie chodzi o lans, lecz o zdrowie, a publiczna deklaracja bardziej mobilizuje go do działania. Jeśli jednak przy okazji chciał wywołać trochę zamieszania wokół siebie w kluczowym momencie, bo przed premierą filmu, to udało mu się z nawiązką. Tak działają media. A kto wie o tym lepiej niż on?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd6a0bf674

FOT. ALJAZEERA.COM

Reżim poucza Polskę

Witold Repetowicz

Państwo, w którym obywatelstwo mogą mieć tylko muzułmanie, a za porzucenie islamu grozi kara śmierci, znów tropi nietolerancję w Polsce, realizując materiał o Radiu Maryja. Z pomocą „obrońców demokracji" m.in. z „Gazety Wyborczej" i OKO.press

Salaficki reżim katarski złożył Polakom życzenia wielkanocne w sposób dość specyficzny. Dokładnie w niedzielę wielkanocną w telewizji należącej do panującej w tym kraju rodziny Al-Thanich nadany został materiał poświęcony temu, jak straszne jest „imperium medialne o. Rydzyka". W tym samym czasie na Sri Lance dżihadyści organizowali rzeź chrześcijan. Tymczasem na katarskiej telewizji Al-Dżazira ciążą akurat zarzuty wspierania terroryzmu, a katarski emirat oskarża się o popieranie radykalnych grup salafickich powiązanych z Al-Kaidą i równie ekstremistycznego Bractwa Muzułmańskiego.

NARZĘDZIE EKSTREMISTÓW

Telewizja Al-Dżazira i wiele jej klonów, takich jak stacje regionalne, kanał anglojęzyczny czy aplikacja AJ+ nadająca krótkie formaty w sieciach społecznościowych, to prawdziwe imperium medialne panującego w Katarze rodu Al-Thanich. Lobby prokatarskie i różnego rodzaju „pożyteczni idioci" dwoją się i troją, by przekonywać światową opinię publiczną (bo taki ma zasięg aparat medialny rodu Al-Thanich), że telewizja Al-Dżazira jest medium niezależnym od katarskiego reżimu. To wypieranie się swojego twórcy i właściciela jest dość zrozumiałe, zważywszy na to, że połączenie „niezależnego medium" z despotycznym reżimem, w którym (według wszystkich ratingów) nie ma wolnych mediów (i wolności w ogóle), wywoływałoby dysonans poznawczy.

Prawda jest jednak inna. Stworzona z inicjatywy emira Hamada bin Chalify al-Thaniego w 1996 r. Al-Dżazira od samego początku pomyślana była jako główne narzędzie soft power w katarskich planach stworzenia politycznego imperium z centrum w Ad-Dausze. Dlatego sam emir dał na rozkręcenie tego projektu 137 mln dol. Plan był przy tym bardzo sprytny i postanowiono dostosowywać przekaz do odbiorcy. Angielskojęzyczna Al-Dżazira tropi antysemityzm, homofobię, rasizm i wszelkiego rodzaju nietolerancję, ale oczywiście tylko w świecie niemuzułmańskim, a w szczególności w Europie i Ameryce. Przekaz na temat homoseksualistów w świecie arabskim

eprasa.pl cd6a0bf674

jest już diametralnie inny: trzeba ich karać śmiercią lub więzieniem nawet za same skłonności.

Oczywiście to przesłanie nie pojawia się już w wersji anglojęzycznej. Arabskojęzyczna wersja Al-Dżaziry nadawała też kazania religijne szejka Jusufa al-Qaradawiego, w których głosił on, że Hitler został zesłany przez Allaha, by ukarać Żydów. Można było tam również zobaczyć programy takie jak debata pod wszystko mówiącym tytułem „Czy alawici zasługują na ludobójstwo?", którą prowadzący rozstrzygnął już na samym początku, stwierdzając, że należy wyrżnąć w pień całą tę grupę religijną, do ostatniego niemowlaka.

Al-Dżazira była również narzędziem Kataru służącym do destabilizacji wielu krajów, ponosząc w ten sposób odpowiedzialność za śmierć co najmniej dziesiątek, jeśli nie setek tysięcy ludzi. W Iraku wielokrotnie słyszałem, że właśnie to medium najmocniej sączyło propagandową truciznę, podburzając sunnitów przeciwko szyitom i nadając fake newsy o rzekomych zbrodniach irackiego rządu przeciwko sunnitom. Celem było pogłębienie podziałów między szyitami a sunnitami, pośrednim zaś skutkiem – stworzenie Państwa Islamskiego, o którego wspieranie Katar zresztą również był wielokrotnie podejrzewany. Al-Dżazira odegrała też kluczową rolę w destabilizacji Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej w ramach tzw. arabskiej wiosny, Katar wspierał ekstremistów z Bractwa Muzułmańskiego oraz radykalnych salafitów, w tym powiązanych z Al-Kaidą, w takich krajach jak Libia, Egipt czy Syria. Później zaś Al-Dżazira promowała migrację z Afryki do Europy, rozkręcając nagonkę na „złą" Europę, która nie chce przyjmować „uchodźców", bo jest rasistowska i islamofobiczna.

JAKA ZŁA TA POLSKA

Artur Osiński, autor materiału o „imperium medialnym o. Rydzyka", zgodził się początkowo odpowiedzieć na kilka moich pytań. Jedno z nich dotyczyło tego, czy zna jakikolwiek przypadek debaty na antenie mediów „imperium o. Rydzyka" na temat wprowadzenia kary śmierci za porzucenie katolicyzmu lub odebrania obywatelstwa polskiego osobom, które nie są katolikami, a także czy zna jakikolwiek przypadek debaty na antenie imperium medialnego rodziny Al-Thanich na temat zniesienia kary śmierci za porzucenie islamu w Katarze i przyznania obywatelstwa katarskiego mieszkańcom tego kraju niewyznającym islamu. Osiński odmówił odpowiedzi na to pytanie, podobnie zresztą jak na wiele innych dotyczących tego, jak tematyka poruszona w jego materiale wygląda z perspektywy Kataru i przekazu Al-Dżaziry. Chociaż jego materiał pełen jest insynuacji dotyczących antysemityzmu czy homofobii, to Osiński uznał, że to, co Qaradawi opowiadał na antenie tej samej telewizji o Hitlerze i Żydach, a także fakt, że w Katarze za homoseksualizm grozi kara siedmiu lat więzienia, nie ma nic wspólnego z tematem jego reportażu, i odmówił ustosunkowania się do tego.

Wypowiedzi prof. Ireneusza Krzemińskiego, Magdaleny Chrzczonowicz z OKO.press, Piotra Głuchowskiego i Marcina Kąckiego z „Gazety Wyborczej" są dopełnieniem absurdu całego tego materiału. Obrońcy demokracji i tropiciele nietolerancji w Polsce nie mają żadnych oporów, by wysługiwać się propagandzie despotycznego reżimu salafickiego, który w rankingu Freedom House otrzymał ocenę niższą od Afganistanu i podobną do Rosji. Najbardziej jednak kuriozalna w całym materiale Osińskiego jest scena, gdzie Marcin Kącki opowiada o swojej sztuce wykpiwającej Radio Maryja, a która zatytułowana jest „Wróg się rodzi" (jako parodia tytułu kolędy „Bóg się rodzi", co w materiale Osińskiego wyjaśnione jest wprost). Zapytałem Osińskiego, co według niego stałoby się z Katarczykiem, który postanowiłby w Katarze wystawić sztukę krytykującą emira i jego imperium medialne, a w tytule parodiowałby jedną z koranicznych sur. Osiński oczywiście odmówił odpowiedzi na to pytanie.

Al-Dżazira była narzędziem Kataru służącym do destabilizacji wielu krajów, ponosząc w ten sposób odpowiedzialność za śmierć co najmniej dziesiątek tysięcy ludzi

Materiał o „imperium medialnym o. Rydzyka" nie jest pierwszym przypadkiem ataku Al-Dżaziry na Polskę oraz wysługiwania się katarskiej propagandzie przez polskich bojowników o demokrację i tolerancję. W grudniu 2016 r. Monika Olejnik i przedstawicielka Krytyki Politycznej wystąpiły w reportażu Al-Dżaziry o „masowych protestach" w Polsce. W Katarze oczywiście nie ma masowych protestów, bo w przeciwnym razie tamtejszy kat miałby ręce pełne roboty. Kilka miesięcy później machina propagandowa despotycznego reżimu katarskiego alarmowała, że w Polsce zagrożona jest demokracja. Na temat rzekomo szalejącego w Polsce antysemityzmu opowiadał wówczas m.in. publicysta „Gazety Wyborczej" Konstanty Gebert. Jakiś czas później katarska telewizja nadała reportaż o tym, jaka Polska jest zła, rasistowska i islamofobiczna, bo nie chce przyjmować „uchodźców".

FRAJERSKI TRYBIK

Osiński odpowiedział tylko na pytanie o to, czy osoby występujące w jego materiale otrzymały od Al-Dżaziry wynagrodzenie, twierdząc, że nie. Trudno to zweryfikować, wiadomo bowiem, że Al-Dżazira często takie wynagrodzenie oferuje. Niedawno dwóch francuskich dziennikarzy – Christian Chesnot i Georges Malbrunot – opublikowało książkę „Qatar Papers", w której ujawnili oni, jak Katar przeznacza miliony euro na kupowanie sobie przychylnych dziennikarzy, analityków czy aktywistów. Na przykład znany aktywista muzułmański Tarik Ramadan, uznawany przez środowiska multi-kulti za największy w Europie autorytet w sprawach islamu do czasu, gdy został oskarżony o gwałt, otrzymywał od Kataru miesięczne wynagrodzenie w wysokości 35 tys. euro. Bycie trybikiem w katarskiej machinie propagandowej z czystego zacietrzewienia i całkowicie za darmo to w tym świetle straszne frajerstwo.

Katarska telewizja nie robi takich materiałów jak ten o „imperium o. Rydzyka" czy te wcześniejsze atakujące Polskę z troski o tolerancję i demokrację w naszym kraju. Wręcz przeciwnie – materiały o tym, jak bardzo szaleją nietolerancja, rasizm, ksenofobia i przede wszystkim islamofobia w świecie szeroko rozumianego Zachodu, mają legitymizować despotyzm w samym Katarze. Trzy lata temu rozmawiałem o tym z dziekanem Wydziału Islamu Uniwersytetu w Kufie w Iraku, który powiedział mi, że obrzydzanie przez Al-Dżazirę krajów demokratycznych, takich jak Polska, ma na celu przekonywanie własnych obywateli, iż cały świat jest brudny i zły, więc Katarczycy nie powinni narzekać na despotyzm rodziny Al-Thanich.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd6a0bf674

FOT. BEATA OLEJARKA/EAST NEWS

Judasz z Pruchnika

Wojciech Wybranowski

Miejscowy zwyczaj „Sądu nad Judaszem" wywołał burzę, ściągając na mieszkańców małego Pruchnika oskarżenia o antysemityzm, a na organizatorów spalenia kukły – uwagę organów ścigania

Niewielkie senne miasteczko nad rzeczką Mleczką, zagubione między polami przy drodze z Rzeszowa do Przemyśla. Jednorodzinne, często podniszczone domy, sporo starych drewnianych, krytych gontem chat otoczonych balustradami, z podcieniami sięgającymi – jak chwalą się miejscowi – nawet początków XIX w. i stojącą opodal kilkunastometrową drewnianą wieżą widokową. Typowe pogalicyjskie miasteczko na Podkarpaciu, z grubsza przypominające nieco słynne serialowe Wilkowyje. I ludzie też jakby podobni, zajęci sobą, dla przybyszów życzliwi, ale zaciekawieni i jakby coraz bardziej nieufni wobec obcych. To chyba już nie dziwi. W ciągu ostatnich kilkunastu dni liczący niespełna 4 tys. mieszkańców Pruchnik i jego mieszkańcy stali się obiektem potężnej kampanii oskarżeń i antysemickich zarzutów.

– Że niby my antysemici? Idź pan na cmentarz, zobacz, jak tu dbamy o groby tych, co polegli w walce z Niemcem. To jacy z nas antysemici? Stary obyczaj, ktoś zrobił głupią akcję, ktoś inny głupio opisał i g...o się na nas wylało – denerwuje się starszy mężczyzna spotkany w pobliżu przystanku lokalnego busa. Pytany, czy uczestniczył w wydarzeniu, jakie rozegrało się w Pruchniku w Wielki Piątek, zaciska usta. – Po to pan przyjechał? Skandalu szuka? – rzuca, pospiesznie odchodząc.

KUKŁA POLITYCZNIE NIEPOPRAWNA

Oficjalna strona gminy Pruchnik. Opis miasteczka. Czytamy w nim: „Przywiązanie pruchniczan do historii i tradycji odbija się nie tylko w architekturze. Mieszkańcy pieczołowicie pielęgnują stare obrzędy i zwyczaje, np. rokrocznie odbywa się »Sąd nad Judaszem«". Identyczny opis zachęcający turystów do odwiedzin w miasteczku widnieje też na stronie WWW powiatu jarosławskiego. A popularny portal turystyczny PolskaNiezwykła.pl opisuje: „Pruchnik ma niespotykany nigdzie indziej w Polsce obrzęd związany z Wielkanocą...".

– Hejt, jaki się na nas wylał, jest olbrzymi. Jesteśmy zbyt małą gminą, by walczyć z całym światem. Symboliczny sąd nad Judaszem, kukłą, która była personifikacją zdrajcy, był lokalną tradycją od bardzo dawna. W tej tradycji nie chodziło jednak o żadne bicie Żyda ani jakiś akt przemocy, ale bardzo symboliczne ukaranie Judasza za zdradę Chrystusa. I tyle – mówi nam Robert Grządziel, sekretarz gminy Pruchnik.

Tradycja „Sądu nad Judaszem" w Pruchniku sięga XVIII w. Kukłę symbolizującą zdrajcę wieszano w widocznym miejscu w miasteczku, później otrzymywała 30 kijów – tyle, ile srebrników otrzymał Judasz. Później sponiewieraną kukłę wleczono nad rzekę, gdzie była – niczym marzanna – topiona. Tradycyjnie też w wydarzeniu uczestniczyły, pod okiem rodziców, dzieci, tak by czerpały z niego naukę, że za zdradę ponosi się karę.

Ostatni raz w Pruchniku oficjalnie przeprowadzano „Sąd nad Judaszem" w 2009 r.,

eprasa.pl cd6a0bf674

później, przez kolejne 10 lat, władze samorządowe, także pod nieformalnym naciskiem Kościoła, już obyczaju nie kultywowały. Starsze pokolenie odeszło, młodzi, którzy weszli w dorosłe życie, zwyczaju nie znali. Niespodziewanie wrócił w ostatni Wielki Piątek. Dwóch mężczyzn wywiesiło kukłę Judasza – stylizowaną na ortodoksyjnego Żyda (kukła miała czerwony nos, pejsy i brodę oraz charakterystyczny kapelusz) – i przy aplauzie kilkudziesięciu mieszkańców miasteczka, w tym dzieci, tłukło go pałkami. Później „Judaszowi" obcięto głowę, podpalono tułów i utopiono go w rzece Mleczka.

Sprawę opisał dziennikarz lokalnego portalu EkspresJarosławski.pl. Mocno wyeksponował rzekomo antysemicki wątek zdarzenia, podkreślił udział dzieci. Sam opis „Sądu nad Judaszem" sprawia wrażenie, jakby autor materiału relacjonował któryś z przedwojennych antyżydowskich pogromów.

– Niepotrzebne to było – słyszymy od jednego z pruchniczan spotkanych na miejscowym urokliwym rynku. – Oglądałem film, wyglądało to jak zwykła awantura, a nie tradycyjny obyczaj. Ale to, jak ten dziennikarz przedstawił, co się działo... Horrory powinien pisać – komentuje nasz rozmówca.

Publikacja wywołała burzę. Natychmiast sprawą zajęły się lewicowo-liberalne media, głos zabrali politycy od lewa do prawa. „Takimi »akcjami« jak w Pruchniku (wbrew miejscowemu proboszczowi) zaciera się piękne świadectwo rodziny Ulmów" – tweetował szef MSWiA Joachim Brudziński. Głos zabrał też Episkopat Polski. „Kościół katolicki nigdy nie będzie tolerował objawów pogardy do członków jakiegokolwiek narodu, w tym do narodu żydowskiego" – napisał w oświadczeniu bp Rafał Markowski, przewodniczący Rady ds. Dialogu Religijnego i Komitetu ds. Dialogu z Judaizmem KEP. Zagrzmiał też Światowy Kongres Żydów. A lewicowe media, na czele z „Wyborczą", wykorzystały wydarzenia w Pruchniku do powielania mitu o rzekomym polskim antysemityzmie. „Bicie Judasza w Pruchniku: ludobójstwo zaczyna się od takich obrzędów" – przekonywał na łamach „GW" Dawid Warszawski.

DOLEWANIE OLIWY DO OGNIA

– Myślę, że główną przyczyną awantury było to, iż kukła tak bardzo przypominała ortodoksyjnego Żyda. Nie rozumiem, dlaczego organizator tej akcji tylko przez swoją głupotę tak wyeksponował postać tej kukły czy było to działanie zamierzone. Jeżeli tak, to co to miało na celu: dopiec, dokuczyć mieszkańcom i władzom Pruchnika? Nie jestem w stanie określić, co kierowało tym człowiekiem, że w taki sposób przedstawił kukłę – mówi nam Robert Grządziel.

Sekretarz gminy jest jedynym przedstawicielem władz lokalnych, z którym udało nam się porozmawiać i który zgodził się, by zacytować jego wypowiedzi. Burmistrz Pruchnika Wacław Szkoła poszedł na urlop, nie chce rozmawiać z dziennikarzami, jego sekretarka nie zgadza się na przekazanie prośby o kontakt. Starosta powiatu jarosławskiego Tadeusz Chrzan w czwartek był nieuchwytny – brał udział w Zlocie Gwiaździstym. Z jego zastępcą – wicestarostą Mariuszem Trójakiem, który, jak informowały media, ponoć miał obserwować „Sąd nad Judaszem", też nie udało się nam ani spotkać, ani porozmawiać. Najpierw – jak przekonywano nas w starostwie – był w terenie, później też nie miał czasu na rozmowę z dziennikarzem. „Jestem na spotkaniu" – napisał nam w SMS-ie i przez kolejne dni nie odebrał już telefonu.

Tymczasem organizatorami „Sądu nad Judaszem" zajęła się policja i prokuratura. 45-letniemu mężczyźnie, mieszkańcowi gminy Pruchnik, i jego 17-letniemu pomocnikowi postawiono zarzuty nieobyczajnego wybryku. Nastolatkowi: tamowania drogi publicznej, mężczyźnie – nieostrożnego obchodzenia się z ogniem. W mediach społecznościowych zawrzało – bardzo wielu komentujących uważało, że robienie burzy wokół wydarzeń z Pruchnika to hucpa i uleganie liberalnej lewicy zwalczającej tradycyjne zwyczaje.

Pikanterii sprawie dodaje to, że organa ścigania w zasadzie nie potrafią wytłumaczyć powodów wszczęcia postępowania w całej sprawie i rozkręcenia w ten sposób spirali, która odbiła się też w zachodnich mediach. Prokuratura Okręgowa w Przemyślu wydała oświadczenie, że to nieprawda, jakoby prowadziła postępowanie w sprawie palenia kukły, i przekonywała, że była to inicjatywa wyłącznie Komendy Powiatowej Policji w Jarosławiu. Pytamy o wszczęcie dochodzenia i tam, ale odpowiedź, jaką otrzymaliśmy, to banalny slogan. Funkcjonariusze policji nie są w stanie wyjaśnić, dlaczego w ogóle zainteresowali się teraz wydarzeniem, którego korzenie sięgają XVIII w.

Czy była to tylko nadgorliwość miejscowego komendanta, nadgorliwość, która przyczyniła się do rozpętania burzy? Niewykluczone. Policjanci przyznają, że głównym powodem wszczęcia dochodzenia był artykuł w Ekspresie Jarosławskim.

– Mając na uwadze charakter wydarzenia, które wywołało ogromny wydźwięk społeczny zarówno w mediach ogólnopolskich, jak i światowych, a co za tym idzie: również mnóstwo komentarzy i wniosków o podjęcie działań, policja zobowiązana była prawnie do przeprowadzenia czynności wyjaśniających. Podejmowane działania mają na celu szczegółowe wyjaśnienie opisywanych zgłoszeń związanych ze zdarzeniem i na ich podstawie podejmowane będą dalsze decyzje – poinformowała nas asp. szt. Anna Długosz z Komendy Powiatowej Policji w Jarosławiu.

GŁUPOTA CZY PROWOKACJA?

Przy niewielkim rynku w Pruchniku o wydarzeniu z Wielkiego Piątku właściwie ludzie już nie rozmawiają. Było, minęło. Podpytywani mówią o głupocie organizatorów, sugerują, że mężczyzna, któremu postawiono zarzuty, był mieszkańcem gminy, a nie miasteczka, a także że cała akcja mogła być prowokacją. Teoria spiskowa jest też powszechna w Internecie.

Na stronie urzędu gminy Pruchnik burmistrz Wacław Szkoła zamieścił oświadczenie: „Pragnę wyrazić ubolewanie z powodu zaistniałego zdarzenia. Wręcz żałosnym i skrajnie nieodpowiedzialnym jest fakt, iż do inscenizacji zaangażowano dzieci. Odczytuję to wręcz jako prowokację niektórych środowisk lub osób, które – nie wiedzieć dlaczego – za nic mają dobre imię Pruchnika, jak i całej naszej Ojczyzny" – napisał w nim.

Tradycja „Sądu nad Judaszem" to obyczaj charakterystyczny nie tylko dla Pruchnika. W czeskich Pardubicach znany jest zwyczaj „topienia Judasza", a w 2015 r. mennica czeska wyemitowała serię sześciu kolekcjonerskich złotych monet; rewers jednej z nich był poświęcony właśnie tej tradycji. Z kolei tradycja przedświątecznego „palenia Judasza" praktykowana jest m.in. w polskim Skoczowie, a także lokalnie w niektórych regionach, m.in. Grecji, Słowacji, Brazylii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd6a0bf674

Tajemnica pięciu minut

Radosław Wojtas

Podejrzany o zabójstwo Ewy Tylman został uniewinniony. Po niemal 3,5 roku od śmierci i ponad dwóch latach trwania procesu najbliżsi poznanianki wciąż nie znają odpowiedzi na najważniejsze pytania o ostatnie chwile życia Ewy

Andrzej Tylman został wyproszony z sali sądowej tuż po ogłoszeniu wyroku w sprawie śmierci swojej córki Ewy. Nie potrafił pogodzić się z uniewinnieniem przez Sąd Okręgowy w Poznaniu oskarżonego o zabójstwo z zamiarem ewentualnym Adama Z. – Masz ostatnią szansę powiedzieć, co się tam stało! Co siedzisz i nic nie mówisz? Czemu nic nie mówisz? – krzyczał do Adama Z., kolegi z pracy Ewy Tylman, który prawdopodobnie jako ostatni widział Ewę żywą.

Po dwóch latach procesu sąd ocenił, że nie ma wystarczających dowodów na to, by uznać Adama Z. za winnego zabójstwa czy nawet nieudzielenia pomocy Tylman. Prokuratura domagała się 15 lat więzienia dla mężczyzny, który po firmowej imprezie w nocy z 22 na 23 listopada 2015 r. wyszedł z Ewą z jednego z poznańskich klubów. Ich drogę zarejestrowały kamery miejskiego monitoringu, ale ostatnie minuty pozostają zagadką. Para znajomych na kilka minut znajduje się poza zasięgiem kamer. A potem wraca już tylko Adam Z. Po miesiącach poszukiwań ciało Ewy wyłowiono z Warty.

Co się działo tuż przed śmiercią dziewczyny? Zdaniem prokuratury było tak: między Ewą Tylman a prowadzącym ją przez miasto Adamem Z. doszło do sprzeczki i szarpaniny nad skarpą przy Warcie. Ewa straciła równowagę, spadła. Przestraszony Adam Z. przeciągnął ją do wody i popchnął tak, by popłynęła z nurtem rzeki.

„RAZ POWIEDZIAŁ PRAWDĘ"

Tyle że sąd uznał, iż prokuratura nie zgromadziła dość materiału, by potwierdzić taką wersję zdarzeń. Jednym z filarów aktu oskarżenia były zeznania policjantów dotyczące wyjaśnienia złożonego przez Adama Z. na początku postępowania. To wtedy mężczyzna miał opisać ostatnie minuty życia Ewy Tylman. Miał mówić o sprzeczce, o tym, że kobieta zaczęła przed nim uciekać, że dogonił ją na skarpie przy Warcie, o utracie równowagi i upadku. O tym, że – nie sprawdzając, czy Ewa żyje, czy nie – w panice przeciągnął ją do wody.

Jednak taką wersję wydarzeń oskarżony w tej głośnej sprawie miał przedstawić tylko raz, i to podczas nieprotokołowanej rozmowy. Po skierowaniu przez prokuraturę do sądu aktu oskarżenia Adam Z. zaczął twierdzić, że obciążające go zeznania zostały na nim wymuszone. Sprawą zajęła się prokuratura, ale śledztwo zostało umorzone.

– Ten jeden jedyny raz powiedział prawdę – mówiła o tej nieprotokołowanej rozmowie z policjantami prok. Magdalena Mazur-Prus. – Wszystko, co oskarżony wyjaśnia później, jest wyłącznie przyjętą linią obrony – dodawała prokurator w mowie końcowej procesu przed sądem okręgowym. Jednak sąd miał inną ocenę tej sytuacji. Uznał, że zeznania policjantów opisujących rozmowę z Adamem Z. nie mogą być decydującym dowodem. Zdaniem sądu oskarżony nie miał ani motywu, ani sposobności, by dokonać zabójstwa. Nie miał dość czasu, bo poza zasięgiem kamer znajdował się przez 5 min i 8 s. Przeprowadzony w lutym 2016 r. eksperyment na miejscu zbrodni wykazał, że to zbyt krótko, by mógł zrealizować się scenariusz zdarzeń przedstawiony przez prokuraturę. Co więcej, sąd uznał, że Adama Z. nie można skazać nawet za nieudzielenie pomocy. Jak mówiła w uzasadnieniu wyroku sędzia Magdalena Grzybek: „Materiał dowodowy nie dał odpowiedzi na pytanie, w jakich okolicznościach Adam rozstał się z Ewą tamtej nocy".

„PORAŻKA WYMIARU SPRAWIEDLIWOŚCI"

– Jakich dowodów nie ma? Przez dwa lata przyjeżdżaliśmy tutaj, żeby to usłyszeć? Jak tak można robić? Pogłaszczcie go jeszcze. Ja nie wiem, co zrobiła prokuratura. Nie ma sprawiedliwości

eprasa.pl cd6a0bf674

Ewa Tylman zaginęła w nocy z 22 na 23 listopada 2015 r. Jej ciało znaleziono w Warcie dopiero po ośmiu miesiącach FOT. LASKI DIFFUSION/EAST NEWS

Prokuratura domagała się dla Adama Z. 15 lat więzienia, rodzina Ewy Tylman – dożywocia. Mężczyzna został uniewinniony FOT. ADAM JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

w Polsce – mówił już poza salą sądową ojciec Ewy Tylman. O porażce wymiaru sprawiedliwości mówił również Wojciech Wiza, jeden z pełnomocników rodziny zmarłej (rodzina występująca w roli oskarżyciela posiłkowego domagała się dla Adama Z. dożywocia). – Wydaje się, że w takim zawieszeniu, w jakim pozostaje ta sprawa, i pewnym niewyjaśnieniu istotnych okoliczności to jest porażka wymiaru sprawiedliwości, czemu ojciec Ewy Tylman dał wyraz – powiedział dziennikarzom TVN24 Wojciech Wiza.

W wydanym przez prokuraturę w tej sprawie oświadczeniu czytamy: „Według prokuratury, sąd niezasadnie nie dał wiary zeznaniom trzech funkcjonariuszy Komendy Wojewódzkiej Policji w Poznaniu, którym tuż po zatrzymaniu Adam Z. opowiedział przebieg całego zdarzenia. […] W swych zeznaniach funkcjonariusze policji, opisując rozmowę z Adamem Z., podali szczegóły, które znać mógł tylko sprawca tego przestępstwa. Ustalony w postępowaniu przygotowawczym przebieg zdarzeń zdaniem prokuratury znalazł pełne potwierdzenie w przeprowadzonych potem dowodach […]. Wszystkie te dowody łączą się w logiczny ciąg zdarzeń i brak jest podstaw, by którykolwiek z nich uznać za nieprawdziwy”.

Prokuratura zapowiedziała złożenie apelacji. W przypadku wyroku uniewinniającego sąd może – jeśli uzna argumenty strony apelującej za zasadne – uchylić wyrok do ponownego rozpoznania.

„NIE ZABIŁEM”

Ewa Tylman była zastępcą kierownika w sklepie dużej sieci drogerii w jednej z galerii handlowych w Poznaniu. W chwili zaginięcia miała 26 lat. Nie wróciła z imprezy integracyjnej, z której wyszła w towarzystwie Adama Z. Na zabezpieczonych nagraniach monitoringu widać oboje idących chwiejnym krokiem przez miasto. Ostatnie z nagrań, na których można dostrzec Ewę, pochodzi z okolic mostu św. Rocha. Potem widać już tylko mężczyznę.

Mimo zakrojonych na szeroką skalę poszukiwań i przeczesywania rzeki przez płetwonurków ciała zaginionej nie udawało się odnaleźć przez całe miesiące. Dopiero 25 lipca 2016 r. przypadkowy przechodzień natknął się na zwłoki kobiety. Około 10 km od miejsca, gdzie kamery monitoringu po raz ostatni zarejestrowały Ewę Tylman.

Od samego początku głównym podejrzanym w sprawie zaginięcia i śmierci młodej dziewczyny był Adam Z. Poznański sąd przesłuchał 75 świadków – m.in. bliskich i rodzinę Ewy Tylman, a także Adama Z., uczestników imprezy i przypadkowe osoby, które mogły widzieć, co się wydarzyło nad Wartą, a nawet osoby osadzone z Adamem Z. w areszcie. Wśród składających zeznania był mężczyzna, który w liście do prokuratury napisał, że widział tego dnia nad rzeką kłótnię kobiety i mężczyzny. Jednak jego zeznania uznano za niewiarygodne i pełne sprzeczności.

Jedna z zeznających kobiet powiedziała przed sądem, że widziała, jak ktoś zrzuca Ewę Tylman z mostu do rzeki. W toku postępowania wyszło jednak na jaw, że nie mówiła prawdy. Kobieta usłyszała wyrok za składanie fałszywych zeznań, do czego – zdaniem prokuratury – miał ją namówić pracownik jednej z firm detektywistycznych.

Z biegiem trwania procesu kruszyły się podstawy, na których oparto oskarżenie Z. 17 lutego 2017 r. poznański sąd ogłosił, że możliwa jest zmiana kwalifikacji zarzutów z zabójstwa na nieudzielenie pomocy, a trzy dni później oskarżony wyszedł z aresztu.

Na pierwszej rozprawie, 3 stycznia 2017 r., Adam Z. zza pancernej szyby powiedział: „Nie przyznaję się. Nie zabiłem Ewy Tylman”. 17 kwietnia 2019 r. sąd orzekł, że nie ma dowodów na to, aby nie dać tym słowom wiary.

Ani dochodzenie, ani postępowanie przed sądem nie odpowiedziały jednak na najważniejsze pytanie, z którym bliscy Ewy Tylman będą musieli dalej żyć: Jak i dlaczego umarła?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd6a0bf674

Wiesław Chełminiak

Świat byłby lepszy, gdyby rządziła nim sycylijska mafia. Dowiedzieliśmy się o tym dokładnie pół wieku temu od zdesperowanego pisarza z Nowego Jorku

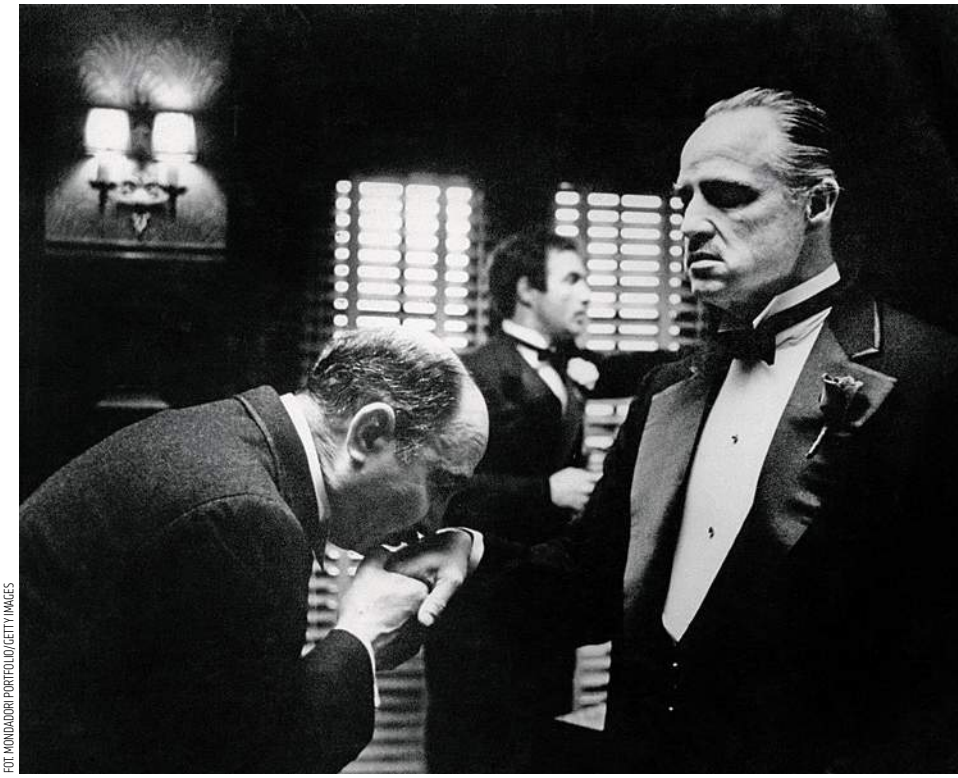

FOT. MONDADORI PORTFOLIO/GETTY IMAGES

Rodzina jest najważniejsza

Zasług literatury w promowaniu patologii nie sposób przecenić. Trudno też zaprzeczyć, że zapotrzebowanie na fabuły porno-brutalne rosło wraz z postępami walki z analfabetyzmem. Nowo nabytą umiejętność czytania wykorzystywano zwykle nie po to, by studiować dzieła Hegla. O wiele większe wzięcie mieli autorzy, którzy – odgadując mroczne pragnienia publiczności – mnożyli opisy krwawych zbrodni dokonywanych przez zdemoralizowanych przestępców. Równie dobrze sprzedawały się opowieści o sympatycznych łajdakach w typie balzakowskiego Vautrina. Pech, intryga wrogów lub zwykły przypadek sprawiły, że popadli w konflikt z prawem, trafili do więzienia i w złe towarzystwo. W głębi duszy pozostali jednak dobrymi chrześcijanami.

Przyjemność, którą twórcy i odbiorcy takiej literatury czerpali z nurzania się w oceanach grzechu i występku, miała swoje granice. Hipokryzja (oraz obawa przed interwencją cenzorów) nakazywała, by w finale kryminalista przegrywał i ponosił zasłużoną karę. Wizja zła triumfującego nie przestawała wszakże kusić i gdy tylko maska wstydu oraz narzuconych ograniczeń opadła, ukazała się światu w całej swej krasie.

PRZEPIS NA BESTSELLER

Mario Gianluigi Puzo, rocznik 1920, urodził się w owianej złą sławą nowojorskiej dzielnicy Hell's Kitchen. Korzenie miał neapolitańskie, nie sycylijskie. Gdy wybuchła wojna, zaciągnął się do armii, lecz z powodu marnego wzroku zamiast na front trafił za biurko. Po powrocie do Ameryki dorabiał do urzędniczej pensji, pisząc wyssane z palca artykuły o życiu celebrytów. Jako prozaik zadebiutował „Mroczną areną" – opowieścią o zdemobilizowanym amerykańskim żołnierzu, próbującym sobie ułożyć na nowo życie na gruzach III Rzeszy. W 1965 r. światło dzienne ujrzała „Dziesiąta Aleja" – zbiorowy portret włoskich imigrantów w Nowym Jorku, życzliwie przyjęty przez krytykę, lecz zignorowany przez czytelników.

Puzo, który dobijał już pięćdziesiątki i miał na utrzymaniu żonę oraz pięcioro dzieci, pojął, że drugim Remarkiem nie zostanie. Schował literackie ambicje do kieszeni. Dotąd był jak lustro przechadzające się po gościńcu. Przenosił na papier własne doświadczenia, frustracje i nadzieje. Teraz postanowił puścić wodze fantazji, opisać rzeczywistość, którą znał tylko ze słyszenia, światek wielkich zbrodni i jeszcze większych pieniędzy.

Ameryki Puzo nie odkrył. W roku 1969, gdy ukazał się „Ojciec chrzestny", zorganizowana przestępczość była solidnie udokumentowanym zjawiskiem. Gangsterskie filmy spopularyzowały wizerunek bandyty w kapeluszu i garniturze, z nieodłącznym pistoletem maszynowym w ręku. Po raz pierwszy jednak kryminalna intryga została ubrana w kostium rodzinnej sagi. Puzo, ponaglany przez wydawcę, zastosował chwyty typowe dla literatury brukowej. Brutalność miesza się tu z sentymentalizmem, erotyczne swawole z erupcjami sadyzmu.

Pisarz zadbał jednak o społeczne i psychologiczne tło. Nawet postaci z drugiego planu zaopatrzył w curriculum vitae. Powieść sławi męskie cnoty. Kobiety to cwaniaczki, kapryśne idiotki, seksualne zabawki albo zołzy, które „nie znoszą, jak mężczyznom za dobrze się wiedzie". Mizoginia dość zaskakująca, zważywszy na to, że centralną postacią „Dziesiątej Alei" była heroiczna matka Włoszka.

Puzo trochę się wstydził „Ojca chrzestnego". Opowiadał po latach, że chciał go jeszcze od strony literackiej ulepszyć, ale zniecierpliwiony wydawca rzucił powieść

eprasa.pl cd6a0bf674

na rynek, a gdy odniosła gigantyczny sukces, o poprawkach nie mogło już być mowy. 67 tygodni na liście bestsellerów „New York Timesa”, 10 mln sprzedanych egzemplarzy w ciągu dwóch lat, ponad 20 mln w ogóle. Te liczby zamknęły usta krytykom. Do powszechnego obiegu weszły takie włoskie słówka jak: vendetta, omerta czy consigliere. Termin „ludzie honoru” zmienił nieco swój sens. Kiedy Puzo wyznał w autobiografii, że „Ojciec chrzestny” to najmniej ulubiona z jego książek, uznano to za objaw kokieterii.

WŁADCA MARIONETEK

Akcja startuje w sierpniu 1945 r. Don Vito Corleone, właściciel firmy importującej do Stanów Zjednoczonych włoską oliwę, a nieoficjalnie szef jednej z pięciu mafijnych Rodzin, wydaje swoją córkę za mąż. FBI spisuje numery samochodów, podjeżdżających pod rezydencję na Long Island, a goście weselni zabiegają o audiencję u gospodarza. Don Vito słynie bowiem jako człowiek, „do którego wszyscy zwracają się o pomoc i nigdy nie doznają zawodu”.

Klan Corleone kontroluje banki, domy maklerskie, firmy odzieżowe, hotele, kasyna, nielegalne szulernie i związki zawodowe. Ma wtyczki w policji, sądach i Kongresie. Ojciec chrzestny każdego wysłucha, gdyż „nigdy nie opuszcza swoich przyjaciół”. Za młodu bywał brutalny, jako patriarcha jest wzorem opanowania i uprzejmości. Załatwiając interesy, stawia na łagodną perswazję. Świetny mówca, wybitny taktyk i strateg, znawca ludzkiej natury. Z przekonań konserwatysta, lecz daleki od doktrynerstwa. „Musimy iść naprzód razem z naszą epoką” – oto jego credo.

Don Vito wierzy w Amerykę, kraj nieograniczonych możliwości, lecz z Włoch przywiózł pogardę dla rządu. Jak to celnie ujmuje jego syn i następca, Vito Corleone „kieruje się kodeksem etycznym, który uważa za znacznie wyższy od legalnej struktury społeczeństwa”. Przestępcą został niejako z musu. Jakim cudem niewykształcony przybysz z zabitej deskami sycylijskiej wioski stał się królem nowojorskiej dżungli, tego Puzo nie wyjaśnia zbyt dokładnie. Sądząc po rezultatach, ojciec chrzestny był samorodnym geniuszem. Stworzył system przejrzysty i zarazem wyrafinowany, niewiarygodnie wydolny i skuteczny.

Im lepiej poznajemy Dona, tym bardziej dziwi nas, że ciąży na nim społeczna anatema. Ten rzekomy potwór brzydzi się sutenerstwem i handlem narkotykami. Swego czasu przygarnął dzieciaka z ulicy i wychował jak własnego syna, choć ten wcale nie był Sycylijczykiem. Dba o podwładnych, zawsze dotrzymuje danego słowa, szanują go nawet zajadli wrogowie. Umiera we własnoręcznie pielęgnowanym ogrodzie, mówiąc na pożegnanie: „Życie jest takie piękne”.

Stary Corleone liczył, że nie wszyscy synowie pójdą w jego ślady. Sonny miał zostać prawnikiem, bo „adwokaci z teczką mogą nakraść więcej pieniędzy niż tysiąc ludzi z rewolwerami i w maskach”. Niestety, wyrósł na raptusa i łamignata. Gdy Don Vito trafia do szpitala i przestaje doglądać rodzinnego interesu, wychodzi na jaw, jak daleko pierworodnemu do klasy ojca. Fredo, dla odmiany, nie grzeszy rozumem ani odwagą. Do akcji musi więc wkroczyć najmłodszy Michael, dystansujący się nieco od rodziny bohater wojenny. I on jednak ma wadę – traktuje wszystko zbyt osobiście.

GANGSTER SUPERSTAR

Kilka postaci z książki miało swoje odpowiedniki w prawdziwym życiu. Prototypem Don Vita Corleone był mafioso Frank Costello, zwany „premierem podziemia”. Podupadły piosenkarz Johnny Fontane, który błaga ojca chrzestnego o załatwienie mu roli w hollywoodzkiej produkcji, to nikt inny jak Frank Sinatra. Bandzior Moe Green, uważający się za króla Las Vegas, jest sobowtórem Bugsy'ego Siegela.

Tropiciele związków popkultury z klasyką rychło zauważyli, że familia Corleone przypomina cokolwiek rodzinę Karamazow. Słynny zwrot o składaniu „propozycji nie do odrzucenia” Puzo pożyczył sobie z „Ojca Goriot”. Balzakowskie było również motto powieści: „Za każdą wielką fortuną kryje się zbrodnia”. Skoro wszyscy bogacze mają krew na rękach, to należy tym bardziej docenić nowojorskiego mafiosa, który woli negocjować niż toczyć wojnę.

Puzo tworząc dzieło, które uczyniło go sławnym, tak bardzo potrzebował gotówki, że wbrew radom swego agenta sprzedał wytwórni Paramount prawa do ekranizacji za jedyne 12,5 tys. dol. Sukces powieści sprawił jednak, że poproszono go o napisanie scenariusza. Tym razem kontrakt opiewał na 100 tys. i procent z zysków z rozpowszechniania filmu. Pisarz upierał się, że rolę tytułową powinien zagrać Marlon Brando. Wytwórnia stawiała opór nie dlatego, że gwiazdor wydawał się ciut za młody (gdy kręcono „Ojca chrzestnego”, miał 47 lat) i nie był Włochem. Obawiano się, że kapryśny i arogancki Brando rozłoży cały projekt, czego – wobec serii dotkliwych kasowych porażek – Paramount chciał za wszelką cenę uniknąć.

Pochodzenie zdecydowało natomiast o wyborze reżysera. Sergio Leone, któremu marzył się epicki film o gangsterach z epoki prohibicji pt. „Dawno temu w Ameryce”, odmówił. Francis Ford Coppola też początkowo nie palił się do tej roboty, bo prozę Puzo oceniał bardzo nisko. Dziwnym trafem, w powieści jednym z petentów Don Vita jest niejaki Anthony Coppola. Brakuje mu pieniędzy na otwarcie pizzerii. Wytwórnia zachęcała reżysera do eksponowania przemocy. Za to sceny łóżkowe się w scenariuszu nie zmieściły. To charakterystyczne dla Hollywood, które łatwo przyzwala na wypruwanie bebechów, ale goliznę dawkuje wielce oszczędnie.

Czy „ludzie honoru” czynili Coppoli jakieś wstręty? Ponoć od ekipy filmowej zażądano haraczu i musiała z okolic Palermo przenieść się pod Mesynę. Plotkowano, że określenia „mafia” i „cosa nostra” zniknęły z dialogów, bo studio bało się narazić prawdziwym Rodzinom. W rzeczywistości był to efekt nacisku, który wywarło na szefów Paramountu wpływowe stowarzyszenie włoskich imigrantów. Podkreślanie narodowości przestępców uwłaczało przecież tysiącom uczciwych Amerykanów, pochodzących ze słonecznej Italii.

Mimo wysiłków montażystów „Ojciec chrzestny” trwa prawie trzy godziny. Nikt nie wychodził jednak z kina znudzony. Film przyniósł rekordowy zysk, zwiększając przy okazji siłę rażenia powieści. Studio zafundowało Coppoli luksusowego mercedesa, błagając, by raczył wyreżyserować ciąg dalszy. Ten zgodził się, ale pod warunkiem że dostanie władzę dyktatorską. Zrobił z niej użytek, kompletnie przerabiając scenariusz. „Ojciec chrzestny II” jest zarazem sequelem i prequelem. W 45-minutowej retrospekcji pokazano bowiem początek kryminalnej kariery Don Vita, pobieżnie opisany w książce, na podstawie której nakręcono „jedynkę”. To wystarczyło, by Puzo (do spółki z Coppolą) znowu dostał Oscara za „scenariusz adaptowany”. Grający Michaela Al Pacino musiał zadowolić się nominacjami. A przecież był właściwym człowiekiem na właściwym miejscu: jego dziadkowie mieszkali na Sycylii w miasteczku... Corleone.

LEPSI OD POLITYKÓW

Chciałoby się w tym miejscu zakończyć, zapomnieć o próbach odcinania kuponów od legendy, zwieńczonych

eprasa.pl cd6a0bf674

słabiutkim „Ojcem chrzestnym III". Puzo potrzebował jeszcze kilku lat, by zrozumieć, że publiczność docenia go wyłącznie jako pisarza jednego tematu. „Sycylijczyk", „Ostatni Don", „Omerta" – te powieści odniosły sukces, gdyż powielały schemat, którzy czytelnicy już zdążyli poznać i polubić. W wydanych pośmiertnie „Borgiach" Puzo sportretował tytułową papieską familię jako praszczurów mafii. Do końca życia na zlecenie Paramountu klecił scenariusze o familii Corleone. W jednym z nich wnuczek Don Vita zostaje zwerbowany przez CIA, która zleca mu zabójstwo południowoamerykańskiego dyktatora. Coppola spasował, więc studio chciało posadzić na reżyserskim stołku Sylvestra Stallone'a. On też miał zagrać główną rolę. Projekt na szczęście umarł śmiercią naturalną.

Ząb czasu nie nadgryzł filmowego „Ojca chrzestnego". Operowy rozmach, przewrotne połączenie rodzinnej psychodramy z brutalnym kryminałem, idealnie dobrani aktorzy, zapadająca w pamięć muzyka Nino Roty – te patenty nadal działają. Trudno wyobrazić sobie ranking, w którym na szpicy zabrakłoby pierwszej i drugiej części mafijnej sagi. Z powieścią jest trochę inaczej. Czytana pół wieku po premierze wydaje się więcej mówić o czasach, w których powstała, niż o sycylijsko-amerykańskim syndykacie zbrodni.

A czasy były, łagodnie mówiąc, niespokojne. Rok przed „Ojcem chrzestnym" na ekranach królował Brudny Harry, oskarżany przez krytyków o zapędy faszystowskie, zaś twórcy „Nędznych psów" testowali granice odporności widzów na ekranową przemoc. Afera Watergate zataczała coraz szersze kręgi. Kilka miesięcy przed premierą „Ojca chrzestnego II" do dymisji podał się prezydent Nixon. Zaufanie do państwowych instytucji sięgnęło dna, podobnie jak poczucie bezpieczeństwa. W 1970 r. Kongres USA uchwalił ustawę o zwalczaniu zorganizowanej przestępczości.

Wizja wszechmocnej i wszechobecnej cosa nostry trafiła do wyobraźni milionów. Mało kto zdawał sobie sprawę, że jest ona w gruncie rzeczy wydumana. Puzo wiedział o mafii tyle, ile wyczytał w gazetach, resztę sobie dośpiewał. „Każdy chciałby mieć kogoś, do kogo można by się udać po sprawiedliwość z pominięciem sądu i prawników" – oświadczył, pytany o źródło powodzenia „Ojca chrzestnego". Firma Corleone

Mario Puzo sam nie uważał „Ojca chrzestnego" za swoją dobrą książkę

FOT. MARTY LEDERHANDLER/AP/EAST NEWS

jest przeciwieństwem niesprawnego, skorumpowanego, obojętnego na ludzką krzywdę państwa. Potrafi zapewnić ład i porządek, bezwzględnie eliminując jednostki chciwe, zdradzieckie oraz aspołeczne. Szanuje przy tym religię i wartości rodzinne.

Człowiek honoru gardzi politykami. „Nie mam zamiaru składać swego losu w ręce tych, których jedyną kwalifikacją jest to, że zdołali wykołować grupę ludzi, żeby na nich głosowali" – mówi Michael. Jego zdaniem, gdyby Rodziny kierowały Departamentem Stanu, nie wybuchłaby II wojna światowa. Hitler zostałby bowiem usadzony już w Monachium.

Ten spiżowy wizerunek bardzo spodobał się prawdziwym przestępcom. Każdy z nich chciał być jak Don Vito. Louie Milito, capo nowojorskiej familii Gambino, zanim został zabity w 1988 r., obejrzał „Ojca chrzestnego" sześć tysięcy razy. Tak przynajmniej twierdziła jego żona. Louie z kumplami przerzucali się cytatami z filmu, niektórzy zaczęli się nawet uczyć włoskiego.

WITAJCIE W BABILONIE

W książce Puzo mocno wyeksponował wątek hollywoodzki. W filmie zredukowano go do epizodu, w którym producent megaloman pochopnie odrzuca „propozycję nie do odrzucenia". Kończy się to jego upokorzeniem i kapitulacją. Consigliere rodziny Corleone poważnie zastanawia się, czy nie warto na całego wejść w biznes kierowany przez takich pajaców. Kontrolując związki zawodowe, cosa nostra może sparaliżować dowolną hollywoodzką produkcję. Od jej widzimisię zależy również, który aktor dostanie Oscara.

Wspomniany producent to nie byle kto: przyjaźni się z Hooverem, zna prezydenta i śpi na milionach. Jak przystało na nuworysza, jada na srebrnej zastawie i mieszka w rezydencji wzorowanej na pałacach plantatorów bawełny. Zdaje się, że wzorem dla tej postaci był Jack Warner, najpotężniejszy z zarządców kalifornijskiej fabryki snów. W czasach, gdy Puzo był ledwie podrzędnym dziennikarzyną, w Ameryce krążyły legendy o bogactwie i seksualnym rozpasaniu tego potomka mazowieckich Żydów.

W powieści Hollywood jest Babilonem z najgorszych koszmarów bogobojnych Amerykanów. Młode aktorki bez żenady kupczą swym ciałem, druga żona Johnny'ego Fontanego, gwiazda filmowa (Ava Gardner?) sypia z kim popadnie. Na bankiecie po rozdaniu Oscarów omal nie dochodzi do publicznej kopulacji laureatów. Do obowiązków początkujących adeptów X muzy należy zaspokajanie chuci podstarzałych sław. Matka wpycha nieletnią córkę do łóżka hollywoodzkiego magnata.

Co ciekawe, gdy Puzo sam stał się trybikiem filmowej machiny, stanowczo zaprzeczał pogłoskom, jakoby show-biznesem rządzili ludzie amoralni. Pomijając „Ojca chrzestnego", scenarzystą okazał się przeciętnym. Aby się o tym przekonać, wystarczy obejrzeć „Trzęsienie ziemi", „Cotton Club" czy „Kolumba odkrywcę". Trochę lepiej poszło mu z „Supermanem", za młodu przymierzał się do pisania komiksów, ale nie był w stanie pracować w tempie narzuconym przez wydawcę.

Czytanie książek jest obecnie passé, więc dla autora „Dziesiątej Alei" przepustką do nieśmiertelności są przede wszystkim ekranizacje jego powieści. Umierając w 1999 r., Puzo nie wiedział, że amerykańscy krytycy za kilka lat ogłoszą Don Vita najwspanialszym bohaterem filmowym wszech czasów, a na wyprzedaży pamiątek po Marlonie Brando scenariusz „Ojca chrzestnego" z odręcznymi notatkami gwiazdora osiągnie zawrotną cenę 312 tys. dol.

Był jednak świadkiem, jak na popularności sagi Corleone buduje się cały segment popkultury. Musiał mieć niezły ubaw, gdy dziennikarze, pisarze i filmowcy „odkrywali" mafię neapolitańską, kalabryjską, żydowską, irlandzką, nowoorleańską, rosyjską, japońską, chińską czy kolumbijską. Teza, że bez „Ojca chrzestnego" nie byłoby „Rodziny Soprano" i „Narcos", być może jest przesadzona. Nikt jednak nie zaprzeczy, że to Puzo potrącił kamień, który spowodował lawinę.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd6a0bf674

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2019

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNERZY

KGHM POLSKA MIEDŹ

Poczta Polska

GRUPA CEDROB

eprasa.pl cd6a0bf674

FOT. ROB YOUNGSON

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Piękny umysł na emeryturze

★★★☆☆☆
REŻ. KENNETH BRANAGH
„CAŁA PRAWDA O SZEKSPIRZE" („ALL IS TRUE")
WIELKA BRYTANIA 2019

wyst. Kenneth Branagh, Judi Dench, Ian McKellen

Ironia losu. Ten sam Branagh, który odświeżył szekspirowską formułę, swoim nowym filmem sprowadził ją, może nie do parteru, ale do poziomu banału.

Giganci naszej literatury służą dziś głównie jako narzędzie tortur, odstraszające młodzież szkolną od słowa pisanego (dorośli Polacy nie czytają niczego i są z tego dumni). Tymczasem brytyjska kultura wciąż żyje Szekspirem i z Szekspira. Ledwo BBC przestała emitować sitcom, przedstawiać w krzywym zwierciadle życie i karierę twórcy „Makbeta", na ekrany kin wszedł film „Cała prawda o Szekspirze" (wymyślony zresztą przez tego samego scenarzystę).

W życiu prawie każdego człowieka nadchodzi taki moment, w którym zaczyna rozumieć, że najważniejsze jest wygodne łóżko. Nasz bohater, syty sławy i uznania, po 20 latach wraca do rodzinnego miasta. Syn złodzieja, który miał u stóp Londyn, ulubieniec elit, nazywany najpiękniejszym umysłem Anglii, odkrywa ze zdumieniem, że nikt w Stratfordzie na niego nie czekał. Jedna córka wyrosła na zgryźliwą starą pannę, druga jest nieszczęśliwa w małżeństwie z purytaninem-hipokrytą, który najchętniej zamknąłby wszystkie teatry, bo „sztuka odciąga od Boga".

Osoba emerytowanego dramaturga zdaje się interesować jego bliskich przede wszystkim w kontekście spadku, jaki po sobie zostawi. Will, świadom własnej wartości („jestem geniuszem!"), rąk jednak nie załamuje. Zakłada ogród, dedykowany pamięci przedwcześnie zmarłego syna. Przyjmuje hołdy gości ze stolicy. Zdradza początkującemu pisarzowi przepis na arcydzieło (wyobraźnia plus szczerość). Wiadomo jednak, że zakończy swą ziemską wędrówkę dopiero wówczas, gdy pojedna się z rodziną i samym sobą.

Branagh, który rzecz wyreżyserował, wyprodukował i zagrał główną rolę, najwyraźniej stracił formę. Ten przyczynek do biografii nie dorównuje nawet najbardziej błahej ze sztuk Szekspira. Słońce zachodzi, liście lecą z drzew, trudno o bardziej oczywiste aluzje do zmierzchu żywota. Wśród peanów pojawiają się nieśmiałe sugestie, że autorowi „Sonetów" podobali się również mężczyźni, kobiety zaś uważał za głupsze z natury. Czy to możliwe, by geniusz był snobem łasym na pieniądze? Na pewno bardziej niż XVII-wieczny feminizm, którego orędowniczkami uczyniono żonę i córki Szekspira.

Jeszcze gorszym pomysłem było zatrudnienie Dench i McKellena. To znakomici aktorzy, lecz mogliby być rodzicami Branagha. Różnica wieku, doskonale widoczna na ekranie, osłabia wiarygodność fabuły. W kinach ten film kariery nie zrobi, lecz ma zapewnioną przyszłość: w sklepach z pamiątkami dla turystów odwiedzających Stratford. ©℗

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „PODŁY, OKRUTNY, ZŁY"

To samo, ale inaczej: Joe Berlinger, autor dokumentalnej serii „Rozmowy z mordercą: Taśmy Teda Bundy'ego" dla Netflixa, tym razem opowiada historię osławionego seryjnego mordercy w filmie fabularnym. Wybrał ciekawy punkt widzenia, mianowicie kobiety, która pozostawała z Bundym w związku przez wiele lat, nie miała pojęcia o jego zbrodniach i do samego końca, nawet podczas procesu, wierzyła w jego niewinność. W roli uwodzicielskiego potwora w ludzkiej skórze daje radę pięknieć Zac Efron. ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***„Podły, okrutny, zły", reż. Joe Berlinger, wyst. Lily Collins, Zac Efron, Angela Sarafyan, USA 2019***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Kraina cudów", reż. Dylan Brown, USA 2019***
- ***„Tolkien", reż. Dome Karukoski, USA 2019***
- ***„Niedobrani", reż. Jonathan Levine, USA 2019***
- ***„Słodki koniec dnia", reż. Jacek Borcuch, Polska 2019***

eprasa.pl cd6a0bf674

Dorwać Thanosa

Jednym z niezbywalnych elementów Amerykańskiego Snu jest wiara, że każdy obywatel USA zasługuje na drugą szansę. Tym bardziej zasługują na nią herosi ze stajni Marvela. „Krnąbrna banda", znokautowana przez ponurego siepacza Thanosa, potrzebuje pięciu lat, by wyjść z szoku, odbudować morale i zacząć na serio myśleć o rewanżu. Dodatkowe utrudnienie: wstępny bój o lepsze jutro trzeba będzie stoczyć przedwczoraj.

Opracowany przez Tony'ego Starka „przekręt czasowy" stworzy wiele okazji do sentymentalnych powrotów, ale zasadniczo superbohaterowie idą z duchem czasu. Zmęczeni biali mężczyźni oddają przywództwo silnym kobietom oraz łebskim Murzynom. Tylko czekać, aż któryś Avenger wyjdzie z szafy i stanie pod tęczowym sztandarem.

Premierze „Końca gry" towarzyszyły oczekiwania, chyba niemożliwe do spełnienia. Lawina komputerowych efektów specjalnych i najdłuższa w dziejach Hollywood lista płac robią wrażenie, lecz zamiast epickiego zwieńczenia cyklu wytwórnia Disneya dostarczyła widzom i reklamodawcom jedynie przydługą dogrywkę „Wojny bez granic". Z tej cytryny da się jednak wycisnąć jeszcze sporo soku, zwłaszcza że w świecie Marvela nic nie jest ostateczne. Fani „Gry o tron" mają zdecydowanie gorzej. W krainie Siedmiu Królestw umiera się tylko raz. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆
REŻ. ANTHONY RUSSO, JOE RUSSO
„AVENGERS: KONIEC GRY" („AVENGERS. ENDGAME")
USA 2019

wyst. Robert Downey jr, Chris Evans, Chris Hemsworth

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

TO JEST NAPAD, KOCHANIE

★★★★☆☆
REŻ. DAVID LOWERY
„DŻENTELMEN Z REWOLWEREM"
USA 2018, DYSTR. M2 FILMS

wyst. Robert Redford, Casey Affleck, Sissy Spacek

Ma ujmujący uśmiech, błyskotliwy umysł, kobiety za nim przepadają, ma nienaganne maniery i tylko jeden feler – zawodowo rabuje banki. Nie przeszkadzają mu w tym siódmy krzyżyk na karku ani aparat słuchowy. To pożegnalna rola Roberta Redforda, który debiutował w roku 1960, a teraz ogłosił oficjalnie, że żegna się z aktorską profesją. Podobnie jak „Przemytnik" Clinta Eastwooda, tak i ten przykład kryminału emeryckiego inspirowany jest prawdziwymi wydarzeniami. Forrest Tucker 18 razy uciekał z więzienia, a udane skoki na banki w jego wykonaniu trudno zliczyć. Akcja filmu Davida Lowery'ego rozgrywa się na początku lat 80. Starzejący się rabuś poznaje kobietę swego życia (świetna Sissy Spacek), ale za drugą najważniejszą kreację w tej opowieści odpowiada Casey Affleck jako tropiący go detektyw John Hunt. Ładnie opowiedziana historia o tym, że nigdy nie jest za późno, by zacząć od nowa, ale nie każdy marzy o tym, by tak właśnie się stało. ©℗

WSZYSTKIE MOŻLIWE ŚWIATY

★★★★★☆
REŻ. BOB PERSICHETTI
„SPIDER-MAN UNIWERSUM"
USA 2018, DYSTR. IMPERIAL

animowany

Termin „uczta dla miłośnika popkultury" pasuje do tego filmu jak ulał. To szalona animacja, słusznie nagrodzona Oscarem, w której zachwyca sposób narracji łączący kino animowane z językiem komiksów (m.in. dymki oraz ramki). Historia też jest mocno pokręcona: gościmy w alternatywnej rzeczywistości, w której Spider-Man ginie, lecz jego rolę przejmuje latynoski nastolatek Miles Morales. Jego nemezis, złowrogi Kingpin, przeprowadza tymczasem niebezpieczny eksperyment, który może zniszczyć wszystkie światy równoległe, na razie jednak transportuje do świata Milesa alternatywnych Spider-Manów z innych linii czasowych. Dostajemy więc Spider-Mana w stylu detektywa noir, otłuszczonego Spider-Mana w depresji, a nawet kilka dziewczęcych wersji superbohatera, w tym wielkooką bohaterkę rodem z japońskich anime. To jedna z najoryginalniejszych produkcji obrazkowych ostatniej dekady, może nawet najoryginalniejsza. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „MORTAL KOMBAT 11" ★★★★★☆

Aż trudno uwierzyć, że od 1992 r. i debiutu serii „Mortal Kombat" na automatach do gry wyszło już 10 pełnoprawnych kontynuacji tej legendarnej, brutalnej bijatyki. Dobre pytanie przy każdym ze wznowień „Mortala" brzmi: Co można zmienić w produkcie, którego formuła nie może ulec zmianie? Nadal mamy różne areny, w których na śmierć i życie walczą ze sobą znani bohaterowie: od Sub Zero do Raidena. Cóż, jedenastka po prostu rozwija sprawdzoną formułę, dodaje system Custom Character Variations, który pozwala tworzyć wojowników, ciekawe wstawki fabularne i lepszą grafikę. Fani będą zadowoleni. ©℗ ***Marcin Makowski***

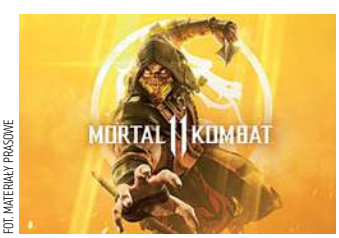

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *Bijatyka*
- ***Platforma:*** *PC/PS4/XONE/SWITCH*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Warner Bros. Interactive / Cenega*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *18+*

eprasa.pl cd6a0bf674

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Światło Marii Konwickiej

Po takich książkach jak np. „My, dzieci komunistów" lektura „Byli sobie raz" Marii Konwickiej działa jak haust świeżego powietrza zaczerpniętego nagle w dusznym, zatęchłym pomieszczeniu. Nie tylko dlatego, że po pióro sięgnęła córka artystów, a nie polityków, ale głównie z tego powodu, że autorka nie tylko odcina kupony od wielkości ojca, wuja czy dziadka i nie tylko wspomina dawne czasy, wyliczając nazwiska sławnych ludzi, z którymi się znała, a nierzadko przyjaźniła, lecz także opowiada o sobie i własnym życiu, dzieląc się z czytelnikiem swoimi przemyśleniami. Nie świeci światłem odbitym; ma własne. A politykę, jak się zdaje, ma w głębokim poważaniu.

Mogłoby się zdawać, że jej ojciec w swoich najbardziej osobistych książkach, nazywanych kiedyś złośliwie „łże-dziennikami", o rodzinach Konwickich i Leniców opowiedział wszystko, i to z detalami. Nic podobnego. Wystarczy przeczytać fragment „Byli sobie raz" odnoszący się do babci autorki, teściowej Tadeusza Konwickiego, bynajmniej za zięciem nieprzepadającej. Dla solidnej Wielkopolanki był ten Wilniuk z całą swoją kresowością trudny do zaakceptowania. I tak się bała, że roztrwoni majątek, pamiętając o tym, co napisał jej kiedyś w liście, iż wprawdzie dostał akurat w Berlinie „dużo forsy za swoją książkę", ale większą część pieniędzy pożyczył kolegom, którzy „byli bez grosza". Po latach, gdy córka z jedną wnuczką wyjechała na wakacje, a druga (Maria właśnie, która w Stanach przeżyła 30 lat) wyemigrowała do Ameryki, wizyty zięcia, który przynosił jej obiady ze stołówki Związku Literatów, były jej jedynym kontaktem ze światem. I jakoś szybko nabrała podejrzeń,

FOT. MARIUSZ GRZELAK/REPORTER

że pewnie zamierza porozdawać także jej rzeczy, w związku z czym za grosze sprzedała antyki, zawierzając jakimś „rzekomo znajomym dziadka", którzy „za symboliczną sumkę wynieśli pół mieszkania".

Jednak i wobec ojca nie pozostaje Maria Konwicka bezkrytyczna. Opowiadając o nim z niezmienną czułością, nie kryje jego dziwactw ani natręctw, nie usprawiedliwia niektórych jego zachowań, np. zupełnie inaczej niż on sam – w „Kalendarzu i klepsydrze" – przedstawia powody zerwania na dłuższy czas przyjaźni ojca ze Stanisławem Dygatem. „[…] zwierzył mi się, że bardzo tęskni za ojcem – wspomina. – Od roku z nim nie rozmawiał. Obraził się za swój portret »Potwora z Mokotowa« w »Kalendarzu i klepsydrze«. Ja też bym się obraziła, gdybym przeczytała »Zwierzoczłekoupiora« wtedy, kiedy się ukazał, a nie później, kiedy już się ze swoją wersją nastolatki nie identyfikowałam. Z jakichś powodów ojciec uważał, że taka szczerość, bezpośredniość i nonszalancja w traktowaniu ludzi, których kochał, jest okej. Jeszcze po moim powrocie z Ameryki, jak się zezłościł na to, co mówię, a nie miał kontrargumentów, ironizował pogardliwie, że mam poglądy starej panny. Przestał dopiero, kiedy mu wytłumaczyłam, że dzisiaj się mówi singielka i nie ma to już negatywnej konotacji. Sam zresztą twierdził, że gdyby dziś był kobietą, to też by wolał żyć sam, bo mężczyźni się zdegenerowali".

Dużo smutku jest w tej na pozór barwnej, kolorowej, pełnej anegdot książce. Traktuje bowiem o rodzinie – jakby powiedział ks. Twardowski – „sprzed pogrzebów". O malarzu Alfredzie Lenicy, plastyku i reżyserze filmowym Janie Lenicy, jego siostrze, a matce autorki – Danucie Konwickiej, świetnej ilustratorce książek dla dzieci, no i o Tadeuszu Konwickim, zmarłym cztery lata temu. Pojawiają się i inne postaci, przyjaciół – pisarzy, aktorów, malarzy. Oczywiście, całe stronice poświęcone są też kotu – sławnemu Iwanowi, podarowanemu Konwickim przez inną Marysię – Iwaszkiewicz.

Być może niejednego drażniące, ale bardzo ciekawe są także ustępy książki poświęcone pasjom: mistycznym, okultystycznym, najogólniej mówiąc ezoterycznym Marii Konwickiej. Charakterystyczne, że chrzest przyjęła dopiero w latach 70., przed samym wyjazdem do Ameryki. Dzisiaj ma 67 lat.

W „Byli sobie raz" niemal co stronę natrafiamy również na nieoczekiwane dygresje, niezmiennie interesujące. By zaostrzyć państwa apetyt czytelniczy, powiem tylko, że z uważnego (i twórczego) odczytania przez autorkę tego, co napisał jej ojciec – opierając się na proroctwie sławnego jasnowidza, ks. Czesława Klimuszki – wynika, że Polska ma przed sobą już tylko siedem lat dobrej passy. Co będzie potem? Mała apokalipsa? ©℗

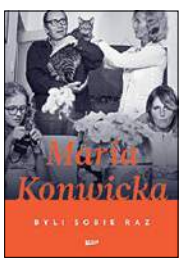

★★★★★★

MARIA KONWICKA
„BYLI SOBIE RAZ"
ZNAK 2019

eprasa.pl cd6a0bf674

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Francuscy sąsiedzi

To jedna z tych książek, w których sama podróż narratora ważniejsza jest od tego, czy osiągnie swój cel. Jednocześnie w porównaniu z innymi powieściami francuskiego noblisty Patricka Modiano jest przejrzysta i mało skomplikowana. Tytułowa Dora Bruder to żydowska nastolatka, której nazwisko autor ujrzał w archiwalnym numerze „Paris-Soir" z 31 grudnia 1941 r. Dziewczyny poszukiwali jej rodzice. „Wszelkie informacje kierować do Bruderów, Boulevard Ornano 41, Paryż".

Modiano, który pamięta tamtą dzielnicę, bo schodził jej ulice w dzieciństwie, rozpoczął własne, jak się okazało wieloletnie, poszukiwania. Wiedziony niewyjaśnionym impulsem przeszukiwał archiwa, poznał tożsamość i historię życia rodziców Dory, odnalazł stare rodzinne zdjęcie z 10-letnią dziewczynką. Na ile to owoc jedynie pisarskiej ciekawości, na ile francuskiego poczucia winy – trudno określić. Modiano nie używa wielkich słów, pozwala mówić faktom, cytatom. Kolejni rówieśnicy Dory, jej rodzice, sąsiedzi, znikają z Paryża – zatrzymani, internowani, aresztowani, przekazani do transportów. Miejsce docelowe – obozy. „Nie wiem, dokąd jedziemy, pociąg kieruje się na wschód, być może będziemy jechać długo" – czytamy w jednym z listów. Autor na podstawie dokumentów dopisuje epilogi tam, gdzie ofiary już same nie mogą zabrać głosu. W epilogach zaczynają się pojawiać znane miejsca. Takie jak Auschwitz.

Czytałem tę opowieść, zwracając uwagę na sprawy szczególnie interesujące z polskiego punktu widzenia. Francja, jak pamiętamy, nie była – w odróżnieniu od okupowanej Polski – miejscem, w którym za pomoc Żydom groziła kara śmierci. Niemieckie panowanie, w porównaniu z Polską, było łagodne. Siły oddelegowane do okupacji – niewielkie. Któż więc występuje w głównej roli? Francuska drogówka, policja sądowa, policja miejska, francuski wywiad. Wreszcie francuscy sąsiedzi. Mili, cywilizowani, uprzejmi Francuzi, symbol Zachodu. Oto list, w którym, chcąc zapobiec ślubowi syna z Żydówką, donoszą na nią władzom. Efekt? Aresztowanie i wysyłka do obozu.

Wypadałoby polecić tę lekturę zawodowym zachodnim tropicielom „polskiego antysemityzmu", którzy w tamtejszych gazetach pouczają Polskę przy każdej okazji, nie widząc belki we własnym oku. Chociaż obawiam się, że i tak niewiele z tego zrozumieją, nie mówiąc już o ciężkiej niezdolności do uczciwej analizy porównawczej. ©℗

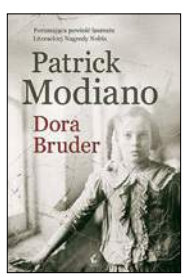

★★★★☆☆
PATRICK MODIANO
„DORA BRUDER"
SONIA DRAGA
2019

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Salwadorski dziennikarz przemierzył szlak przerzutu imigrantów z Ameryki Środkowej przez Meksyk do USA. Efektem jest poruszająca książka wydana w 2010 r. Jej edycja angielska kilka lat później przyniosła mu zasłużony rozgłos.

ÓSCAR MARTÍNEZ
„BESTIA"
POST FACTUM

Sprawna proza obyczajowa z wnętrza putinowskiego lewiatana, czyli ciekawy przykład tego, co podoba się rosyjskiej klasie średniej niezainteresowanej kontestowaniem rzeczywistości. Zbiór opowiadań pisarki z Jekaterynburga.

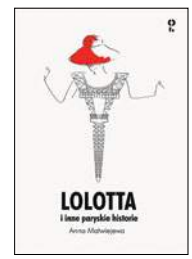

ANNA MATWIEJEWA
„LOLOTTA"
CPRDIP

Imponująca researchem pionierska praca na temat przemian w sztuce po 1989 r. w Europie Środkowo-Wschodniej. Autor uwzględnia w rozważaniach kino, dostrzega także lekceważone zjawiska, m.in. historie alternatywne.

ANDRZEJ SZCZERSKI
„TRANSFORMACJA"
WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO

Klasyka fantasy, czyli cykl „Koło czasu" – pierwszy tom sagi, którą stworzył Jordan, a ukończył Brandon Sanderson. Cykl powraca na księgarskie półki za sprawą wersji telewizyjnej, nad którą pracuje Amazon. ©℗

poleca Piotr Gociek

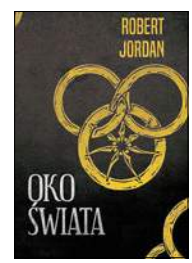

ROBERT JORDAN
„OKO ŚWIATA"
ZYSK I S-KA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Camilla Läckberg „Złota klatka" (Czarna Owca) – pierwszy tom nowej serii popularnej autorki skandynawskich kryminałów.***
2. ***Frédéric Martel „Sodoma" (Agora) – francuski autor książek o kulturze amerykańskiej i gejowskiej o homoseksualizmie w Watykanie.***
3. ***Anna Todd „After. Płomień pod moją skórą" (Znak) – wznowienie pierwszego tomu serii dla pań, efekt wejścia ekranizacji do kin.***
4. ***Alex Michaelides „Pacjentka" (W.A.B.) – zastrzeliła męża, zamknięto ją w szpitalu, nie mówi ani słowa. Zagadkę spróbuje rozwiązać nowy terapeuta.***
5. ***Dimitris Chassapakis „Dziennik 29" (Foxgames) – interaktywna gra książkowa SF, wskrzeszenie dawnych paragrafówek, ale z graficznym dodatkiem.***

(Najchętniej kupowane książki w sieci Empik od 1 do 14 kwietnia 2019 r.)

eprasa.pl cd6a0bf674

Gitara ze śmieci

FOT. OLEK BORTEL PHOTOGRAPHY

Kiedy nastolatka dopada wakacyjna nuda, do głowy mogą strzelić mu różne pomysły. Czasem głupie i niebezpieczne, czasem twórcze i zmieniające życie. Tak właśnie – od nadmiaru wolnego czasu w wakacje – zaczęła się przygoda Mikołaja Sikorskiego z tworzeniem instrumentów z tego, co akurat jest pod ręką. Jako licealista podjął „pierwsze próby budowy »przedmiotu wydającego dźwięk«". Dzisiaj buduje tzw. cigar box guitars, czyli prymitywne gitary tworzone z różnych przedmiotów.

Nazwa nawiązuje do gitar budowanych od połowy XIX w. w Stanach Zjednoczonych przez ubogich ludzi. Nie mieli pieniędzy na prawdziwe instrumenty, więc radzili sobie, jak mogli, m.in. tworząc gitary, których bazą były pudła po cygarach. Zresztą podobne instrumenty powstawały wszędzie na świecie, również w Europie, zwłaszcza w czasie światowych wojen. Z tą różnicą, że na Starym Kontynencie pudła po cygarach zastępowały m.in. drewniane skrzynki po winach czy serach.

Dzisiaj, gdy powodem powstawania „śmieciowych gitar" jest pewna filozofia (zbuduj własny instrument, zamiast kupować w sklepie), chęć kreacji czegoś ciekawego, wyróżnienia się itp., instrumenty te stają się prawdziwymi dziełami sztuki. „Grać można na wszystkim – muzyka siedzi w głowie, a nie w sprzęcie" – przekonuje Mikołaj Sikorski, ale przyjemniej przecież grać na czymś pięknym. A jego instrumenty bywają kolorowe i zdobione. Piękne.

Do budowy służą mu przedmioty codziennego użytku czy fragmenty mebli. Pomysłów mu nie brak, jako rezonatorów zdarza mu się używać kuchennych sitek czy wyciskaczy do cytrusów. „Stąd zupełnie nieprzewidywalne brzmienia i brak powtarzalności takich gitar. Być może dlatego moje instrumenty są wykorzystywane przez zawodowych muzyków i coraz częściej słychać je na jakiejś płycie" – pisze Sikorski. Tak więc nie tylko ciekawostka, lecz także przydatny nawet profesjonalistom sprzęt. ©℗

Radosław Wojtas

NA SŁUCH

W sanatorium na dansingu

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

★★★★☆☆

BABU KRÓL & SMUTNE PIOSENKI „NOWA FALA POLSKIEGO DANSINGU VOL. 1 & 2" MYSTIC

Ta neodancingowa płyta stylizowana na kiczowatą muzykę taneczną z czasów PRL powstała w wyniku warsztatów, w których wzięli udział Jacek Szymkiewicz vel Budyń oraz damy z gnieźnieńskiego Klubu Seniora „Radość".

Lider zespołu Pogodno wysłuchał opowieści o tanecznych romansach z nieznajomymi, które przetworzył na piosenki w różnorodnych rytmach retro. Następnie zarejestrował materiał w studiu z poznańskim zespołem Smutne Piosenki. Efekt? Mniej lub bardziej „jajeczny" wpisujący się w trend retrozabawy, jaką nas wcześniej uraczyli ze smakiem choćby Mitch & Mitch czy Jazz Band Młynarski-Masecki.

Druga płyta zawiera 12 pastiszów polskich i światowych przebojów. Od „Pod papugami" Niemena przez „Daj mi tę noc" Boltera do „Diany" Paula Anki i „Take on me" A-Ha. Można powiedzieć, że to klasyczny zestaw nawet współczesnych sanatoryjnych potańcówek. Na koncertach musi być uroczo, ale płyta słuchana na trzeźwo bez erotycznego dreszczyku dansingowych emocji wywołuje jedynie rozbawienie. ©℗

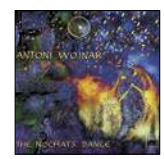

★★★☆☆☆

ANTONI WOJNAR „THE NOCHATS' DANCE" DUX

Debiut fonograficzny asystenta Jana A.P. Kaczmarka przynosi ilustracyjną muzykę na pograniczu klasyki i rozrywki wzbogaconą eterycznymi żeńskimi wokalizami. Przyjemna muzyka tła sprawdzająca się w relaksacyjnych sytuacjach.

★★★★☆☆

THE CHEMICAL BROTHERS „NO GEOGRAPHY" HEAVENLY

Dwadzieścia lat temu wyznaczali trendy muzyki tanecznej. Dzisiaj duet zachwyca wyobraźnią, porywa montażem dźwięków, ale nowych horyzontów nie usłyszymy. Dudni turbo bass, rapuje Japończyk, śpiewa Norweżka, a disco funk nadaje ton płycie. ©℗

eprasa.pl cd6a0bf674

PRENUMERATA 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

DO RZECZY HISTORIA

TYGODNIK „DO RZECZY"
I MIESIĘCZNIK
„HISTORIA DO RZECZY"

WERSJE PAPIEROWE TYGODNIKA I MIESIĘCZNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

KRZYSZTOF HALADYN
„OSTATNIE NAMASZCZENIE"

NOWOŚĆ W PRENUMERACIE

~~720~~ ZŁ > **279,00** ZŁ < OSZCZĘDNOŚĆ 447 ZŁ

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl cd6a0bf674

Straszak zamiast alternatywy

Łukasz Warzecha

Konfederacja właściwie nie ma programu, oferuje wyborcom tylko emocje. Niestety, są to emocje bardzo brzydkie

Sławomir Mentzen, wiceprezes KORWiN, opowiadał, że w polityce niczego nie wygrywa się merytoryką FOT. ARTUR SZCZEPAŃSKI/REPORTER

Nie chcemy Żydów, homoseksualistów, aborcji, podatków i Unii Europejskiej" – przedstawił „piątkę Konfederacji" jeden z jej liderów, Sławomir Mentzen, wiceprezes partii KORWiN, podczas wykładu w Krakowie pod koniec kwietnia. I otrzymał od publiczności rzęsiste oklaski. Wystąpienie Mentzena (dostępne w Internecie) powinno podziałać jak kubeł zimnej wody na wszystkich, którzy mieli nadzieję, że Konfederacja może być rozsądną alternatywą dla partii Jarosława Kaczyńskiego. Zamiast rozsądku dostajemy otwartą deklarację zabawy emocjami wyborców. Emocjami, niestety, bardzo brzydkimi i groźnymi.

Wykład Mentzena został w sieci zatytułowany: „I kto tu jest szurem?". To nawiązanie nie tylko do zarzutu, który często stawiano eklektycznemu sojuszowi po wystąpieniach Grzegorza Brauna, lecz także do częściowo konkurencyjnego projektu Polska Fair Play Roberta Gwiazdowskiego, który poniósł porażkę, nie zarejestrowawszy list na poziomie ogólnokrajowym. Mentzen wytyka Gwiazdowskiemu, że postawił na czysto merytoryczny przekaz, zamiast skorzystać z profesjonalnej technologii politycznej, której używaniem chwali się właśnie lider Konfederacji.

JAK TO SIĘ ROBI

Bismarck mówił, że o kulisach polityki nie należy opowiadać obywatelom, tak jak nie pokazuje się im procesu robienia kiełbasy. Mentzen to przykazanie złamał. Jego ponad 40-minutowe wystąpienie to w dużej części przechwalanie się politycznym cynizmem lub – w bardziej przychylnej interpretacji – skutecznością czystej politycznej technologii. Mentzen opowiada, że niczego w polityce nie wygrywa się merytoryką, i przywołuje tutaj właśnie przykład Polski Fair Play. Polityk Konfederacji dowodzi, że trzeba grać na emocjach, a budowanie nowej formacji politycznej rozpoczynać nie w centrum, ale na skraju sceny politycznej, i obszernie opowiada o badaniach oraz wydarzeniach, które to potwierdzają, a także deklaruje, że tak właśnie działa Konfederacja.

Już w tym momencie jego wystąpienie robi dziwne wrażenie. Owszem, na emocjach grają niemal wszyscy w mniejszym lub większym stopniu, ale nikt nie wychodzi do ludzi, nie staje przed kamerami ani nie opowiada o tym przez 40 minut. O takich rzeczach mówi się na zamkniętych spotkaniach. Można odnieść wrażenie, że Mentzen, chełpiąc się własną polityczną sprawnością i dojrzałością, dowiódł czegoś dokładnie przeciwnego. Jego wywód sprawia wrażenie infantylnych przechwałek chłopca, który dostał nową zabawkę i chce wszystkim opowiedzieć, jaka jest wspaniała. Jeszcze dziwniejsze jest, że wiceprezes partii KORWiN mówi zebranym na sali w zasadzie wprost, iż traktuje ich jak bezmyślnych idiotów, którzy nie analizują, nie zastanawiają się, ale kipią emocjami na hasło „Żydzi" lub „homoseksualiści", a ci zebrani klaszczą. To zabawny paradoks, bo fani, których Konfederacja zdążyła się już dorobić, za bezmyślność i uleganie emocjom krytykują wyborców PiS, podczas gdy sami nie tylko godzą się na traktowanie przez liderów formacji jak mięso armatnie, lecz także wybuchają entuzjazmem, słysząc o tym.

Być może pod wpływem wykładu Mentzena jakaś część wyborców rozważających głosowanie na Konfederację uzna, że nie lubi być traktowana jak kretyni i inaczej ulokuje swoje głosy. Inna kwestia, że część analiz lidera partii KORWiN jest celna. Szczególnie trafne wydaje się przekonanie,

eprasa.pl cd6a0bf674

że w wyborach europejskich na Konfederację może zagłosować wielu zwolenników PiS tylko po to, by zwrócić uwagę „swojej" partii, iż powinna w większym stopniu uwzględniać ich postulaty. Temu właśnie przypisuje polityk względnie wysokie notowania Konfederacji w sondażach. Mentzen nie wyjaśnił już jednak swoim słuchaczom, dlaczego te same osoby miałyby zagłosować na Konfederację w znacznie ważniejszych wyborach na jesieni.

RADYKALNE ZAWOŁANIA

Gdyby wystąpienie Mentzena kończyło się na tym, byłby to najmniejszy problem. Jest jednak i drugi jego wątek, rozpoczęty przedstawieniem wspomnianej na początku „piątki": „Nie chcemy Żydów, homoseksualistów, aborcji, podatków i UE". Czy to program, który ma łączyć wszystkie składowe części Konfederacji? Nie wiadomo, ale też ważne, żeby zrozumieć, że to w ogóle nie jest program. Konfederacja właściwie nie ma programu – ma tylko efektownie brzmiące, radykalne zawołania, co zresztą pośrednio potwierdził sam Mentzen, oznajmiając, że nie chodzi o to, żeby mówić, jak się coś zrobi, ale o to, żeby przedstawić wezwanie, które wzbudzi emocje. I znów można powiedzieć, że tak działają wszyscy – owszem, ale jeśli myślimy w kategoriach państwa, a nie tylko „kto kogo", to mamy prawo oczekiwać, że za emocjonalną fasadą jest jakaś substancja. Trudno uznać, że Konfederacja jest realną alternatywą dla wojny dwóch plemion, jeżeli sama nie oferuje niczego poza inaczej skierowanym wektorem czystej emocji.

I to, niestety, emocji bardzo brzydkiej. Granie na resentymentach, ujętych lapidarnie jako deklaracja, że „nie chcemy Żydów", to proszenie się o kłopoty, ale też próba osiągnięcia politycznego celu poprzez pobudzenie do życia niebezpiecznych demonów.

Wywody Mentzena, w których rozwinął jedynie dwa punkty „piątki" – ten o Żydach i ten o UE – są reprezentatywne dla całej formacji i charakteryzuje je całkowite wyrwanie z kontekstu realnej gry politycznej. W sprawie Żydów Mentzen odwołuje się oczywiście do roszczeń dotyczących mienia bezspadkowego i stwierdza, że PiS zamierza zapłacić środowiskom żydowskim. Dalej jednak rozwija jeszcze bardziej widowiskową wizję, opowiadając, że państwo skupuje ziemię rolną po to, żeby tą ziemią wynagrodzić żydowskie roszczenia. Potem zaś – to niemal dosłowny cytat z wystąpienia Mentzena – Żydzi mają wprząc Polaków w chomąta i Polakami tę ziemię uprawiać. „Tak trzeba mówić, to jest bardziej emocjonalny przekaz" – deklaruje zadowolony. Trzeba tu przypomnieć, że Mentzen uchodzi za jednego z bardziej umiarkowanych konfederatów, tymczasem przypomina chłopca z zapałkami w składzie benzyny. Każdy, kto ma choć trochę przytomności umysłu i rozumie, czym jest polityka, zdaje sobie sprawę, że Konfederacja, tak formatując przesłanie, namawia nas do podjęcia straceńczej batalii, a wrogom polskiego państwa daje wprost w ręce amunicję. Nie ma to zgoła nic wspólnego z racją stanu, jakkolwiek krytycznie byśmy oceniali stan relacji polsko-izraelskich.

MRZONKI O WYCHODZENIU Z UE

Ze skrajną dezynwolturą Konfederacja – i to zarówno Ruch Narodowy, jak i KORWiN – podchodzą do członkostwa Polski w UE. Mentzen uznaje wręcz w swoim wystąpieniu, że właściwie nie trzeba nawet dowodzić, dlaczego UE jest zła, ale ostatecznie podejmuje ten temat. Owszem, wiele spostrzeżeń, które przedstawia, jest słusznych. Podobnie jednak jak przedstawiciele narodowców całkowicie ignoruje kontekst geopolityczny. Mrzonki o wychodzeniu z UE można by snuć, gdybyśmy nie byli świadkami problemów Wielkiej Brytanii z brexitem, kraju przecież od Polski daleko bogatszego, bardziej wpływowego i lepiej strategicznie położonego, oraz gdybyśmy cieszyli się takim miejscem na mapie jak Islandia czy Norwegia. Jest jednak inaczej i prosta recepta – wychodzimy i tyle – nie świadczy o wizji, ale o infantylizmie politycznym. Jak? Na jakich zasadach? Dlaczego miano by pozwolić nam pozostawać w Europejskim Obszarze Gospodarczym? Jaki to będzie mieć wpływ na gospodarczą infiltrację Polski przez Rosję? Jaki będzie bilans? Na te pytania odpowiedzi nie padają, bo nikt w Konfederacji ich sobie chyba nie zadaje. Jest tylko czysty populizm.

Granie na resentymentach, ujętych lapidarnie jako deklaracja, że „nie chcemy Żydów", to proszenie się o kłopoty

Może tymczasem warto – bez wyciągania zbyt daleko idących wniosków – zadać sobie pytanie o to, czy jednak konfederaci nie sugerują nam strategicznej alternatywy dla Zachodu. Tak, sprzyjające PiS media wzięły te właśnie sprawy na cel, ale przecież nie wymyśliły sobie tropów, które wykorzystują. Grzegorz Braun, który chciał batożyć homoseksualistów, faktycznie ma uśmiechniętą fotkę, zrobioną w grudniu 2018 r. w Moskwie obok Leonida Swirydowa, rosyjskiego dziennikarza, wydalonego z Polski za szpiegostwo. I faktycznie Braun wypowiadał się dla rosyjskiego Sputnika w styczniu tego roku. Wywiadu pod tytułem „UE nie ma wspólnej polityki zagranicznej i mieć nie może" Sputnikowi udzielił też w kwietniu Krzysztof Bosak z RN. Trudno zrozumieć, dlaczego ludzie, poważnie traktujący polską rację stanu, mieliby się wypowiadać dla rosyjskiej rządowej tuby. W najlepszym wypadku to lekkomyślność. O najgorszym lepiej nie mówić.

Wszystko to nie wygląda ani poważnie, ani mądrze. Konfederacja, która w pierwszym momencie mogła wyglądać jak obiecująca alternatywa dla rozczarowanych demagogią PiS wyborców, jawi się dzisiaj jako dziwaczna zbieranina frustratów (Kaja Godek), oryginałów, którzy dbają o zagospodarowanie własnego podwórka, żeby mieć z czego żyć (Braun), oraz groźnych demagogów, którzy może umieją rozpalać emocje, ale niekoniecznie będą w stanie je kontrolować (Mentzen). Tak, to prawda, że prorządowe media grają z konfederatami nie zawsze elegancko, czego przykładem był dość paskudny atak na Włodzimierza Osadczego, kandydata Konfederacji do PE w okręgu lubelskim, któremu zarzucono, że służył w sowieckiej armii. Przyznawał to sam Osadczy, ale jako urodzony na sowieckiej Ukrainie nie miał na to żadnego wpływu.

Wygląda to jednak trochę tak, jakby Konfederacja – o ile wejdzie do Sejmu, co wcale nie jest pewne – miała szansę stać się czymś w rodzaju polskiego Jobbiku. To węgierskie ugrupowanie przez wiele lat służyło Fideszowi jako straszak na wszystkich umiarkowanych wyborców: zobaczcie, kto może przyjść, jeśli my przegramy. Słuchając opowieści liderów Konfederacji, naprawdę można się zacząć bać. Socjalistyczny, siermiężny populizm w neopepeesowskim stylu mógłby zastąpić populizm prymitywnego i, co najgorsze, bezmyślnego nacjonalizmu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd6a0bf674

dr Michał Chaberek OP

Wolna wola, płeć – to fikcja. Zdaniem Yuvala Noaha Harariego istnieją tylko algorytmy. Czy tak da się uzasadnić odebranie ludziom wolności do podejmowania decyzji?

Guru nowych czasów

FOT. SANJIN STRUKIĆ/PIXSELL/FORUM

eprasa.pl cd6a0bf674

Yuval Noah Harari dobrze wpisuje się w założenia mainstreamowej humanistyki. Absolwent Oksfordu, „mąż" jednego „męża", weganin praktykujący medytację buddyjską, krytyczny wobec religii. Niewątpliwie te cechy sprzyjają promowaniu młodego profesora Uniwersytetu Jerozolimskiego na jeden z najbardziej rozpoznawalnych autorytetów popularnonaukowych ostatnich lat. Słowa uznania o nowej gwieździe filozofii historycznej – bo tak chyba należałoby określić rodzaj jego pisarstwa – wypowiedzieli między innymi Barack Obama, Bill Gates i Mark Zuckerberg. O skali uwiedzenia jego twórczością może świadczyć popularność jego kolejnych książek. „Sapiens. Od zwierząt do bogów" i „Homo deus. Krótka historia jutra" razem sprzedały się w ponad 12 mln egzemplarzy i zostały przetłumaczone na ponad 50 języków. Trzeci bestseller – „21 lekcji na XXI wiek" – spotkał się już z nieco chłodniejszym przyjęciem, co może wróżyć, że wschodząca gwiazda okaże się jedynie kometą. Nie zmienia to faktu, że w reklamę twórczości Harariego zaangażowały się największe światowe media i korporacje internetowe. Autor gości w popularnych talk-show równie często jak na znanych uniwersytetach i poważnych konferencjach, takich jak Światowe Forum Ekonomiczne.

PROMOWANIE POGLĄDÓW

Podejrzliwy czytelnik, a do takich się zaliczam, zazwyczaj łączy skalę popularności danego autora z proporcjonalnie wielką akcją jego „pompowania". Bo czemu nagle miliarderzy i celebryci formatu Marka Zuckerberga mieliby zachwycać się książkami, które w każdym innym przypadku trafiłyby najwyżej do kilku wyspecjalizowanych księgarni? Historiozofia z pogranicza science fiction, abstrakcyjne idee dotyczące pochodzenia i przyszłości ludzkości nie stanowią intrygującego tematu, który sprzedawałby się jak kioskowe harlequiny. Najwyraźniej korporacyjne elity, które – czy nam się to podoba, czy nie – dbają przede wszystkim o interesy korporacji, postanowiły upiec kilka pieczeni na jednym ogniu. Promując Harariego, promują nie tylko jego osobę i styl życia, ale przede wszystkim określone poglądy. Aby zrozumieć, o co chodzi w tej modzie, trzeba czytać książki Harariego uważnie, niejako między wierszami.

Izraelski profesor zapewnia swoich odbiorców, że nie jest futurologiem ani prorokiem, a jego idee mają jedynie pomóc zrozumieć, gdzie jesteśmy jako ludzkość i jakie opcje są przed nami. Ponieważ nie wszystkie opcje są korzystne, trzeba się zastanowić, w którym kierunku ludzkość ma zmierzać. Jednak Harari analizuje zarówno początki, jak i dostępne opcje „na przyszłość" w bardzo ścisłym kluczu materializmu oraz ewolucjonizmu. W jego rozumieniu świata kluczowe jest odróżnienie tego, co realne i obiektywne, czyli materii, od tego, co nazywa fikcją, czyli wszystkiego, co nie jest materią i energią. Fikcją jest każdy system filozoficzny i polityczny, korporacje, banki, pieniądze, systemy etyczne, czyli wszystko, czego nie da się dotknąć.

Harari docenia wpływ fikcji na nasze życie. Wiara w nią doprowadziła człowieka do niekwestionowanego zwycięstwa nad światem zwierząt. Wielkie fikcje, jak na przykład religia, kształtowały i nadal kształtują ludzkie zachowania i historię świata. Wydaje się jednak, że zbyt łatwo wrzuca do jednego worka „fikcji" bardzo różne pojęcia, chociażby takie jak konwencja, metafora czy abstrakcja. Pieniądze na przykład nie są fikcją, są konwencją. Korporacje również nie są fikcją, jak na przykład Tolkienowa kraina Mordoru. Korporacje realnie istnieją, choć pojmujemy je jako pewne abstrakcje. Tutaj więc duży minus dla historyka filozofa, który okazuje się mało wrażliwy na te ważne dystynkcje.

Wielka ewolucyjna opowieść „od atomów do człowieka" jest punktem wyjścia, dogmatem i podstawą wszelkich analiz pisarza. I jak każdy system materialistyczny również jego system prowadzi z jednej strony do utopii, a z drugiej do pesymizmu.

SAMOZBAWIENIE?

Utopia wyraża się w przekonaniu, że ludzkość jest na prostej drodze do samozbawienia, że wystarczy jeszcze tylko rozwiązać kilka problemów natury technicznej i człowiek ulegnie przebóstwieniu. Takim problemem technicznym jest na przykład problem szczęścia. Ponieważ człowiek to jedynie zespół tkanek sterowanych algorytmami i procesami biochemicznymi, wystarczy tylko dobrze manipulować chemią mózgu, aby uczynić go szczęśliwym. Śmierć to również jedynie problem techniczny polegający na tym, że jakiś organ przestaje funkcjonować; zatem postępująca medycyna doprowadzi do wyeliminowania tych problemów i uczyni człowieka aśmiertelnym. To znaczy człowiek będzie mógł nadal umrzeć, na przykład wskutek wypadku, ale jego życie będzie mogło być przedłużane w nieskończoność poprzez odpowiednią terapię w „klinikach życia". Szczęście natomiast zapewnią specjalne pigułki i zastrzyki.

Podobnie jak darwiniści społeczni i pionierzy eugeniki z początku ubiegłego wieku Harari również wierzy w możliwość wyprodukowania nadczłowieka poprzez manipulację genetyczną. Skoro ewolucja przyrodnicza doprowadziła do powstania istot takich jak my, czyli podmiotów świadomych i racjonalnych, to teraz ludzie muszą przejąć jej rolę i sami zaprojektować nowy rodzaj homo sapiens, silniejszy, zdrowszy i bardziej inteligentny. Etyka i polityka są jedynymi czynnikami, które do tej pory spowalniały te prace. Jednak „naiwnością byłoby myśleć, że możemy zwyczajnie nacisnąć hamulec i zatrzymać naukowe projekty, które zmieniają homo sapiens w inny rodzaj bytów" – przekonuje Harari. Utopijna idea nadczłowieka ma jednak również swoje głęboko pesymistyczne konsekwencje – otóż ludzkości takiej, jaką znamy, nie pozostało wiele czasu. Zdaniem filozofa jesteśmy jednym z ostatnich pokoleń sapiens. W ciągu stulecia w ewolucyjnej walce o byt zastąpią nas cyborgi, komputery i nadludzie, których sami stworzymy.

Zdaniem filozofa jesteśmy jednym z ostatnich pokoleń sapiens. W ciągu stulecia zastąpią nas cyborgi, komputery i nadludzie, których sami stworzymy

TYLKO ALGORYTMY

Dychotomię utopii i pesymizmu znajdujemy w wielu tezach profesora z Jerozolimy. Uważa on, że ludzkie myślenie jest jedynie wyższym stopniem „myślenia" zwierzęcego, które z kolei sprowadza się do reakcji biochemicznych w mózgu. Wynika z tego, że ludzkie procesy myślowe mają taki sam charakter jak działanie komputera. Opierają się na algorytmach. Skoro zaś mózg kontroluje organizm, to zwierzęta i ludzi można sprowadzić do zespołu algorytmów – „organizmy są algorytmami", twierdzi Harari. Błędne

eprasa.pl cd6a0bf674

decyzje wynikają jedynie z małych mocy obliczeniowych i ograniczonej bazy danych, którymi dysponują nasze mózgi. Jednak już niedługo stworzymy „sztuczną inteligencję", która będzie podejmować za nas decyzje nawet w tak ważnych kwestiach, kogo poślubić.

Redukcja człowieka do algorytmów prowadzi autora do zanegowania wolnej woli. Filozof przekonuje, że wolność nie ma absolutnie żadnego znaczenia z fizycznego czy biologicznego punktu widzenia. To jest po prostu kolejny mit, kolejne puste słowo, które wynaleźli ludzie. Ludzie wynaleźli Boga, ludzie wynaleźli niebo i piekło i ludzie wynaleźli wolną wolę. Jednak nie ma więcej prawdy w wierze w wolną wolę niż w wierze w niebo i piekło. Konsekwentnie uznaje, że wiara w wolną wolę nie tylko jest fałszywa, lecz także wręcz szkodliwa, ponieważ utrudnia człowiekowi zrozumienie tego, co nim naprawdę steruje, jakie mechanizmy w mózgu sprawiają, że podejmuje takie, a nie inne decyzje. Jeżeli Harari nie uznaje ludzkiej woli, to na czym jego zdaniem ma opierać się etyka? Tutaj kluczem jest pojęcie uczuć. One są realne, ponieważ sprowadzają się do algorytmów biochemicznych. Uczucia nie są jakimiś właściwościami metafizycznymi, które Bóg dał człowiekowi, aby ten podziwiał poezję i muzykę. Są procesami obliczeń biochemicznych, które długotrwały proces naturalnej selekcji doprowadził do punktu, w którym ludzie, ssaki i inne zwierzęta mogą podejmować właściwe decyzje w kontekście przetrwania i reprodukcji.

Izraelski pisarz nie stroni od ataków na wyjątkowość człowieka w przyrodzie i świętość życia ludzkiego. Jest to zrozumiałe, gdy uwzględnimy jego wizję pochodzenia człowieka. Sapiens to tylko jeden gatunek hominidów, który wytępił inne gatunki dzięki bardziej efektywnej komunikacji. Jednak nie oznacza to, że jest gatunkiem ostatnim. To, że przypadkowo stał się panem planety, nie czyni go nikim wyjątkowym. Nie istnieje coś takiego jak ludzka natura. To, że nazywamy siebie ludźmi, wynika jedynie z tego, że zgodziliśmy się nazywać tak pewien typ organizmów. Równość ludzi i prawa człowieka to jedynie chrześcijańskie mity, które zostały obalone przez naukę. Ludzie przyzwyczaili się myśleć o sobie jako o kimś wyjątkowym, ale teoria ewolucji pokazała nam, że nasza przewaga konkurencyjna jest jedynie efektem przypadkowej mutacji. Nie jesteśmy zatem nikim wyjątkowym, po prostu wygraliśmy lepsze geny.

PŁEĆ TO KONWENCJA

W poglądach Harariego pobrzmiewa nutka filozofii Wchodu, która w powiązaniu z materialistycznym ewolucjonizmem Zachodu stanowi dość osobliwy miszmasz idei i poglądów. Jego zdaniem większość naszego doświadczenia życiowego to złudzenie, fikcja, światem zaś rządzą ślepe siły przypadku i konieczności. Przypadek czasami okazuje się złośliwy dla nas, ale człowiek ostatecznie będąc jedynie wypadkową reakcji biochemicznych, nie może z tym nic zrobić. Trudno się oprzeć wrażeniu, że taka wizja świata musi prowadzić do apatii lub samounicestwienia.

Harari uznaje, że wiara w wolną wolę nie tylko jest fałszywa, lecz także wręcz szkodliwa, ponieważ utrudnia człowiekowi zrozumienie tego, co nim naprawdę steruje, jakie mechanizmy w mózgu sprawiają, że podejmuje takie, a nie inne decyzje

Zgodnie z założeniami ewolucyjnymi w książkach Harariego ulega dekonstrukcji również naturalne rozumienie płci. Określenia „kobieta" i „mężczyzna" stanowią jedynie konwencję, którą ludzie przyjęli w określonym czasie i miejscu. Są one takim samym złudzeniem jak prawa człowieka i ludzka wolność. Jeżeli istnieją, to jedynie na zasadzie „umowy społecznej", ale w realnym świecie nie ma absolutnie nic, co by upoważniało do wiary w istnienie płci. Autor nie wyjaśnia jednak, w jaki sposób płeć, jego zdaniem ukształtowana przez ewolucję biologiczną, miałaby jednocześnie być przedmiotem wolnej umowy. Jeżeli płeć jest jedynie umowna, to dlaczego istniała, zanim pojawił się człowiek – jedyne zwierzę zdolne do zawarcia takiej umowy? Dlaczego ta konwencja dotyczy także zwierząt? Czy konie i króliki również zawarły umowę w sprawie podziału płci? Na te pytania niestety u Harariego odpowiedzi nie znajdziemy.

Oczywiście książki profesora historii z Jerozolimy nie są pozbawione celnych analiz. Jednak wszędzie tam, gdzie jako człowiek wierzący mogę się z nim zgodzić, nie wydaje mi się, aby wychodził on ponad poziom zupełnej oczywistości. Autor szuka na przykład przyczyn globalizacji w takich „fikcjach", jak pieniądz, europejski imperializm i religia. Trudno polemizować z twierdzeniem, że kolonializm przyczynił się do połączenia wielu odizolowanych kultur z systemem cywilizacji zachodniej. Raczej każdy zgodzi się z tezą, że pieniądz ułatwił rozwój kontaktów między cywilizacjami Chin, Indii, Egiptu czy Europy. Niemniej oczywista jest obszernie uzasadniana teza, że duże religie przyczyniły się do zbliżenia wielu narodów wokół jednej idei i kultu.

Niewątpliwie atutem analiz Harariego jest sama próba całościowego spojrzenia na historię świata i postawienia pytań dotyczących przyszłości naszej cywilizacji. Jednak dość dogmatyczne przyjęcie założeń materialistycznych uniemożliwia mu wyjście poza krąg kilkunastu standardowych popidei współczesnych nauk społecznych. W jego pisarstwie znajdujemy kompletne menu mainstreamowych pomysłów współczesnej psychologii i socjologii: od transhumanizmu i genderyzmu poprzez enwironmentalizm, prawa zwierząt, duchowość Wschodu i darwinizm społeczny aż do krytyki religii i Kościoła (w rodzaju: Kościół odpowiada za miliony zbrodni itp.).

GLOBALNIE BEZ BOGA

Być może szeroko zakrojona promocja „guru" naszych czasów, jak określił Harariego brytyjski „The Guardian", ma służyć jedynie stworzeniu człowieka-pakietu, kogoś, kto zaistnieje w świadomości ludzi młodych, wykształconych, z dużych miast, jako pewien punkt odniesienia i zwornik głównych idei. Miałby to być ktoś, kto jako profesor, humanista i celebryta daje poczucie intelektualnego spełnienia na miarę kultury globalnej pozbawionej Boga i jakichkolwiek odniesień do transcendencji.

Harari pokazuje, jak można połączyć w jednej narracji wszystko to, czego uczy się na wydziałach humanistycznych wielkich uniwersytetów, oczywiście bez trwałych zobowiązań wobec jednej

eprasa.pl cd6a0bf674

określonej idei czy narracji. W tym sensie można powiedzieć, że jego eklektyzm nabiera rangi syntezy.

Jednak obawiam się, że królowie korporacji mają jeszcze jeden, dużo większy interes do załatwienia z Yuvalem Hararim. Jest to interes bardziej pragmatyczny i realistyczny niż opowiadania o cyborgach, które już wkrótce wyprą sapiens. Jest to także interes strategiczny z punktu widzenia miejsca, w którym znalazła się obecnie cywilizacja globalna. Stawką jest ludzka wolność. Jest faktem, że już dzisiaj technologia konkuruje z ludzkim wolnym wyborem. To, o co kiedyś komputery pytały nas, dzisiaj robią same. Coraz częściej nasz wybór w kontakcie z technologią jest jedynie pozorny, gdyż ogranicza się do opcji, które ktoś bardzo przemyślnie sprofilował. Z punktu widzenia filozofii chrześcijańskiej nie ma takiej możliwości, aby wytworzyć maszyny zdolne do myślenia. Za myślenie odpowiada umysł, który nie jest materialny. Człowiek nie może stworzyć duszy, rozumu czy woli.

Jeżeli jednak uda się przekonać większość ludzi do tego, że nasze komputery są „inteligentniejsze" od nas, to nie będzie miało większego znaczenia to, czy tak jest rzeczywiście, czy nie. Każdy, kto sprzeciwi się tezie o wyższości komputerów nad człowiekiem, uznany zostanie za przeciwnika nauki, cywilizacji i postępu. Stąd już tylko krok do ograniczenia wolności i przesunięcia ośrodka władzy z ludzi na urządzenia. Wszystko w imię przekonania, że „algorytmy wiedzą lepiej". Żeby jednak mogły wiedzieć lepiej, muszą dysponować nieskończonymi informacjami o wszystkim i wszystkich. Zatem z jednej strony pozbawienie prywatności, z drugiej zaś scedowanie ludzkich kompetencji na „algorytmy". Tyle że „algorytmy", wbrew temu, co twierdzi Harari, nigdy nie będą myślały same. Za nimi będzie stała mała grupa króli korporacji dyktujących swoim technikom, jakie decyzje mają podejmować komputery za ludzi. To oczywiście dla naszego dobra, aby żyło się nam lepiej, abyśmy osiągnęli szczęście i aśmiertelność.

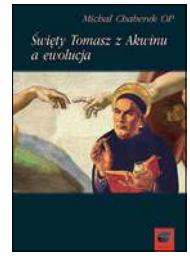

MICHAŁ CHABEREK OP „ŚWIĘTY TOMASZ Z AKWINU A EWOLUCJA" WYDAWNICTWO MAREK DEREWIECKI 2019

A co z tymi, którzy aśmiertelni być nie chcą? O tym, czy taką opcję algorytm przewidzi, zadecyduje właściciel korporacji. Być może ewolucyjno-genderowo-ekologiczny sos, którym polane są książki Harariego, to jedynie przykrywka, takie captatio benevolentiae skrojone na miarę standardowego leminga. Istotą jest natomiast wpojenie ludziom przekonania, że komputery „wiedzą lepiej" i nieuchronnie zastąpią człowieka w jego najważniejszej aktywności, którą jest podejmowanie wolnych decyzji. Być może coś sobie dopowiadam, ale jeżeli mam rację, to zachwyty Google, Amazona i Microsoftu nad twórczością Yuvala Harariego mają sens. W interesie korporacji leży przesunięcie ośrodka władzy i wyboru z człowieka na technikę. Zwłaszcza że za techniką też stoi człowiek, tyle że anonimowy, niewybieralny i nieweryfikowalny. A co najważniejsze – jest to człowiek zupełnie wolny w swoich decyzjach. © ℗

Autor jest dominikaninem, teologiem

REKLAMA

orcheston
prezentują:
GROMEE Orkiestra Akademii Beethovenowskiej
goście specjalni:
Beata Kozidrak • Kayah
Reni Jusis • Sarsa • Lukas Meijer
Ania Dąbrowska
17.05.2019
COS Torwar Warszawa
Bilety: PRESTIGEMJM.COM

zaprasza mecenas
BUKOVINA RESORT

Prestige MJM · Regent Warsaw Hotel · RMF · RMF MAXXX · RMF Classic · wprost · Rzeczy · WP · cgm.pl · 4clubbers.pl · Multikino · pap · Vixon · Press Service · 4TV · TVS · TV Toruń · pro-art

eprasa.pl cd6a0bf674

FOT. ADOBE STOCK

Niebezpieczny kurs

Tomasz Rowiński

Kiedy Kościół ze względu na finanse i poparcie polityków zaczyna się uginać, staje się Kościołem postkatolickim

Kościół otrzymuje rozmaitego rodzaju wsparcie, np. przy remontach swoich zabytkowych obiektów czy dostępie do gruntów. Można rzeczywiście uznać, że jakiś rodzaj wdzięczności musi więc zaistnieć nawet wobec polityków, którzy znajdują się w praktycznej opozycji do głoszonych przez niego zasad. Nie może jednak Kościół robić tego za cenę wycofania swojego głosu ze sfery publicznej lub za cenę dwójmyślenia, w którym z równym zaangażowaniem przyklaskuje sprzecznym postawom. W takim zachowaniu dostrzec można ducha nie tyle politycznej roztropności, ile świeckiego pragmatyzmu przedkładającego doczesną stabilizację, bogactwo, dobre relacje z władzą, prestiżowe pozycjonowanie w świeckiej społeczności nad cele, które tworzą sens istnienia Kościoła.

KAPITAŁ KATOLICYZMU

Co więcej, z perspektywy sensu istnienia Kościoła zgoda na korozję własnych zasad jest trudna do uzasadnienia nawet pod względem pragmatycznym. W rzeczywistości społecznej wiara i głoszone zasady sprawiedliwości są głównym rzeczywistym kapitałem – dobrem – katolicyzmu. Ich wyzbywanie się zamienia hierarchię kościelną w grupę klientelistyczną. Przede wszystkim wobec władzy, ale nie tylko. Jeśli Kościół nie głosi publicznie swojej wiary lub jawnie i świadomie nie potwierdza jej w życiu publicznym, klientelistyczne zasady przenoszą się także na relacje pomiędzy duchowieństwem a świeckimi członkami Kościoła. Weźmy jako skrajny przykład Kościół w Niemczech, który istnieje w tak bliskiej symbiozie z państwem, że w praktyce o byciu katolikiem bardziej decyduje to, czy płaci się podatek kościelny, niż to, czy jest się ochrzczonym. Zawieszenie płacenia takiego podatku oznacza formalnie wypisanie z Kościoła.

Skoro o przynależności do Kościoła nie decyduje chrzest, wyznawana wiara, sakramenty czy doktryna społeczna, to możemy sobie wyobrazić, w jaki sposób zmieniają się relacje pomiędzy duchowieństwem i świeckimi. Świeccy płacą

eprasa.pl cd6a0bf674

podatek i tak, więc jak od każdej innej agendy rządowej wymagają od Kościoła spełniania swoich zadań. W tym wypadku będą to zadania charytatywne i od czasu do czasu rytualne. Jednocześnie rządowe agencje nie tworzą wspólnot zasad życia z obywatelami państwa i nie służą temu, by stawiać im tego typu wymagała. Agencje rządowe mogą wymagać czegokolwiek tylko w takim zakresie, w jakim otrzymały władzę od państwa. Kościół w Niemczech w zasadzie nie otrzymuje żadnej władzy, więc też katolików niemieckich raczej ogarnia zdziwienie, gdy słyszą, że Kościół może czegoś od nich wymagać.

W takim układzie hierarchowie nie skupiają się na umacnianiu wspólnoty wiary, ale na tym, by jak najwięcej osób wciąż płaciło podatek kościelny. Środkiem do tego celu jest jednak to, by niczego nie wymagać. Dlatego też liderom niemieckiego Kościoła od lat zależy np. by w społeczeństwie rozwodników i rodzin patchworkowych mogli bez ograniczeń rozdawać komunię świętą. Gdyby bowiem ludzie dowiedzieli się, że nie mogą jej przyjmować, żyjąc z drugim czy trzecim partnerem, mogliby przestać płacić podatek kościelny.

Niemcy i tak od dawna łamią wszelkie reguły w tej kwestii, ale chcieliby jeszcze akceptacji Kościoła powszechnego i pełnego uznania z jego strony ich pragmatycznie znakomitych rozwiązań za świętą tradycję. Efektem tego skrajnego przykładu korupcji jest jednak to, że w Niemczech dominują niewierzący biskupi i niewierzący świeccy, którzy łożą na religię pieniądze, podobnie jak na inne obszary polityki publicznej państwa.

UPADEK IRLANDII

Przykład niemiecki może wydać się zbyt skrajny. Kraj ten od dość dawna jest zlaicyzowany, chrześcijaństwo jest tam rozbite i osłabione już od czasów reformacji. Niemiecki kontekst kulturowy także różni się od słowiańskiego, polskiego.

Polskę często porównuje się do Irlandii, która jednak w ostatnich latach zaliczyła bardzo gwałtowny upadek, jeśli chodzi o fundamentalne zasady prawodawstwa: wprowadziła małżeństwa homoseksualne, aborcję, i to wszystko pod widniejącym w konstytucji wyznaniem wiary w trójjedynego Boga. Jest jasne, że splot relacji państwa i Kościoła w Irlandii był znacznie głębszy niż w Polsce. W naszym kraju rozdział tych dwóch porządków nie budzi wątpliwości, a powracające ostatnio postulaty zaprowadzenia wreszcie takiego podziału są zwyczajnie próbą wykluczenia obecności Kościoła ze sfery publicznej.

Jednak pod pewnymi względami przykład Irlandii trzeba przywołać. Tam także Kościół jest weteranem zmagań o niepodległość, tam także stanowił rodzaj zastępczego państwa, gdy państwa realnego nie było. I także w pewnym momencie, gdy politycy deklarujący się jako katolicy, a prawie wszyscy politycy w Irlandii tak o sobie mówią nawet dziś, zaczęli odchodzić od katolickich zasad, Kościół postawił tam na trwanie finansowej i prestiżowej ochrony państwa. Przymykał oczy na to, co rzeczywiście promowali poszczególni politycy. W efekcie, gdy doszło do referendum w sprawie małżeństw homoseksualnych, prawie nie było już komu powiedzieć „nie" tak rozumianemu „postępowi". Księża homolobbyści brylowali w mediach, a świeccy nie widzieli w sprawie żadnego problemu. Zgorszenie dokonało się po cichu, gdy wydawało się, że wciąż jest wszystko dobrze, po staremu. Dzisiaj oglądamy tylko coraz głębiej zachodzący rozkład życia chrześcijańskiego.

Decyzja referendalna w sprawie homomałżeństw pociągnęła za sobą konieczność aplikacji tzw. polityki równościowej do rozmaitych obszarów życia. Także do poradnictwa małżeńskiego. Organizacjom, które nie chciałyby się dopasować do nowego modelu społecznego, zapowiedziano obcięcie funduszy.

Odezwały się głosy – słusznie zresztą argumentujące – że rzeczywisty pluralizm wymaga, by katolickim instytucjom pozwolić działać zgodnie z ich własnym etosem. Tymczasem Accord, największa z katolickich organizacji zajmujących się poradnictwem małżeńskim, powołana przez Konferencję Episkopatu Irlandii, po krótkim oporze uległa groźbie utraty 1,6 mln euro dotacji, przyjęła państwowe warunki i będzie doradzać homomałżeństwom.

Do jeszcze bardziej symptomatycznej sytuacji doszło w diecezjach Cork i Ross. To charakterystyczne dla tych Kościołów lokalnych, w których związki finansowe z państwem wzięły górę nad nauczaniem katolickim. Poradnia diecezjalna pierwotnie podjęła decyzję odstąpienia od współpracy z państwem w związku z polityką narzucania nowego modelu małżeństwa. Decyzja ta jednak okazała się nieskuteczna, ponieważ zbuntowali się świeccy pracownicy instytucji, argumentując, że cała sprawa nie była z nimi konsultowana. W rzeczywistości chodziło jednak o to, że większość irlandzkich katolików porzuciła już nauczanie społeczne Kościoła, którego im nie głoszono, i dominującą perspektywą okazało się niezrozumienie, dlaczego mają utracić przychody z dotacji państwowych.

KOŚCIÓŁ POSTKATOLICKI

Przywołajmy jeszcze jeden irlandzki przykład na to, w jaki sposób zaniedbania i korupcja hierarchów prowadzą do uformowania się czegoś, co można określić mianem Kościoła postkatolickiego.

W jednej z irlandzkich diecezji odbył się niedawno synod, który poprzedził proces „wsłuchiwania się w głos wiernych". Efekty można uznać za wstrząsające – 85 proc. ankietowanych było za zniesieniem celibatu, 81 proc. za przywróceniem do posługi księży, którzy odeszli z posługi z powodu założenia rodziny, 80 proc. opowiedziało się za wprowadzeniem diakonatu kobiet, a 69 proc. za kapłaństwem kobiet. Ponad 50 proc. chciało, by liturgii wspólnie przewodzili księża i świeccy, a w razie konieczności, by świeccy mogli to robić sami. Równocześnie zaledwie kilkanaście procent widziało potrzebę zachęcania wiernych do wspólnej modlitwy, np. różańcowej. Na pytanie: „Co powinniśmy robić" tylko 7 proc. odpowiedziało, że należy się modlić.

To tylko ogólne tło dla 91 proc. poparcia dla całkowitej akceptacji osób LGBT, a nie po prostu osób z takimi skłonnościami trwającymi jednak przy nauczaniu Kościoła. Przyjęcie takich osób jest zwykłą normą katechizmową.

Wiele z procesów rozkładu religijności zaczyna się wtedy, gdy mniej zaangażowani wierzący patrzą na biskupa wygłaszającego laudację dla polityka, który jeszcze niedawno trzymał w ręku tęczową flagę lub latami dopuszczał praktyki aborcyjne, choć solennie zapewniał, że zmiana tej sytuacji jest jednym z zadań jego ugrupowania. Także polscy biskupi, którym dziś brakuje odwagi w byciu znakiem sprzeciwu wobec świata, mogą niedługo ze zdziwieniem stwierdzić, że zostali ze swoim prestiżem i z finansami zupełnie sami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd6a0bf674

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Wspaniałość technologii

Ostatnio wreszcie robię coś sensownego. Otóż moja fundacja organizuje Ogólnopolski Konkurs Retoryczny dla licealistów. Niedawno odbył się finał, podczas którego spotkałem 12 bardzo sensownych młodych ludzi z całej Polski. Kiedy człowiek ogląda w Internecie filmy, na których nastolatkowie twierdzą, że w Niemczech mieszka 4 tys. ludzi, a poprawna nazwa Słowacji to Słowenia, obcowanie z taką dwunastką to ożywcze doświadczenie. Myślisz sobie, że nasza ojczyzna ma przyszłość.

W finale wszyscy młodzi ludzie musieli wygłosić przemówienie na temat „Najważniejszy wynalazek XXI w.". Kilka wystąpień było interesujących, ale nawet i bez nich sam się zadumałem nad tym wynalazkiem. I już wiem.

Otóż najważniejszym wynalazkiem XXI w. jest dla mnie – podkreślam, dla mnie, nie dla świata – aplikacja Spotify. Dzięki niej po raz drugi w życiu odkryłem muzykę, która przez długie lata funkcjonowała gdzieś na zapuszczonych peryferiach mojej rzeczywistości. Nie należę bowiem do ludzi, którzy hołubią swe artystyczne fascynacje przez całe życie. Muzyka, którą podniecałem się jako nastolatek, napawa mnie dziś raczej zażenowaniem niż zachwytem. Na myśl o tym, że miałbym pojechać na koncert kapeli, która grała 30 lat temu i wciąż gra te same kawałki, miękną mi nogi.

Nigdy też nie byłem – choć o tym nie wiedziałem – wielbicielem płyt. Wiem, fanatycy uwielbiają zapach czarnych krążków i rozpływają się nad ich okładkami, ale mnie to nie kręci. Prawda jest taka, że jest ledwie kilka płyt w historii, na których jest więcej niż jeden utwór czy dwa godne zapamiętania. Po jakie licho zatem zagracać sobie mieszkanie przedmiotami, które się tylko kurzą? Istniał też dla mnie problem poszukiwania nowych dźwięków. Ślęczenie w sklepach mnie męczyło, a jeśli chodzi o radio… Prezenterzy radiowi, którzy powinni być przewodnikami po tym świecie, odrzucali mnie zawsze swoją afektacją i „magicznym klimatem", który starali się budować swoim głosem. Niestety, czar Kaczkowskich i Niedźwieckich nigdy na mnie nie działał. Wstyd mi, ale nikt nie jest idealny.

A Spotify wychodzi mi naprzeciw. Najpierw sądziłem, że jak każdy stary pryk zainstaluję sobie aplikację tylko po to, żeby słuchać muzyki, którą już znałem i już lubiłem. Podobnie jest z ubraniami. Kupuję nowe, ale chodzę w starych. Ale nic takiego nie nastąpiło.

Bezduszne urządzenie szybko rozgryzło moje gusta i zaczęło mi podsuwać utwory, które zazwyczaj przypadały mi do gustu. A zarazem, niezauważalnie, krok po kroku poszerzało moje horyzonty. Spotify okazało się wspaniałym narzędziem do penetrowania niezmierzonego bogactwa dźwięków, które powstają każdego dnia na całym świecie. I z tego oceanu kroplomierzem wybiera coś, co jest idealnie skrojone pod mój gust. I co czyni mnie szczęśliwszym. Dalibóg, wielki wynalazek. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Młot na zabobony

W ostatnich dniach boleśnie wyszło na jaw, jak wielkie pokłady ciemnoty i wstecznictwa kryją się w tzw. obyczajach ludowych. Szeroko rozumiana tradycja jest po prostu spróchniała jak – nie przymierzając – miejscowość Pruchnik. Zauważył to nawet wielki językoznawca Bronisław Komorowski, broniąc obrzędu o nazwie lajkonik.

Pozwolę się z tym poglądem nie zgodzić – tradycja lajkonika, podobnie jak tzw. hejnał mariacki, od ponad 700 lat szerzy nienawiść wobec pokój miłującego narodu mongolskiego. Podobnych przykładów jest więcej. Czyż wiosenne topienie tzw. marzanny nie jest przejawem seksizmu i winno spotkać się z kategorycznym potępieniem feministek? Analogicznie jak impreza z puszczaniem wianków jest niepotrzebnym dzieleniem młodych panien na te, które mają co puszczać, i te, które puszczają się same. Dodajmy tu jeszcze karygodne przejawy przemocy domowej, które kryją się w osławionym śmigusie-dyngusie.

Jakże pięknie na tym tle przedstawiają się obchody Halloween

Nie chcę nawet przypominać misteriów paschalnych, które zohydzają pamięć o starożytnym Rzymie i jego siłach zbrojnych, ale przecież nawet w bożonarodzeniowych przebierańcach można odnaleźć całe pokłady nietolerancji. Czy nikt nie zauważył, że diabeł jest tam przedstawiany jako czarny, a atakowanie króla Heroda – jakby nie było króla państwa, z którym mamy stosunki dyplomatyczne – jest podważaniem norm prawa międzynarodowego? Nietolerancja wciska się wszędzie! Od małego! Zauważyli to ostatnio towarzysze hiszpańscy, usuwając z bibliotek szkolnych 30 proc. lektur, na czele z „Kopciuszkiem" i „Królewną Śnieżką", które utrwalały fałszywe stereotypy. Jakże pięknie na tym tle przedstawiają się obchody Halloween, w których główną rolę odgrywa pod każdym względem poprawna politycznie dynia?

Dużo jeszcze jest więc do zrobienia, ale dzięki pomocy przyjaciół wyjdziemy na prostą. O co niewątpliwie zadbają z jednej strony Unia, a z drugiej pani Mosbacher. ©℗

eprasa.pl cd6a0bf674

"Złodziejaszki skradły moje serce"

Grażyna Torbicka

OSCAR® 2019
NOMINACJA
NAJLEPSZY FILM

ZŁOTA PALMA
CANNES 2018

ZŁODZIEJASZKI

FILM HIROKAZU KORE-EDY

LILY FRANKY · SAKURA ANDO · MAYU MATSUOKA · KILIN KIKI

FUJI TELEVISION NETWORK, GAGA CORPORATION AND AOI PRO. INC. PRESENTS A KORE-EDA HIROKAZU FILM "SHOPLIFTERS" LILY FRANKY ANDO SAKURA MATSUOKA MAYU KIKI KILIN MUSIC BY HOSONO HARUOMI (VICTOR ENTERTAINMENT) DIRECTOR OF PHOTOGRAPHY KONDO RYUTO LIGHTING BY FUJII ISAMU SOUND BY TOMITA KAZUHIKO PRODUCTION DESIGNER MITSUMATSU KEIKO PRODUCTION BY AOI PRO. INC. EXECUTIVE PRODUCERS ISHIHARA TAKASHI TOM YODA NAKAE YASUHITO ASSOCIATE PRODUCERS OSAWA MEGUMI ODAKE SATOMI PRODUCERS MATSUZAKI KAORU YOSE AKIHIKO TAGUCHI HIJIRI WRITTEN, EDITED AND DIRECTED BY KORE-EDA HIROKAZU

W KINACH OD 22 MARCA

PMPG POLSKIE MEDIA

Classic wprost co jest grane24 KINO DO RZECZY FILM sens FILMOTERAPIA.PL

eprasa.pl cuba0bf674

Tomasz Lenczewski

Rzekoma córka carycy

Ulubienica carycy Katarzyny II, często uważana za jej córkę, dbała o interesy rosyjskie, osobiste i rodzinne oraz opiekowała się Kościołem katolickim w swoich ukraińskich dobrach

Portret Aleksandry Branickiej z 1781 r. autorstwa Richarda Bromptona FOT. FORUM

Była jedną z kilku córek Wasyla Engelhardta i Marty z Potiomkinów, rodzonej siostry Grzegorza, faworyta cesarzowej Katarzyny II. Nad jej pochodzeniem zaciążyła plotka. Głosiła ona, że matką jej była sama Katarzyna II, wówczas żona rosyjskiego następcy tronu, ze związku z Sergiuszem Sałtykowem. Po urodzeniu córeczki wielka księżna Katarzyna miała ją zamienić na chłopca, przyszłego cara Pawła I.

Pogłoskę o takim pochodzeniu Aleksandry podbudował naukowo historyk Henryk Mościcki w „Polskim Słowniku Biograficznym". Zdaniem Mieczysława Grydzewskiego przejął ją od Szymona Askenazego, a jej pierwotnym źródłem miała być tradycja rodu Branickich i Szuwałowych. Opowiadali się za nią również Marian Kukiel i Emanuel Rostworowski. Współcześni historycy, tacy jak Zofia Zielińska, traktują to pochodzenie, jako „domniemane". Z kolei Simon Sebag Montefiore czy Adam Zamoyski negują tę hipotezę.

Przez wiele lat opinia w tej mierze antyrosyjskiego Mościckiego nabrała wręcz cech dogmatu. Miały ją uprawdopodabniać portrety Aleksandry oraz pogłoska o spaleniu pod koniec jej życia jakichś sekretnych papierów mogących skompromitować rosyjski dwór. Zresztą dalsze pokolenia Branickich też miały posiadać jakieś dokumenty na ten temat. Plotka ta krążyła naturalnie już za życia Aleksandry Engelhardt, późniejszej Branickiej, choć nie kolportował jej ostatni król Polski. Niewątpliwie była ona na rękę jej przyszłemu mężowi. Krążyła głównie wśród polskiej arystokracji. Montefiore tłumaczy ją w sposób dość prosty. Otóż przyszła hetmanowa była ulubioną siostrzenicą wszechwładnego Potiomkina i „fascynującą kobietą". Stąd jej wysoka pozycja na dworze rosyjskim „jako nieoficjalnego członka carskiej rodziny".

Przyszła hetmanowa nie należała do kobiet wybitnie pięknych, w odróżnieniu

eprasa.pl cd6a0bf674

od swoich sióstr i kuzynek, ale nadrabiała to wdziękiem i gustownymi strojami. Odebrała dość powierzchowne wykształcenie i tylko dzięki protekcji wuja zdobyła sobie na dworze wyjątkową pozycję. Wzmacniały ją wyróżnienia ze strony Katarzyny II w postaci wysokich rang dworskich, najwyższych orderów dla dam i kosztownych podarków.

Swoboda obyczajowa ówczesnego petersburskiego dworu bijąca na głowę bezpruderyjność panującą we francuskim Wersalu sprawiła, że młodziutka Aleksandra stała się kochanką swego wuja Potiomkina. Wuj z upodobaniem wybierał sobie kolejno jej siostry, nadal pozostając w zażyłych stosunkach z carycą. Wszystkie one zostały przez niego hojnie wyposażone, zresztą przy udziale cesarzowej i na koszt państwa rosyjskiego. Jako atrakcyjne partie powychodziły bogato za mąż. Aleksandra dostała za męża niemalże dwukrotnie starszego hetmana wielkiego koronnego Franciszka Ksawerego Branickiego.

ŻONA PRZYSZŁEGO TARGOWICZANINA

Branicki był zdolnym i ambitnym politykiem, pełnym pychy, o gwałtownym temperamencie, słabej moralności i skłonności do alkoholu. Od młodości związany z przyszłym królem Stanisławem Augustem Poniatowskim, któremu zawdzięczał bogate starostwo białocerkiewskie, przynoszące magnackie dochody i buławę wielką koronną. Faktycznie był zaledwie „figurantem w mundurze hetmańskim z wysoką pensją" z uwagi na ograniczenia prawne urzędu. Był też dzielnym żołnierzem, lecz kiepskim dowódcą.

Od chwili ślubu z Aleksandrą w petersburskiej cerkwi w 1781 r. stopniowo uniezależnił się od króla. Panna młoda otrzymała w posagu 600 tys. rubli oraz okazały pałac w stolicy, specjalnie dla niej zakupiony. Mąż stał się również domownikiem carskiego dworu i choć pozostał typowym Sarmatą, to chętnie deklarował „je suis Russe".

Małżeństwo to było wynikiem kalkulacji politycznej obliczonej na uzyskanie większego wpływu na politykę polską. Hetman poślubił młodą i bogatą kobietę z wielkimi koneksjami, a sam po kilkunastu latach stał się synonimem zdrady zwanej Targowicą. Caryca radziła Aleksandrze przed ślubem, aby była wierna swej ojczyźnie, czyli Rosji, przekazała tę postawę mężowi i dzieciom oraz uczyła ich języka rosyjskiego. Przyszłość pokazała, że Aleksandra nie potraktowała tych sugestii zbyt dosłownie.

Hetmanowa po ślubie podtrzymywała przyjacielskie więzy z wujem Potiomkinem, a kiedy zachorował w 1791 r., pojechała go pielęgnować i była przy jego śmierci podczas podróży w stepie. Odziedziczyła po nim większą część jego kilkunastomilionowej schedy. Małżeństwo zmieniło ją całkowicie. Stała się wzorową matką i żoną, przywiązaną do męża, którego do końca swoich dni z rozrzewnieniem wspominała, nazywając go pieszczotliwie „Braniem".

Po wycofaniu się hetmana z życia politycznego i złożeniu urzędu, zaraz po ustanowieniu konfederacji targowickiej i upadku dzieła Konstytucji 3 maja, małżonkowie przez blisko ćwierćwiecze pędzili spokojny żywot w Białej Cerkwi. Nadal cieszyli się przychylnością rosyjskiego dworu z wyjątkiem okresu panowania cara Pawła, który nienawidził wszystkiego, co miało związek z matką.

W polskiej historiografii (Askenazy, Helleniusz, Mościcki) przyjęło się, że hetman Branicki był w rękach małżonki bezwolnym i posłusznym narzędziem. Niewątpliwie było tak w sprawach politycznych. Natomiast tradycja o rządach Aleksandry w Białej Cerkwi przy powszechnie propagowanym obrazie męża pijaka jest – według historyka polsko-ukraińskiego Eugeniusza Czernieckiego z Białej Cerkwi (autora monumentalnej monografii o Branickich) niezgodna ze źródłami. Jego zdaniem hetman twardo trzymał wszystko w swych rękach prawie do zgonu, dzieci wychował na patriotów polskich. Faktycznie Aleksandra miała coś do powiedzenia tylko w sprawach domowych. Dopiero po zgonie małżonka hetmanowa całkowicie zagarnęła władzę. W efekcie rządziła twardą ręką, m.in. wprowadziła pańszczyznę dla chłopów z dóbr białocerkiewskich.

KOBIETA INTERESU

Rychło okazało się, że hetmanowa potrafi pomnażać majątek. Zarabiała krocie na dostawach dla armii rosyjskiej ze stratą dla skarbu państwa. Przypomniano sobie o tym w okresie rządów Pawła I i nawet od niej coś wyegzekwowano przy okazji transakcji z klejnotami dla nowej carycy. Czynnie natomiast wspierała cesarza Aleksandra I, który odwiedzał ją w Białej Cerkwi oraz w ukochanej Aleksandrii nazwanej rzekomo na jego cześć. Udzieliła mu wielomilionowego wsparcia finansowego podczas wojny z Turcją i podczas kampanii w 1812 r. Stąd nazywano ją „bankierem rosyjskiego dworu". Jej wrogość wobec cesarza Napoleona była powszechnie znana do tego stopnia, że w zajętym Wilnie bezskutecznie sugerowano francuskiemu władcy, aby skonfiskował on Białą Cerkiew i w ten sposób przejął jej majątek.

Po wymuszonym przez Napoleona zerwaniu stosunków dyplomatycznych Austrii z Rosją w 1812 r. Aleksandra wyjechała do Wiednia, gdzie mieszkała jej córka. Stworzyła tam nieoficjalne poselstwo rosyjskie, aż do czasów wyjścia Napoleona z Rosji i zmiany frontu przez Austrię. Opłacała również austriackiego dowódcę korpusu posiłkowego ks. Karla Schwarzenberga, aby pozostał bierny w wojnie. Po klęsce Napoleona, kiedy powstało Królestwo Polskie, miała decydujący wpływ na obsadę stanowiska namiestnika, którym został jej protegowany były jakobin gen. Józef Zajączek.

O jej bogactwie krążyły legendy, co skwapliwie, czasem koloryzując, odnotowywali pamiętnikarze. Ponoć w okratowanej komnacie znajdowały się beczki i worki pełne złota oraz srebra, a po kątach leżały wielokilogramowe sztaby tych kruszców. Pilnowała ich warta złożona z Kozaków, których hetmanowa miała kilka tysięcy na swoje usługi. Realnie liczba tych Kozaków nie przekraczała setki.

Ciepłe stosunki łączyły panią na Białej Cerkwi również z carem Mikołajem I. Jej pierwszy dar dla nowego władcy był jednak dość nietypowy. Było to 100 funtów żelaza na kajdany dla skazanych na katorgę dekabrystów. Zapewne chciała odwrócić uwagę od tego, że czołowi przywódcy rebelii bywali w jej dobrach, zanim wywołali powstanie. Wdzięczność wynikała również z faktu stłumienia buntu czernichowskiego pułku, który pod wodzą Siergieja Murawjowa-Apostoła maszerował na Białą Cerkiew w 1825 r. Wobec wybuchu powstania listopadowego przesłała pilnie carowi równowartość 2 mln zł polskich na koszty wojny z „polskimi buntownikami". Otrzymała wtedy ochronę nad majętnością w postaci „nędznego batalionu piechoty". Tak relacjonowali patriotycznie nastawieni jej poddani pozostający w łączności z powstańcami.

Biała Cerkiew znów była zagrożona, tym razem działającymi w pobliżu oddziałami polskimi. Zamierzały one przechwycić gotówkę ze słynnego skarbca hetmanowej, którgo wartość szacowali na skromne 3 mln rubli w złocie. Klęska pod Daszowem i załamanie wyprawy

eprasa.pl cd6a0bf674

Legendarna Biała Cerkiew Branickich. Pocztówka z 1920 r. (Biblioteka Narodowa) FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

gen. Dwernickiego ocaliło ostatecznie fortunę Branickiej.

DOBRODZIEJKA LUDU I KOŚCIOŁA

Aleksandra chociaż bardzo bogata była dość skąpa. Sama osobiście kontrolowała rachunki. Ponoć oszczędzała szczególnie na świecach, których resztki kazała służbie w pałacowej rezydencji skwapliwie zbierać. Miała jedną wielką namiętność, na którą nie szczędziła milionów. Był nią ogród w Aleksandrii koło Białej Cerkwi z letnią rezydencją, pełen egzotycznych drzew sprowadzanych z najdalszych okolic. Ogród ten, choć zdewastowany w czasach bolszewickich, przetrwał do dziś i po rekultywacji stanowi obok Zofiówki Potockich największy i najpiękniejszy park dendrologiczny na Ukrainie.

Ewenementem stało się to, że ta prawosławna Rosjanka wspierała czynnie Kościół katolicki w swoich dobrach. Z jej funduszy powstały nowe kościoły parafialne w Białej Cerkwi, Humaniu i Stawiszczach. Pragnieniem jej było spocząć obok męża hetmana w białocerkiewskiej farze. Budowla ta uchodziła za ładniejszą od ufundowanego przez nią soboru Przemienienia Pańskiego, czego nie omieszkała jej wypomnieć miejscowa hierarchia prawosławna. Na takie jednak rozwiązanie nie zgodził się po jej śmierci car Mikołaj II.

Dwór hrabiny Branickiej w Białej Cerkwi składał się z Polaków i siłą rzeczy miał polski charakter. W istocie tytuł hrabiowski zalegalizowano dopiero pod koniec jej życia. Braniccy do końca swoich dni przerwanych rewolucją bolszewicką w 1917 r. zatrudniali w charakterze oficjalistów wyłącznie Polaków, przeważnie z drobnej zdeklasowanej szlachty, umacniając tym samym polskie dziedzictwo na tym obszarze. Również dzieci hr. Aleksandry zostały wychowywane na Polaków i poślubiły przeważnie członków polskich arystokratycznych rodów.

Wcześniej swatano je z niemieckimi książętami, których rekomendował sam cesarz Aleksander I. Jednak ich niemieckie majętności były zbyt małe wobec dóbr Branickich liczących blisko 100 tys. dusz i 217 wsi szacowanych na 28 mln rubli. Hetmanowa dbała o swoich poddanych poprzez fundacje, szpitale czy pożyczki finansowe. W chwili śmierci nie zapomniała również o więźniach w turmach, na których wykup przeznaczyła 200 tys. rubli. Z kolei swoim włościanom pozostawiła 300 tys. – z myślą o stworzeniu banku. Długo jednak trwało, zanim dopiero wnuk Aleksandry otrzymał zgodę w 1875 r. na otwarcie banku włościańskiego, którego procent od narosłego kapitału przeznaczono na wspieranie chłopskich gospodarstw.

Jej marmurowy grobowiec w soborze był przez miejscowych otaczany niemalże kultem. Dopiero po ostatecznym zamknięciu świątyni dla wiernych w czasach Chruszczowa uległ dewastacji, kości usunięto w nieznane miejsce. Zniknęła także płyta nagrobna. Sylwetka Branickiej jako dobrodziejki ludu przetrwała do dziś w lokalnych opowieściach. W 2014 r. w Aleksandrii ufundowano jej pomnik.

W jednej z ostatnich jej biografii wydanej na Ukrainie autor Wołodymyr Pererwa uczynił z Branickiej wielce zasłużoną dla Kościoła prawosławnego. W istocie po śmierci męża ta orędowniczka prawosławia odebrała ziemie nadane miejscowym cerkwiom jeszcze przez białocerkiewskich starostów w czasach Rzeczypospolitej szlacheckiej. „Szczera Rosjanka" wspólnie z mężem sprowadziła do miasta również Żydów, co miało wpływ na jego rozwój. Dzięki Aleksandrze i jej polskim potomkom Biała Cerkiew z przyległościami stała się najlepiej prosperującym majątkiem w guberni kijowskiej. Mimo rewolucji bolszewickiej, która usunęła stamtąd Branickich, chwalebna pamięć zarówno o niej, jak i polskich panach przetrwała w tej części wschodniej Ukrainy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd6a0bf674

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Hiszpanie w bolszewickiej niewoli

Jak wiadomo, po zakończeniu II wojny światowej w dobrym tonie było robienie z siebie ofiary Hitlera. Propagandyści państw Europy prześcigali się w trąbieniu o krzywdach, których zaznały ze strony „teutońskich barbarzyńców". Mniej chętnie wspominano o tym, że na Związek Sowiecki u boku Hitlera pociągnęła niemal cała Europa.

O ile po wojnie modne stało się bycie „antyfaszystą", o tyle w trakcie wojny miliony Europejczyków uważały, że wrogiem numer jeden cywilizacji europejskiej są bolszewicy. I setki tysięcy z nich znalazły się na froncie wschodnim. Niemcy jednak wojnę z bolszewikami z kretesem przegrali i miliony żołnierzy Wehrmachtu powędrowały do straszliwej sowieckiej niewoli. A wraz z nimi – dziesiątki tysięcy ich sojuszników. To właśnie ich losy przedstawione zostały w książce „Sowieckie obozy dla jeńców wojennych i internowanych 1939–1956". Znajdą w niej państwo artykuły znakomitych zagranicznych badaczy, dotyczące m.in. sowieckiej gehenny Japończyków, Finów, Węgrów i Hiszpanów.

Tych ostatnich – jak pisze Carme Agusti Roca – bolszewicy przetrzymywali w obozie w Borowiczach. Warunki panujące w tym ośrodku nie różniły się wiele od warunków panujących w łagrach. Hiszpanie musieli harować w sowieckich fabrykach i na budowach. Karmiono ich fatalnie i cały czas poddawano komunistycznej indoktrynacji. Za drutami szerzyły się rozmaite paskudne choroby.

W kwietniu 1951 r. ok. 200 Hiszpanów ogłosiło strajk głodowy! Była to odpowiedź na – niezgodne z prawem międzynarodowym – blokowanie korespondencji między jeńcami a ich ojczyzną. Władze obozowe oczywiście zdławiły strajk siłą. Brutalnie zmuszały jeńców do jedzenia, blisko 100 z nich postawiły przed sądem. Jako „reakcyjni prowokatorzy" otrzymali wyroki 25 i 10 lat internowania.

Hiszpanie wrócili do domu dopiero po śmierci Stalina i Berii. 2 kwietnia 1954 r. 286 żołnierzy Błękitnej Dywizji, pilotów i marynarzy przybyło do Hiszpanii. Na ulicach Barcelony witały ich rozentuzjazmowane tłumy. Niestety, aż 139 hiszpańskich jeńców sowieckiej niewoli nie przeżyło. IPN wydał bardzo ciekawą książkę dotyczącą tych mało u nas znanych spraw. ©℗

★★★★★★

RED. JERZY BEDNAREK, DARIUSZ ROGUT
„SOWIECKIE OBOZY DLA JEŃCÓW WOJENNYCH I INTERNOWANYCH 1939–1956. PRZYKŁADY WYBRANYCH NARODÓW"
IPN 2018

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

III powstanie śląskie

Polska przegrała plebiscyt na Górnym Śląsku, który miał rozstrzygnąć o przynależności państwowej tej krainy. Za naszym krajem opowiedziało się 40,4 proc. głosujących, za Niemcami – 59,5 proc. Było też jasne, że nie będzie możliwy podział Górnego Śląska według kryteriów etnicznych. Polskie gminy otaczały niemieckie enklawy miejskie, nie udało się osiągnąć kompromisu, w efekcie doszło do gwałtownych wystąpień. Rozpoczął się strajk na niespotykaną skalę, a polski komisarz plebiscytowy, Wojciech Korfanty, wydał rozkaz o rozpoczęciu powstania w nocy z 2 na 3 maja 1920 r.

Rzeczpospolita otrzymała 29 proc. obszaru plebiscytowego

Po stronie polskiej do walk przystąpiło ok. 40 tys. Ślązaków, niebawem napłynęło także kilka tysięcy ochotników z głębi Polski. Nie zabrakło w tym gronie wielu oficerów i żołnierzy Wojska Polskiego.

Trzeba przyznać, że śląscy bojownicy potrafili wyciągnąć wnioski z poprzednich dwóch powstań. Już w chwili wybuchu walk ich specjalny oddział wysadził w powietrze mosty kolejowe na Odrze, przerywając połączenia z Niemcami. Do 10 maja Polacy opanowali większość obszaru, który w plebiscycie opowiedział się za Polską (tzw. linia Korfantego), i pomimo niemieckich kontrataków utrzymali front.

Najbardziej zacięte boje rozegrały się o Górę św. Anny. Po zajadłych walkach (w niektórych oddziałach po obu stronach straty wyniosły ponad 80 proc.!) ostatecznie zwycięzcami okazali się Niemcy, opanowali oni również Kędzierzyn. Powstańcy nie dopuścili jednak do przerwania frontu i wkroczenia przeciwnika do okręgu przemysłowego.

Walki ustały w pierwszej dekadzie czerwca, chociaż dochodziło jeszcze do lokalnych potyczek zbrojnych. Wreszcie polskie i niemieckie oddziały opuściły teren plebiscytowy, a spór o podział Górnego Śląska przeniesiono na forum Ligi Narodów. Ostatecznie Rzeczpospolita otrzymała 29 proc. obszaru plebiscytowego zamieszkanego przez 46 proc. ludności. Zamieszkiwało go 250 tys. Niemców, natomiast poza granicami naszego kraju znalazło się 530 tys. śląskich Polaków. Pomimo to można uznać, że odniesiono sukces. W granicach Rzeczypospolitej znalazła się większość zakładów przemysłowych. Po polskiej stronie zostały 53 kopalnie (na 82), 9 stalowni (na 14) i 22 wielkie piece (na 37).

Przyznana Polsce część Górnego Śląska została włączona do Rzeczypospolitej w 1922 r. Powstało województwo śląskie ze stolicą w Katowicach, które jako jedyne w Polsce dostało szeroką autonomię z własnym parlamentem i skarbem. Przelana krew powstańców nie poszła na marne… ©℗

eprasa.pl cd6a0bf674

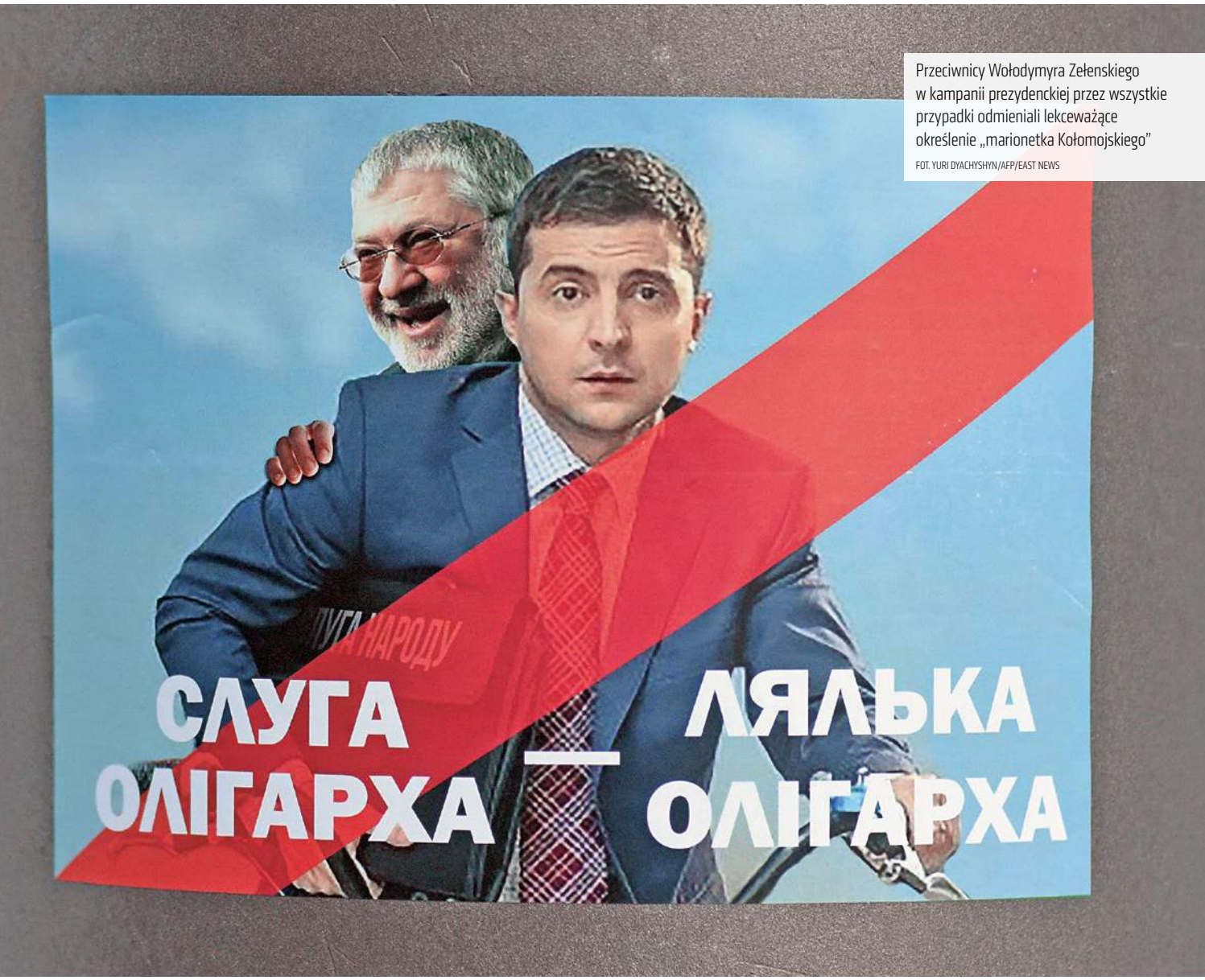

Przeciwnicy Wołodymyra Zełenskiego w kampanii prezydenckiej przez wszystkie przypadki odmieniali lekceważące określenie „marionetka Kołomojskiego"

FOT. YURI DYACHYSHYN/AFP/EAST NEWS

Ojciec chrzestny sługi narodu

eprasa.pl cd6a0bf674

Maciej Pieczyński

Bezwzględny oligarcha, który postawił się Putinowi. Kim jest Ihor Kołomojski uważany za architekta wyborczego sukcesu Wołodymyra Zełenskiego?

Wszystkie ukraińskie stacje telewizyjne należą do oligarchów. Chodzą słuchy, że prowadzący programów czasem wprost transmitują myśli właścicieli. Jak zatem mogłyby brzmieć informacje podawane „z pierwszych ust"? Wyobraźmy sobie: w studiu zamiast dziennikarzy Ihor Kołomojski i Rinat Achmetow. Właściciel telewizji 1+1 i właściciel TRK Ukraina. „Kurs dolara będzie 28, no niech będzie 28,5, a co, mam dobry nastrój!" – „informuje" Kołomojski, demonstrując szeroki gest. „A skąd ty masz taki dobry nastrój?!" – dziwi się Achmetow. Po czym dopytuje: „To twój humorysta cię tak rozbawił?!". Oczywiście chodzi o Wołodymyra Zełenskiego. „A ty się nie boisz, że ten humorysta jest taki uczciwy, że jak przyjdzie do władzy, to cię posadzi?" – na to pytanie Achmetowa Kołomojski ma gotową odpowiedź: „Gdzie on mnie posadzi?! Chyba w »Rozśmiesz komika« mnie posadzi".

„Rozśmiesz komika" to popularny nad Dnieprem telewizyjny show, którego uczestnik – jak sama nazwa wskazuje – ma za zadanie rozbawić jurorów, artystów kabaretowych. Prowadzącym teleturnieju jest – jakaż niespodzianka – Zełenski. Opisane wyżej wydanie ukraińskich wiadomości to fabuła jednego ze skeczów należącego do komika studia 95 Kwartał. W rolę Kołomojskiego wcielił się sam Zełenski. Nie pierwszy raz zresztą – komik często parodiuje swojego pryncypała, sprawnie odtwarzając charakterystyczną, niedbałą i ledwie zrozumiałą wymowę oligarchy. W jednym ze skeczów artyści „Kwartału" zaprezentowali nawet „słownik", tłumacząc z „kołomojskiego" na rosyjski (w tym języku powstaje absolutna większość repertuaru). Na scenie Zełenski potrafił przedstawić oligarchę w krzywym zwierciadle. Po pierwsze, robił to jednak dobrodusznie, raczej ocieplając jego wizerunek. Po drugie, koniec żartów, teraz czas na poważną politykę. A tutaj górą – jak to zresztą pokazał w wyżej opisanym skeczu sam Zełenski – jest Kołomojski. Nie musi „rozśmieszać" komika. To komik musi zrobić wszystko, aby pokazać, że jest kimś więcej niż bezwolną „marionetką Kołomojskiego", sprawnie wykreowanym i genialnie poprowadzonym projektem marketingowym.

PROJEKT ZEŁENSKI

Podczas słynnej już debaty na kijowskim stadionie Zełenski stwierdził, że nie jest dla Poroszenki przeciwnikiem, jest natomiast dla niego „wyrokiem". Ponadto, jak często podkreślają ukraińscy eksperci, Zełenski jest również zemstą Kołomojskiego na Poroszence. Tak się złożyło, że przed wyborami na antenie należącej do dniepropietrowskiego oligarchy telewizji 1+1 kandydat na prezydenta dosłownie „wyskakiwał z lodówki". Oczywiście formalnie jako komik, lider grupy kabaretowej 95 Kwartał.

Ihor Kołomojski po zwycięstwie Zełenskiego zapowiedział powrót z emigracji

FOT. ITAR-TASS/SAZONCHIK KONSTANTIN

– Kołomojski jest głównym beneficjentem projektu „Zełenski". Wydaje mi się, że w projekcie tym maczają palce również inni oligarchowie – mówi „Do Rzeczy" Jewhen Mahda, ukraiński politolog. Charakterystycznym elementem oryginalnej kampanii wyborczej przyszłego zwycięzcy były, publikowane w Internecie, dynamiczne nagrania, na których Zełenski wzywał swojego rywala do debaty na stadionie, na oczach „całego narodu". Wydawałoby się: młody, zaznajomiony z nowoczesnymi technologiami kandydat wie, jak niestandardowo przyciągnąć elektorat. Z taką wizją nie zgadza się Jewhen Mahda. – Głównym narzędziem kampanii wyborczej Zełenskiego były nie, jak przyjęło się mówić, media społecznościowe, ale należąca do Kołomojskiego telewizja 1+1, w której permanentnie wylewano pomyje na Poroszenkę, a programy z udziałem Zełenskiego w okresie od stycznia do marca stanowiły 13 proc. oferty – argumentuje. Zdaniem politologa elementem kampanii był również trzeci sezon serialu „Sługa narodu", którego premiera w telewizji Kołomojskiego odbyła się tuż przed drugą turą wyborów. W odcinku pod sugestywnym tytułem „Wybór" grany przez Zełenskiego prezydent „z prostego ludu" Wasyl Hołoborodźko w ramach trwającej niecałą godzinę fabuły robi dla Ukrainy więcej niż wszyscy dotychczasowi przywódcy razem wzięci. – Nie ma żadnych wątpliwości, że ostatnie odcinki serialu były zrealizowane pod drugą turę wyborów. Jednak już pierwsze dwa sezony były częścią „projektu Zełenski" – uważa Mahda. W tej opinii ekspert nie jest odosobniony. Pierwszy sezon „Sługi narodu" został wyemitowany w telewizji 1+1 jesienią 2015 r. Kilka miesięcy wcześniej, po awanturze z Poroszenką, Kołomojski stracił fotel przewodniczącego dniepropietrowskiej administracji obwodowej. Nie brak przypuszczeń, że właśnie wówczas oligarcha zaczął kreować, jak się później okazało, skuteczny plan politycznej zemsty.

BANICJA I POWRÓT

Po kolei jednak. Ihor Kołomojski pochodzi z położonego na południowym wschodzie Ukrainy Dniepropietrowska (obecnie Dniepr, ukr. Dnipro). To przemysłowe, rosyjskojęzyczne miasto wydało na polityczny świat wielu ukraińskich przywódców, bez których trudno sobie wyobrazić najnowszą historię tego kraju. Dość napisać, że tu urodzili się i wychowali Leonid Kuczma, Julia Tymoszenko, oligarcha Wiktor Pińczuk. Sięgając wstecz, do poprzedniej epoki – z miastem tym związany był Leonid Breżniew. Kołomojski to rocznik 1963. Co ciekawe, jego żydowskie pochodzenie nie było w żadnym wypadku tematem kampanii wyborczej. A przecież Kołomojski bardzo mocno się angażuje, wspiera kulturę

eprasa.pl cd6a0bf674

swoich przodków. W Dniepropietrowsku zbudował ogromne centrum kultury żydowskiej Menora. Karierę rozpoczynał więc w najlepszym z możliwych momentów – w chwili, gdy padał stary porządek, a otwierały się nieograniczone możliwości dla ludzi przedsiębiorczych, odważnych i bezwzględnych. Właśnie wtedy „hartowała się stal" postsowieckich oligarchów. Tak jak wielu z nich Kołomojski miał wysokie, techniczne wykształcenie. Gdy Gorbaczow ogłaszał pierestrojkę, Ihor Kołomojski kończył studia inżynierskie w Dniepropietrowskim Instytucie Metalurgicznym. Gdy tylko, na fali zmian, pojawiły się takie możliwości, młody inżynier wszedł w biznes. Wspólnie z Giennadijem Bogoliubowem oraz Aleksiejem Martynowem założyli spółkę Sentoza – kupowali sprzęt elektroniczny w Moskwie i sprzedawali w Dniepropietrowsku. Firmę nazwali na cześć singapurskiej wyspy, na której spędzali wakacje.

Jednak interesy z prawdziwego zdarzenia zaczęły się już po upadku ZSRS. W 1992 r. Kołomojski i Bogoliubow założyli PrivatBank. Dzisiaj to największy bank na Ukrainie. A jednocześnie wielka kość niezgody między Kołomojskim a Poroszenką. W 2016 r. skonfliktowany z oligarchą ówczesny prezydent doprowadził do nacjonalizacji PrivatBanku. Rada Najwyższa Ukrainy przegłosowała ustalenia, zgodnie z którymi państwo, dysponujące wcześniej mniejszą liczbą akcji, mogło przejąć całość. Narodowy Bank Ukrainy oficjalnie uznał, że PrivatBank jest niewypłacalny. Kołomojski nie chciał się pogodzić z utratą interesów. Walczył nie zawsze uczciwymi metodami. Ponadto analitycy spierają się, na ile nacjonalizacja banku była rzeczywiście wrogim przejęciem, a na ile częścią układu między Kołomojskim a Poroszenką – telewizja oligarchy w zamian miała poprzeć Poroszenkę w walce o reelekcję dwa i pół roku później. W walce z Julią Tymoszenko, którą wówczas kreowano na rywalkę urzędującego prezydenta. No ale w międzyczasie pojawił się Zełeński, a Kołomojski postanowił swój interes odzyskać…

Administracyjny sąd okręgowy w Kijowie doskonale wyczuł kierunek wiatru zmian. 18 kwietnia uznał nacjonalizację PrivatBanku za nielegalną. To był pierwszy triumf dniepropietrowskiego oligarchy. Drugi nastąpił trzy dni później, gdy Zełeński zmiażdżył znienawidzonego Poroszenkę w drugiej turze wyborów prezydenckich.

Przeciwnicy komika przez wszystkie przypadki odmieniali lekceważące określenie „marionetka Kołomojskiego". Oligarcha poczuł się bardzo pewnie. Tuż po wyborach do swojej izraelskiej rezydencji wpuścił ekipę rosyjskiej telewizji NTV. W rozmowie z dziennikarką przyznał, że starał się „służyć radą" kandydatowi na prezydenta. I że po kilku latach banicji (w rezultacie konfliktu z Poroszenką Kołomojski przeniósł się do Izraela, pomieszkuje również w Szwajcarii, gdzie od lat przebywa jego rodzina) wróci do kraju.

Jaka będzie jego rola przy Zełeńskim? – Wkład Kołomojskiego będzie się przejawiał w dwóch kwestiach. Po pierwsze, psychologiczny nacisk. Pamiętam, jak Kołomojski oferował nagrodę pieniężną za schwytanie separatysty. Nie pamiętam przypadku, żeby pieniądze wypłacił, ale znaczący jest sam fakt, że stosuje tego typu siłowe metody. Po drugie, na Zełenskiego będzie naciskać otoczenie Kołomojskiego. Nawet gdy jeszcze oligarcha był szefem administracji obwodowej, faktycznie zarządzał nią jego bliski współpracownik Korban, podczas gdy sam Kołomojski częściej przebywał w Szwajcarii niż na Ukrainie – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy" Maksym Butczenko, dziennikarz tygodnika „Nowoje Wriemia". Dodaje jednak: – Uważam, że Zełenski nie będzie całkowicie podległy Kołomojskiemu. W końcu ma prawo czuć się prawdziwym zwycięzcą – cieszy się 70-procentowym poparciem społeczeństwa. Oczywiście wszelkie kwestie finansowe będzie rozstrzygać Kołomojski. Jednakże presja społeczna na Zełenskiego będzie tak wielka, że nowy prezydent zrobi wszystko, aby zdystansować się od oligarchy – konkluduje Butczenko.

INWESTYCJA W NIEPODLEGŁOŚĆ

Tak czy inaczej bezzasadne wydaje się przesadne demonizowanie Kołomojskiego. Sukces polityczny bez wsparcia oligarchów jest na Ukrainie praktycznie niemożliwy. Ponadto również w polskich mediach, kreując obraz Kołomojskiego jako makiawelicznego „władcy marionetek", zapomina się o jednej podstawowej kwestii. To bodaj jedyny w tym kraju oligarcha, który w 2014 r. twardo, jednoznacznie stanął po stronie Kijowa i postawił się Putinowi. Zamiast hamletyzować jak Rinat Achmetow, doniecki biznesmen, Kołomojski po prostu zainwestował w niepodległość oraz integralność terytorialną Ukrainy. Finansował bojówki do walki ze zwolennikami „Noworosji", wyłożył pieniądze na bataliony ochotnicze walczące w Donbasie. Uchronił Dniepropietrowsk przed losem Doniecka i Ługańska, wspierał też Kernesa, mera Charkowa. Brutalnie pacyfikował wszelkie przejawy separatyzmu. Na konferencjach prasowych pojawiał się w prześmiewczej koszulce z podpisem „Żydobanderowiec". Słowem: niezależnie od tego, jak bardzo materialistyczna motywacja nim kierowała, zrobił wiele, by zatrzymać „Noworosję". Jak twierdzi, sam zaproponował, że obejmie fotel szefa administracji obwodu dniepropietrowskiego. Taką propozycję Kijów złożył wielu oligarchom. Większość odmówiła.

– Jeśli Achmetow żałuje, że nie stanął po stronie Ukrainy, to chyba tylko dlatego, że nie może rozgrywać meczów na stadionie Szachtara [Achmetow jest właścicielem klubu piłkarskiego Szachtar Donieck – przyp. red.] – komentował zgryźliwie Kołomojski w wywiadzie, jaki przeprowadził z nim znany, przychylny mu dziennikarz Dmitrij Gordon. W tej samej rozmowie po raz kolejny wyraził kontrowersyjną tezę, że to, co się dzieje w Donbasie, to „konflikt domowy", bo po obu stronach walczą obywatele Ukrainy, nawet jeśli jednej ze stron pomagają Rosjanie. Na pytanie Gordona, czy uważa niedopuszczenie do rozpadu Ukrainy za swoją historyczną zasługę, stwierdził: – Historyczna zasługa to za wiele powiedziane. Jestem jednak dumny, że przyłożyłem do tego rękę. Po prostu nie chciałem, żeby w Dniepropietrowsku było jak na Krymie. Wątpliwe, by teraz zechciał zmienić front.

Kołomojski to bodaj jedyny ukraiński oligarcha, który w 2014 r. twardo, jednoznacznie stanął po stronie Kijowa i postawił się Putinowi. Zamiast hamletyzować, zainwestował w niepodległość

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd6a0bf674

FOT. TROND FANDBERG/GETTY IMAGES

SAMOZATRUDNIENIE PO NORWESKU

Wieloletni pracownik norweskiej federacji narciarskiej NSF Espen Bjoervig został wyznaczony, by znaleźć nowego kierownika reprezentacji w biegach narciarskich. Spotkał się tylko z jednym kandydatem, spośród tych, którzy złożyli CV (według norweskich mediów było ich sporo). A potem NSF poinformowała, że nowym szefem został Bjoervig. – Po prostu w obecnej sytuacji jestem najlepszym kandydatem – wyjaśnił mediom.

ROSYJSKI POMYSŁ NA BEZPIECZEŃSTWO

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Federacji Rosyjskiej wystąpiło z wnioskiem o udostępnienie służbom danych medycznych obywateli kraju. Policja i służby specjalne chciałyby wiedzieć, kto leczy się u psychiatry albo odwiedza psychologa. Zdaniem resortu dzięki temu będzie można lepiej zabezpieczać ludzi przed tymi, którzy stanowią potencjalne zagrożenie. To w sumie i tak lepsza sytuacja niż wówczas, gdy sowieckie służby decydowały bez lekarzy, kogo zamknąć w psychuszce.

BOJOWA BIAŁUCHA

Duży waleń – białucha arktyczna – pływał między łodziami norweskich rybaków z wioski Inga i próbował ciągnąć za zwisające liny. Zwrócono uwagę, że waleń miał na sobie uprząż. Wezwani na miejsce specjaliści zdjęli ją ze ssaka – miała napis „wyposażenie St. Petersburga". Norwescy eksperci podejrzewają, że to waleń, który był szkolony przez rosyjską marynarkę wojenną.

WYKOLEJENI WŁOSCY MASZYNIŚCI

Dyrekcja włoskiego przewoźnika Trenitalia przyznała, że odwołany niedawno w ostatniej chwili kurs pociągu dużych prędkości (jadącego do 250 km/godz.) spowodowany był niedyspozycją maszynistów. Kierownik pociągu stojącego na stacji Brescia poinformował policję kolejową o tym, że obaj maszyniści są pijani. Pasażerów przesadzono do lokalnego pociągu, który dowiózł ich do szybkiego składu w Mediolanie.

GAZETOWE POMIESZANIE ŚWIATÓW

Czytelnicy australijskiego konserwatywnego dziennika „The Daily Telegraph" mogli ostatnio przeczytać liberalne artykuły m.in. wzywające do walki przeciw zmianom klimatu. Okazało się, że doszło do pomyłki w drukarni, w której oprócz konserwatywnej gazety drukowany jest też liberalny „The Sydney Morning Herald". ©℗

Łukasz Zboralski

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Trzymajmy się za portfele

Podobno PiS tym różni się od innych ugrupowań, że potrafi wycofać się ze złych rozwiązań. To jednak tylko legenda. Zakaz handlu w niedzielę trwa i prawdopodobnie zostanie zaostrzony od przyszłego roku.

Wraz z rosnącymi wydatkami, pojawiają się kolejne rozwiązania, które miały zniknąć, a wygląda na to, że powrócą. Pierwsze z nich to limit 30-krotności przy składkach na ZUS. Ustawę zaskarżył do TK w styczniu 2018 r. prezydent, ale – jak to Andrzej Duda – na pół gwizdka. Jego wątpliwości nie wzbudziła sama zawartość aktu, lecz jedynie sposób jego uchwalenia. A to oznacza, że można uchwalić ponownie to samo, tym razem zachowując zasady starannej legislacji. I wiele wskazuje na to, że do tego dojdzie. To zaś oznacza, że oberwą – jak zwykle – lepiej zarabiający. Nic dziwnego, bo jeśli nawet PiS na momencik chciał niedawno wrócić do romansowania z klasą średnią, to szybko to zarzucił.

Druga sprawa to nieszczęsny test przedsiębiorcy, w ramach którego to urzędnicy skarbówki decydowaliby, czy ktoś ma prawo prowadzić działalność gospodarczą i odprowadzać podatek liniowy, czy musi zostać etatowcem z wszelkimi obciążeniami. Wybuchła niemal panika wśród samozatrudnionych, więc rząd oświadczył, że testu przedsiębiorcy nie będzie. Okazuje się jednak, że w planie finansowym nadal trwa jakaś forma weryfikacji mikrofirm. Nic dziwnego: jeżeli obiecuje się rozdawać rocznie 40 mld., a nie można zadłużać się w nieskończoność, to skądś trzeba kasę wycisnąć.

Nie ma cudów. Będą więc pewnie i test przedsiębiorcy (choć zamaskowany), i zniesienie limitu składek, i wyższa akcyza na alkohol oraz tytoń, i 150 nowych danin i opłat w różnych miejscach. Jak powiedział klasyk – poważna ekipa zabiera się do naszych portfeli. ©℗

eprasa.pl cd6a0bf674

Nieudana

Małgorzata Wołczyk

Prawica miała odbić Hiszpanię z rąk lewaków, a skończyło się wielkim triumfem lewicy

Dzień wyborów powszechnych w Hiszpanii – 28 kwietnia – miał się zapisać w historii kraju prawicową rekonkwistą po 40 latach dominacji lewicy. Tak przynajmniej uważali ci, którzy bacznie obserwowali wydarzenia na Półwyspie Iberyjskim od czasu nielegalnego referendum niepodległościowego Katalonii. To wtedy, 1 października 2017 r. Hiszpanie przestraszyli się wizji „bałkanizacji" kraju, który na skutek rosnących roszczeń regionów może rozpaść się pomimo 2 tys. lat wspólnej historii. Nie czuli wsparcia ani ze strony nieporadnego rządu Rajoya, który do końca lekceważył sygnały i przygotowywany zamach stanu w Katalonii, ani ze strony podzielonego parlamentu, w którym partie lewicowe opowiadały się w mniej lub bardziej zawoalowany sposób za prawem do „samostanowienia".

PATRIOTYCZNA REWOLUCJA

W tym ponurym krajobrazie wyłonił się Santiago Abascal, lider mało znanej wówczas partii VOX, która nie potrafiła przekroczyć 0,2 proc. w wyborach powszechnych 2016 r. Jego wystąpienia w obronie jedności terytorialnej kraju, jego ataki na PP jako „tchórzliwą partyjkę prawicową" i na wszechogarniający terror lewicowych rządów zyskiwały posłuch, a z czasem i wdzięczność. Fakt, że w toczącym się wciąż „procesie demokracji", przed Sądem Najwyższym stanęło 12 liderów procesu niepodległościowego Katalonii oskarżonych o przestępstwo rebelii i ogłoszenia jednostronnej deklaracji niepodległości, było właściwie wynikiem wyłącznych starań oskarżycieli ludowych – działaczy partii VOX.

Dalsze napięcia na linii Madryt–Barcelona stały się zapalnikiem przemian, które wyprowadziły tysiące Hiszpanów na ulice i to ze znienawidzoną przez lewicę żółto-czerwoną flagą kraju (flaga „demokratów" spod znaku Republiki ma wszak trzy kolory). Tak zaczęła się patriotyczna rewolucja i wydawało się, że na naszych oczach powstaje scenariusz do sensacyjnego filmu z hollywoodzkim rozmachem. Pierwsze kadry musiałyby przedstawiać młodego studenta socjologii Santiago Abascala, który na ścianach jezuickiego uniwersytetu Deusto w Bilbao wciąż natyka się na liczne graffiti ze swoim nazwiskiem na celowniku. Wyrok terrorystycznej organizacji ETA za przynależność do młodzieżówki PP wisiał nad nim i jego rodziną przez wiele lat, dlatego w towarzystwie ochroniarzy brał ślub, odbierał dzieci ze szpitala czy wychodził po bułki. Później nadchodzi rok 2014 i oko kamery przeniosłoby się na stojącego na ławce Abascala, który z megafonem w dłoni usiłuje przekazać coś grupce 20 gapiów, z czego 10 jest podstawionych, bo to przyjaciele z nowo powstałej partii VOX. Wygląda na szaleńca, który w szarym krajobrazie deszczowego Kraju Basków usiłuje przywołać stare słowa, takie jak: „ojczyzna", „wiara", „rodzina".

I wreszcie nadchodzi rok 2018, gdy Abascal grzmi już na stadionach, placach, a sieci społecznościowe mówią tylko o nim jako o nowym liderze odradzającej się prawicy, który choć przemilczany i objęty „kordonem sanitarnym" ze strony mediów i wszystkich partii w wyborach do Parlamentu Andaluzji zgarnia 11 proc. Koalicja, którą współtworzy partia VOX wraz z PP i Ciudadanos (Obywatelami), rozbija układ 40 letnich niepodzielnych rządów lewicy na południu kraju. Wszystkie światła kamer kierują się na człowieka „znikąd", mainstreamowa prasa musi przełknąć jego obecność i opisać, kim jest, sondażownie muszą się wytłumaczyć, dlaczego nie „zauważyły" 11 proc. głosujących, partie muszą się ustosunkować do nowego rywala, który rzuca im wyzwanie na każdym kroku.

Popularność Abascala rośnie lawinowo, jego polityczna niepoprawność, idee i postulaty m.in. walka z aborcją, z nielegalną imigracją, z ideologią gender, z neomarksizmem, polityczną poprawnością sprawiają, że lider lewackiej partii Podemos ogłasza „alert antyfaszystowski". Bojówki wiernych komunistów chcą „bić faszystę", tylko nie bardzo wiedzą, gdzie go szukać. Stąd np. dziennikarka lewicowej telewizji laSexta Cristina Pardo postanawia namierzyć z kamerą 44 głosujących na VOX w sewilskiej wiosce, która dawniej uchodziła za wzorcowy PGR. Reportaż miał pokazać twarz faszysty, stygmatyzować myślących niepoprawnie.

eprasa.pl cd6a0bf674

Santiago Abascal, lider partii VOX, podczas głosowania w wyborach

FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

rekonkwista

Oburzenie społeczne wobec haniebnego reportażu każe jej przeprosić za „niefortunny pomysł".

Z GROTY MADONNY

VOX staje się w opinii mainstreamowej prasy partią „skrajnie prawicową" i tak też nazywać ją zaczyna prasa międzynarodowa, w tym polska, mimo że program gospodarczy ma bardzo liberalny, a ideowo reprezentuje umiarkowany konserwatyzm. Po nieszczęsnych 10 miesiącach rządów lewicowego PSOE, który doszedł do władzy nie przez urny, a w wyniku wotum nieufności dla partii PP, rozpisane zostają nowe wybory. VOX rozpoczyna kampanię w grocie Madonny z Covadonga. To tam w 722 r. rozpoczęła się rekonkwista półwyspu spod panowania muzułmanów, to tam chrześcijańskie wojsko pod wodzą Don Pelayo odniosło pierwszy sukces w starciu z wyznawcami Allaha. Pod znakiem asturyjskiego krzyża i z cudowną interwencją Matki Bożej pokonano armię ponoć stokrotnie większą od sił powstańczych. I gdyby ów film o Abascalu powstawał, nie mogłoby się obyć bez sceny, gdy ten klęczy samotnie przed sylwetką Dziewicy z Covadonga „La Santiny" (tak samo jak to uczynił w 2014 r.). A później morze głów i sceny zbiorowe z udziałem tysięcy Hiszpanów oczekujących na jego mityng wyborczy w kolejnych miastach kraju. I przestrach establishmentu, że oto faszysta idzie „po Hiszpanię", tak zresztą brzmiało hasło wyborcze VOX – „Por España". Dziennikarze obliczają, że Abascal zbiera na wiecach tylu uczestników, ilu wszystkie pozostałe partie razem wzięte. W dwóch decydujących telewizyjnych debatach przedwyborczych VOX ma zakaz wstępu. Pretekst? Brak reprezentantów w kończącym pracę Kongresie Deputowanych.

ZASKAKUJĄCY FINAŁ

Oczekiwania na rekonkwistę i miażdżący sukces nowej prawicy rozgrzewały sieci społecznościowe, czekano na nowego Trumpa, który rozmontuje system. 28 kwietnia stało się jednak coś, co przewidzieli tylko prawicowi malkontenci i lewicowi entuzjaści: przytłaczający trumf socjalistycznej partii PSOE. Prawica jest zdewastowana i nie uratuje jej VOX, który miał być spodziewanym języczkiem u wagi, aby – tak jak w przypadku Andaluzji – stworzyć centroprawicowy blok, który mógłby odsunąć lewicę od władzy.

Ledwie 10,26 proc. dla VOX i zaledwie 16,7 proc. dla prawicowej PP. „Santi" nie daje po sobie znać zawodu i ogłasza: „Hiszpania dziś jest gorsza od tej z wczoraj, ale jesteśmy już w Parlamencie. Mówiłem wam, że zaczynamy rekonkwistę i będziemy ją nadal toczyć. Nie zawiedziemy Was".

Wielka przegrana prawicy to nie tylko efekt mobilizacji lewicy z jej „antyfaszystowskim" alarmem. To nie tylko konsekwentne demonizowanie VOX w mediach głównego nurtu i nieustająca kampania fake newsów fałszujących przesłanie i idee programowe konserwatywnej prawicy. To nie tylko zastraszanie i pobicia działaczy oraz sympatyków prawicowych, nasilone zwłaszcza w ostatnich tygodniach kampanii. To konsekwencja 40 lat uprawiania umysłów według jedynie słusznej myśli „demokratów" i spadkobierców Frontu Ludowego, z całą hegemonią neomarksistowskiej kultury w przestrzeni publicznej, mediach, programach szkolnych, a nawet w kościołach Katalonii.

Cios decydujący, który znokautował prawicę Hiszpanii, został jednak posłany przez przestarzały system dwupartyjny, któremu niestety nadal sprzyja sposób liczenia głosów. Podział mandatów odbywa się na poziomie prowincji, zgodnie z zasadą proporcjonalności i metodą d'Hondta, ale wszystko zależy od zaludnienia prowincji, co sprawia, że sposoby przeliczania głosów na mandaty są dość skomplikowane, zatem też nieprzejrzyste. W celu pokazania absurdu tej sytuacji wystarczy spojrzeć na przelicznik mandatów: VOX, który zdobył 2 677 173 głosów, w skali kraju otrzymał tylko 24 mandaty w Kongresie Deputowanych, podczas gdy separatystyczna lewicowa partia „puczysty" Puigdemonta Junts per Catalunya pomimo uzyskania ledwie 497 638 głosów, w okręgu Barcelony dostanie aż siedem mandatów.

Lewica z jej odwiecznym imperatywem zemsty za przegraną wojnę domową może zgotować rodakom nieprawdopodobnie trudne chwile. Katolicy poddani zostaną jeszcze większym opresjom. Jednak wynik wyborów w Hiszpanii będzie miał też groźne konsekwencje nie tylko na półwyspie. Podział na „faszystów" i „liberalnych demokratów" obowiązywać zaczyna w całej Europie. Pytanie, kto i kiedy wskaże paluszkiem i zadecyduje, Drogi Czytelniku, czy jesteś jeszcze demokratą, czy już faszystą?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd6a0bf674

Uchwała parlamentu mówi o upoważnieniu rządu Aleksisa Tsiprasa do podjęcia rozmów z Berlinem

FOT. NURPHOTO/GETTY IMAGES

Niemcy muszą zapłacić?

Teresa Stylińska

Grecki parlament 17 kwietnia postanowił, że Grecja formalnie zwróci się do Niemiec o wypłacenie reparacji wojennych. Grecy przyjęli tę decyzję z powszechną aprobatą. Jednak czy kiedykolwiek dojdzie do jej realizacji?

Trudno nie zauważyć niedużych kamiennych pomników, które stoją na placykach w centrum wielu greckich wsi. Są proste, skromne, często w formie obelisku. Dopiero podszedłszy bliżej, z zamieszczonej tablicy dowiadujemy się, że pomnik upamiętnia tych mieszkańców wioski, którzy w tym miejscu w czasie II wojny padli ofiarą niemieckich represji – masowych rozstrzeliwań, palenia wsi. Najczęściej stosowanych w odwecie za śmierć żołnierzy Wehrmachtu czy jako kara za wsparcie dla ruchu oporu.

O doznanych krzywdach Grecy pamiętają tak, jak gdyby wydarzyły się wczoraj. Nie dlatego, że są bardziej pamiętliwi niż inne narody, ale dlatego, że swojej historii nie traktują jako spisu wydarzeń minionych i raz na zawsze zamkniętych. Żywo przeżywają i dumę, i żal. Czczą filozofów i wodzów starożytności, szczególnie Aleksandra Macedońskiego, nie kryją ciągle obecnego lęku przed Turkami, Niemcom zaś bez oporów przypominają zbrodnie II wojny. Właśnie Niemcom – nigdy nazistom.

Dlatego decyzję parlamentu, który postanowił, że Grecja formalnie zwróci się do Niemiec o wypłacenie reparacji wojennych, przyjęto z powszechną aprobatą, jako rzecz oczywistą. Parlament podjął ją 17 kwietnia i bardzo możliwe, że ta data dołączy do kalendarza najważniejszych dla Greków dat narodowych. W tej sprawie, co ważne, partie polityczne, niezależnie od ideologii, łączy całkowity konsensus. Inicjatywę rządu Aleksisa Tsiprasa poparły wszystkie ugrupowania poza dwoma skrajnymi. Naprawdę jednak sprzeciwił się jej tylko ultraprawicowy czy zgoła neonazistowski Złoty Świt. Komuniści zgłosili własny projekt, co skądinąd dowodzi, że z merytorycznego punktu widzenia podzielają zdanie większości: Niemcy muszą zapłacić za zniszczenia i zbrodnie.

NAJPIERW SKRUCHA, POTEM ODMOWA

Pomniki ku czci ofiar niemieckiej okupacji rozsiane są po całej Grecji, ale bodajże najwięcej jest ich na Krecie. Oddziały niemieckie nie stosowały żadnej taryfy ulgowej wobec Kreteńczyków, którzy utrudniali im zwycięstwo w bitwie o Kretę i późniejsze panowanie nad wyspą. Symbolem greckiego oporu i niemieckich zbrodni stały się dwie wioski – Kandanos i Kondomari – gdzie z rąk Niemców zginęło ponad 200 osób. Jeszcze więcej poniosło śmierć w jednej tylko wsi Distomo w Beocji, niedaleko Delf, spalonej przez oddziały SS w odwecie za atak partyzantów na niemiecki konwój. Oficjalne dane podają liczbę 218 ofiar, choć nieoficjalnie mówi się, że może ich być nawet dziesięć razy więcej. Delegacje zagraniczne, również niemieckie, jeśli chcą oddać hołd ofiarom okupacji, najczęściej udają się do Distomo.

Przez ponad dwa tygodnie, które minęły od dnia głosowania, rząd grecki nie podjął jeszcze żadnych konkretnych kroków, ale wynika to pewnie z okoliczności – Świąt Wielkanocnych, najpierw

eprasa.pl cd6a0bf674

w Niemczech, a później w Grecji. Uchwała parlamentu mówi o upoważnieniu rządu Aleksisa Tsiprasa do podjęcia rozmów z Berlinem. Pierwszym krokiem ma być skierowanie na ręce niemieckiego ministra spraw zagranicznych Heiko Maasa tzw. noty werbalnej, przedstawiającej stanowisko i oczekiwania Grecji. Na razie, jak stwierdziła wiceminister spraw zagranicznych Sia Anagnostopoulou, odpowiedzialna za kwestię reparacji, zbierane są opinie ekspertów, zwłaszcza od prawa międzynarodowego. Pozwoli to ustalić, jak duże pole manewru ma Grecja. Zanim rząd zastosuje bardziej radykalne kroki (o czym dalej), chce najpierw wyczerpać wszystkie możliwości prawne, łącznie ze skierowaniem sprawy do Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości.

Czy może do tego dojść? Kategoryczna odmowa ze strony przedstawicieli Niemiec – prezydenta, pani kanclerz, ministrów – nie napawa optymizmem. Cóż z tego, że podczas każdej wizyty, przy każdym spotkaniu wyrażają oni, w imieniu swego narodu, skruchę i głęboki żal z powodu zbrodni, jakich na terenie Grecji dopuściły się oddziały niemieckie? Cóż, że Angela Merkel mówi o „odpowiedzialności historycznej, której Niemcy są świadome"? Skrucha skruchą, a kwestia reparacji jest konsekwentnie przemilczana. Zdaniem Niemiec, nie ma o czym mówić, bo stanowisko przedstawione parę miesięcy temu przez rzecznika rządu Steffena Seiberta jest jasne: sprawę reparacji Niemcy uważają za zamkniętą pod względem politycznym i prawnym.

300 MILIARDÓW

Berlin utrzymuje, że Niemcy już dawno wywiązały się z zobowiązań wobec Grecji. Na poparcie swego stanowiska przywołuje dwa porozumienia: z 1946 r., opiewające na kwotę stanowiącą równowartość 2 mld euro, i z 1960 r., gdy Grecy otrzymali 115 mln marek w formie odszkodowań indywidualnych. Jest to ułamek sumy, na jaką wyceniła greckie straty specjalna komisja ekspertów, powołana parę lat temu przez parlament.

Na łączną kwotę 290 mld euro składają się cztery elementy. Pierwszy z nich to pokrycie strat gospodarczych – zniszczonej infrastruktury, unieruchomionego przemysłu, zdewastowanych terenów rolniczych. Drugi – odszkodowanie dla krewnych ofiar; przez trzy i pół roku okupacji niemieckiej – od kwietnia 1941 r. do września 1944 r., a na Krecie aż do końca wojny – zginęło ponad 300 tys. Greków. Trzeci dotyczy pożyczki, którą w 1942 r. władze okupacyjne wyegzekwowały pod przymusem od Banku Grecji. Czwarty wreszcie dotyczy zwrócenia zagrabionych skarbów archeologicznych.

Specyficzną pozycję stanowi wspomniana pożyczka. Nazywanie jej pożyczką to zresztą czysty eufemizm, naprawdę bowiem – co przyznaje nawet część polityków niemieckich, na przykład Gregor Gysi z Lewicy – była to zwykła kradzież. Bank Grecji nie mógł okupantom odmówić. Musiał przekazać pieniądze i rezerwy złota, które następnie zostały przeznaczone na pokrycie kosztów okupacji (na co zezwala konwencja haska z 1907 r.), ale także na operacje wojskowe w północnej Afryce (co nie jest dozwolone). Grecji wraz z odsetkami z tego tytułu należy się ok. 11 mld euro. Zdaniem i specjalistów, i polityków pożyczka to ten element żądanych reparacji, którego właściwie nie da się podważyć.

Uchwała parlamentarna wspomina również o odszkodowaniach za straty poniesione podczas I wojny światowej. Ich uwzględnienie podnosi kwotę reperacji do 340 mld euro. Natomiast władze kategorycznie odrzucają ciche podejrzenia, że dzięki reparacjom chciałyby znacząco zmniejszyć rozmiary greckiego zadłużenia.

POTRZEBNA PUSZKA PANDORY

Kwestia reparacji, które należą się Grecji, po raz pierwszy została podniesiona przez Aleksisa Tsiprasa w 2015 r., w kampanii przed poprzednimi wyborami parlamentarnymi. Nie wiadomo, czy obietnica wystąpienia do Niemiec pomogła Syrizie, jego lewicowej partii, wygrać wybory, ale wykluczać tego nie można. W każdym razie przez Greków, niechętnych Niemcom z powodów historycznych i współczesnych (bailout i oszczędności!), przyjęta została bardzo dobrze, jako właściwy krok ku sprawiedliwości historycznej.

Bardzo możliwe, że Tsipras chce teraz powtórzyć ten manewr. Tak przynajmniej uważa Kyriakos Mitsotakis, przywódca Nowej Demokracji, głównej partii opozycyjnej, przekonany, że Tsipras celowo odkładał sprawę reparacji. Grecja ma w perspektywie wybory europejskie, lokalne i – w październiku – parlamentarne. Mitsotakis popiera oczywiście starania o reparacje, ale boi się, że jeżeli Syriza dzięki zabiegom rządu zyska na popularności, prognozowane zwycięstwo ND może stanąć pod znakiem zapytania.

A jeśli, co prawdopodobne, Berlin odmówi? Grecja zapewne skieruje sprawę do trybunału w Hadze. To jednak nie wszystko. Według tygodnika „Der Spiegel", który twierdzi, że jego informacje pochodzą z bardzo miarodajnych źródeł, władze greckie sięgną wówczas po pomysł, który dawno temu przemknął już w kołach politycznych: przejęcia własności niemieckiej w Grecji. Chodzi zarówno o budynki rządowe, takie jak siedziba Instytutu Goethego, jak nieruchomości należące do prywatnych niemieckich instytucji i do zwykłych obywateli. Niejeden Niemiec ma w Grecji domek wakacyjny. I byłby to być może całkiem skuteczny środek nacisku, gdyby nie to, że władze greckie prawdopodobnie na taki krok nigdy się nie odważą. Oznaczałoby to bowiem otwarty konflikt z Niemcami, a zapewne także zahamowanie ruchu turystycznego z Niemiec. A to jest przecież niebagatelne źródło dochodu.

Czy Niemców nie stać na spłacenie 300 mld euro? Dla najbogatszego państwa Europy nie powinno to, zdaniem specjalistów, stanowić problemu nie do pokonania. Władze w Berlinie żywią obawy innego rodzaju i znacznie poważniejsze: w ślady Grecji, gdyby skutecznie uzyskała reparacje, poszłyby inne kraje, także mające podstawy, by się ich domagać. Nie chodzi tylko o Polskę, lecz także o Czechy, Węgry, kraje powstałe po rozpadzie Jugosławii i Włochy. Chociaż oczywiście, przyznają eksperci, pod tym względem żaden kraj nie może równać się z Polską, która poniosła straty najbardziej dotkliwe.

Sprawa tak bardzo skomplikowała się dlatego, że w kwestii reparacji mniejsi sojusznicy, tacy jak właśnie Polska i Grecja, zostali zepchnięci na margines i nie dostali tyle, ile powinni – uważa niemiecki historyk Karl Heinz Roth. Niemcy zaś, jak powiedział w niedawnym wywiadzie dla rozgłośni Deutsche Welle, w późniejszych latach umiejętnie rozegrały tę kwestię, udając, że porozumienie 2+4, które doprowadziło do zjednoczenia Niemiec, nie jest traktatem pokojowym – chociaż de facto nim jest. Skoro, mówi prof. Roth, pierwotnie zakładano, że kwestia reparacji zostanie rozwiązana po zawarciu traktatu pokojowego, a traktatu nie ma, nie ma też mowy o reparacjach. Dlatego powrót do tej kwestii to otwarcie puszki Pandory – ale, dodaje, ta puszka powinna zostać otwarta.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd6a0bf674

Czerwony Kapturek na indeksie

FOT. ADOBE STOCK

Agnieszka Niewińska

Szkoła publiczna w Barcelonie zakwestionowała 200 klasycznych lektur ze swojej biblioteki dla najmłodszych – w tym „Śpiącą Królewnę" czy „Czerwonego Kapturka". Uznała je za seksistowskie i toksyczne

Na półce z książkami twojego dziecka stoi klasyczna wersja „Śpiącej Królewny", „Czerwonego Kapturka" albo – nie daj Boże – „Kopciuszka"? Specjalna komisja do oceny lektur z publicznej barcelońskiej szkoły Tàber zapewne uznałaby, że serwujesz dziecku bajki toksyczne, seksistowskie, powielające stereotypy płciowe.

Placówka powołała specjalną komisję, która poddała genderowej analizie zawartość biblioteki dla dzieci w wieku przedszkolnym. Większość tytułów nie przetrwała tej próby. Za pozytywne wedle genderowych prawideł komisja uznała jedynie 11 proc. zgromadzonych w bibliotece pozycji. – 30 proc. to lektury bardzo negatywne, wysoce stereotypowe, z seksistowskimi i rasistowskimi treściami. Uważamy, że nie powinny się znajdować w tej bibliotece – tłumaczyła w rozgłośni RAC1 Anna Tutzó, przedstawicielka stowarzyszenia rodziców w płciowej komisji weryfikującej zawartości biblioteki.

GAJOWY, CZYLI DEMONSTRACJA MACZYZMU

W grupie zakwestionowanych lektur obok „Czerwonego Kapturka" i „Królewny Śnieżki" znalazła się m.in. popularna w Katalonii legenda o św. Jerzym, który zabił smoka, ratując tym samym zarówno mieszkańców miasteczka Montblanc osaczonego przez potwora, jak i piękną księżniczkę, która miała być przez niego pożarta.

Barcelońskie władze, które są organem prowadzącym szkołę, sprawę komentowały w neutralnym tonie, tłumacząc, że każda placówka ma wolność dobierania lektur w swojej bibliotece. Entuzjastycznie za to do sprawy podeszła Federacja Stowarzyszeń Matek i Ojców Uczniów Katalonii (FAPAC). Dyrektor federacji Lidón Gasull stwierdziła, że zakwestionowanie części lektur przez

eprasa.pl cd6a0bf674

barcelońską szkołę to dobra decyzja, bo nieodpowiednie jest, by tworzyły część dziecięcego imaginarium, ze względu na to, że maluchy reprodukowałyby stereotypy w nich przedstawione. FAPAC wyjaśniło też, dlaczego z podejrzliwością należy patrzeć na niektóre typowe dziecięce lektury. Czerwony Kapturek to niewinne dziewczę, z którego naiwności korzysta wilk. „Kopciuszek" to z kolei opowieść o dziewczynce, której zależy na tym, by być piękną, bo wtedy zakocha się w niej książę, a w dodatku książka pokazuje kobietę jako osobę zajmującą się pracami domowymi. „Piękna i Bestia" to według FAPAC bajka sugerująca, że mężczyznę wybuchowego, a nawet agresywnego kobieta zawsze musi znosić.

Informacja o tym, że klasyczne dziecięce lektury zostały usunięte z biblioteki szkoły Tàber, obiegła hiszpańskie oraz zagraniczne media. „Czerwony Kapturek" zaistniał też w zakończonej już hiszpańskiej kampanii wyborczej. Na jeden z wieców z wydaniem tej znanej bajki przyszedł Santiago Abascal, lider prawicowej partii Vox. Usłyszawszy o tym, że „Czerwony Kapturek" to toksyczna lektura, nie mógł się powstrzymać i wstąpił do księgarni, aby kupić córce klasyczne wydanie „Czerwonego Kapturka". – Wszyscy świetnie znamy tę bajkę. Pytam: W czym problem? No tak, dziewczynka niesie prezent babci, zamiast być astronautką. Mało tego, ubrana jest w spódniczkę, a nie w spodnie. Czarnym charakterem okazuje się wilk, więc nie tylko feministkom, lecz także zwolennikom animalizmu ta lektura też przeszkadzała. W dodatku problem w tej bajce rozwiązuje myśliwy, k tóry jest mężczyzną. Przecież to brutalna demonstracja maczyzmu. Nie wspominając już o tym, że zabija zwierzę. To kolejny atak na animalizm – kpił Abascal. – Wiecie co? Oni zwariowali. To, co proponują progresiści, lewicowcy, jest w sprzeczności ze zdrowym rozsądkiem – dodał.

Tutzó do tego typu zarzutów odniosła się w audycji radiowej. – To, co zrobiliśmy, to nie jest żadne wariactwo. Robimy miejsce dla innego rodzaju bajek – tłumaczyła. Po medialnej burzy prostowała, że książki, co do których komisja miała zastrzeżenia, nie zostały fizycznie usunięte z biblioteki. Trafiły do zbioru lektur oznaczonych jako te wymagające dodatkowych wyjaśnień na temat stereotypów płciowych, które, zdaniem komisji, szerzą.

– Nie podobają mi się pomysły wyrzucania z bibliotek jednych książek i zastępowania ich innymi, uchodzącymi w czyichś oczach za odpowiedniejsze, eksponujące właściwe wartości. To pachnie cenzurą – mówi psycholog Anna Dracz. I dodaje: – Najlepiej dziecko zna rodzic i to on powinien decydować, które lektury są dla niego odpowiednie. Czasem rzeczywiście warto wybrać inną wersję klasycznej lektury. Na przykład „Królewnę Śnieżkę" autorstwa Marii Krüger, gdzie złą macochę zastąpiła zła królowa z odległego królestwa. Służyć to będzie temu, by nie demonizować macochy czy zastępczego rodzica, jeśli np. dziecko w takiej sytuacji się znalazło. Klasyczna wersja „Czerwonego Kapturka" może być z kolei świetnym punktem wyjścia do rozmowy z dzieckiem o tym, że nie powinno iść za obcymi osobami ani ufać im bezgranicznie. I nie doszukiwałabym się w tej bajce stereotypów płciowych. To są schematy, którymi posługują się dorośli. Z wnuczką idącą w odwiedziny do babci, czyli dzieckiem troszczącym się o chorą osobę, mogą identyfikować się zarówno chłopcy, jak i dziewczynwki.

SAINT-EXUPÉRY DO POPRAWKI

Szkoła Tàber analizuje teraz zawartość biblioteki dla uczniów w wieku 6–12 lat. Hiszpańskie media już podały, że kolejne katalońskie placówki pójdą jej śladem. Genderowa analiza lektur to zresztą nie jest inicjatywa szkoły Tàber, tylko konsekwencja przystąpienia do projektu stowarzyszenia Espai i Lleure. Efekty genderowej analizy bibliotek szkolnych stowarzyszenie ma opisać w „Obserwatorze równości płciowej" Katalońskiego Instytutu Kobiet.

Ręce zacierać mogą księgarze, którzy skorzystają na zapowiadanym uzupełnieniu bibliotek o nowe – bardziej wrażliwe na płeć – tytuły. W hiszpańskich księgarniach można już znaleźć zmodernizowaną opowieść o Kopciuszku, która nie marzy o księciu i pięknych strojach, ale jest odważna i jeździ konno. Wśród nowoczesnych lektur jest też sfeminizowana wersja legendy o św. Jerzym (po katalońsku Sant Jordi) – miasteczko i księcia przed smokiem ratuje kobieta ubrana w zbroję – Santa Jordina.

Argentyńskie feministki z kolei postanowiły poprawić słynne dzieło Antoine'a de Saint-Exupéry'ego. W ubiegłym roku książka „La Principessa" („Mała Księżniczka") była w sprzedaży w Argentynie, Hiszpanii, Kolumbii i Meksyku. Tekst Antoine'a de Saint-Exupéry'ego przerobiła Julia Bucci. Zamiast księcia mamy księżniczkę, wśród postaci pojawiających się w książce jest 60 proc. kobiet i 40 proc. mężczyzn.

Książka zgodnie z deklaracjami autorek jest wolna od seksizmu, napisana „językiem, który nie wyklucza", a dzięki temu wydawniczemu projektowi „osoby z grup dyskryminowanych nie będą musiały rezygnować z literackich perełek, by zobaczyć swoją rzeczywistość". W książce czytelnicy mogą znaleźć nawiązania do ważnych w historii kobiecych postaci. Wyeliminowane zostały za to „bezpośrednie lub pośrednie nawiązania do rasy, kraju pochodzenia czy religii, tak by opowieść była bardziej uniwersalna".

Polityczna poprawność sięgnęła też ilustracji. Saint-Exupéry opatrzył książkę własnymi rysunkami. Na potrzeby feministycznej wersji jego książki ilustracje przerobiła Malena Gagliesi. Czytelnicy nie zobaczą już rysunku z przekrojem węża boa, który zjadł słonia. Wydał się autorkom zbyt drastyczny. Zrezygnowały z niego i pokazały wybuchający wulkan.

– Lektury powinny być dobrane do wieku dziecka, ale to nie znaczy, że nie może być w nich mowy o sprawach trudnych – choćby o śmierci czy cierpieniu. Nie powinniśmy dzieci trzymać pod kloszem, tworzyć im cukierkowego świata – mówi Anna Dracz. – To trochę śmieszne, że wyrzuca się z „Małego Księcia" rysunek węża boa, który trawi słonia, bo to rzekomo zbyt drastyczne dla dzieci, a jednocześnie postuluje się, by już w przedszkolach zapoznawać je z zupełnie nieodpowiednimi dla nich treściami dotyczącymi seksualności czy gender – kwituje psycholog.

NĘDZNICZKI I HRABINA MONTE CHRISTO

Reinterpretacja klasycznej lektury Saint-Exupéry'ego wzbudziła wiele kontrowersji wśród argentyńskich internautów. Niektórzy podsunęli autorkom kolejne dzieła, które mogłyby przepisać na feministyczną modłę – zamiast „Starego człowieka i morza" Ernesta Hemingwaya proponują stworzyć „Starą kobietę i morze", zamiast „Nędzników" Victora Hugo – „Nędzniczki", a w miejsce „Hrabiego Monte Christo" Aleksandra Dumasa opisać perypetie „Hrabiny Monte Christo".

Niewykluczone, że feministki z tych podpowiedzi skorzystają, bo „Mała Księżniczka" to pierwszy zrealizowany tytuł w ramach projektu Espejos Literarios, który zakłada przepisanie klasycznej literatury wedle prawideł politycznej poprawności.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd6a0bf674

Partner Sekcji Bank Pekao

Łukasz Zboralski

Kolej na lepszą

Polska musi otworzyć rynek przewozów pasażerskich na prywatną konkurencję. Czeskie firmy już na to czekają. U siebie sprawdziły, że ten biznes się opłaca. Zyskali też pasażerowie

Żółty pociąg RegioJet na stacji w Pradze. W środku aż cztery klasy pasażerskie. W najniższej klasie (low cost) bilet na trasie nieco dłuższej niż Warszawa–Kraków kosztuje niewiele ponad 20 zł. W klasie nieco wyższej (standard) za przejazd zapłacić trzeba ok. 35 zł. Już w tej klasie część wagonów to siedzenia z wbudowanymi ekranami – można surfować po sieci, ma się do dyspozycji portal rozrywkowy. Tutaj na początek podróży dostaje się za darmo butelkę wody. A w trakcie jazdy steward przynosi darmową kawę.

Kolejna klasa – relaks. Cztery wygodne skórzane fotele przy stoliku. Oczywiście są kawa i woda za darmo. Do tego można dokupić jedzenie w niewysokich cenach. Rogal z szynką – 4,3 zł, kawałek szarlotki albo innego ciasta – 1,7 zł, zestaw obiadowy ze smażonymi kawałkami kurczaka – niecałe 14 zł, sushi – niecałe 15,50 zł. Butelka piwa kosztuje zaledwie 3,5 zł. I nie trzeba przesiadywać w wagonie restauracyjnym jak w Polsce. Steward przyniesie je do stolika. Cena biletu – ok. 50 zł.

Dla najbardziej wymagających jest biznes class. Bilet kosztuje ok. 65 zł. W osobnym przedziale są cztery duże fotele i stoliki. Tutaj już nie tylko kawa i woda są za darmo. Na wejście dostaje się darmową małą butelkę szampana. Są prasa, spokój, obsługa stewardów.

Poza tym w pociągu jest także m.in. kącik do zabaw dla dzieci, gdzie można przyjść, by się rozerwać z małym towarzyszem podróży.

CZESKI TEST

Czescy pasażerowie na jednej z najbardziej uczęszczanych tras mają dziś do wyboru jazdę nie tylko z narodowymi Czeskimi Kolejami, lecz także z dwoma przewoźnikami prywatnymi, bo o klientów rywalizują jeszcze wspomniany RegioJet i znany z lekkiej próby na polskim rynku kolejowym Leo Express.

Unia Europejska dąży do otwarcia rynków przewozów pasażerskich, ale nie narzuca jednej metody. Każdy kraj szuka więc własnej.

Polska miała do tej pory raczej kilka nieśmiałych prób. W przewozach regionalnych w Kujawsko-Pomorskiem pasażerów wozi Arriva, czyli de facto Deutsche Bahn, która jest właścicielem brytyjskiej spółki. Czeski Leo Express zrobił małą wyrwę w podróżach dalekobieżnych w Polsce, stosując inną metodę – zaoferował połączenie między Czechami a naszym krajem. Ubiegłej jesieni połączenie Praga–Kraków zostało zawieszone. Prywatny przewoźnik miał kłopoty przez polskie remonty torowisk. Miesiąc temu po raz drugi spróbował jednak ugryźć polski rynek. Wznowił połączenie z Krakowem, a mówi jeszcze o planach połączenia aż na Ukrainę oraz na linii Wrocław–Pardubice.

U siebie Czesi otworzyli rynek, zanim wymusiła to na nich UE. Wpuścili prywatnych przewoźników na tory na główne połączenie kolejowe w kraju Praga–Ostrawa. Pomiędzy rokiem 2011 a 2013 oprócz narodowego przewoźnika usługi zaczęły tam oferować także dwie prywatne firmy, obie zresztą zbudowały wcześniej biznes na przewozach autokarowych – Leo Express i RegioJet.

Prywatni operatorzy wydeptywali ścieżki do tamtejszego resortu transportu. W końcu wywalczyli dostęp do tej linii. Zaoferowali kursy bez państwowych dopłat (te otrzymują jednak, gdy chodzi

eprasa.pl cd6a0bf674

o ustawowe zniżki, np. dla studentów). W czasie, gdy polski tabor zmieniano na nowsze składy dzięki unijnym dotacjom, w Czechach standard zaczął rosnąć dzięki rynkowej konkurencji. Prywatni przewoźnicy wiedzieli, że trzeba klienta przyciągnąć. To, co zaczęli oferować, zmusiło do dużych zmian także narodowego przewoźnika. Efekt? Pasażerowie podróżują dziś w komfortowych warunkach i pociąg jest potężną konkurencją dla przewozów autokarowych. Największy efekt pasażerowie zobaczyli w swoich portfelach.

Wagon w klasie standard czeskiej firmy RegioJet FOT. REGIO JET

kolej?

Cztery lata temu, podsumowując zmiany na zliberalizowanym rynku, odnotowano, że ceny najpopularniejszych biletów kolejowych na linii z prywatną konkurencją spadły o 46 proc.!

Czeskie Koleje nie zamierzały odpuszczać. I wojna o klienta była zażarta. W 2014 r. prywatni przewoźnicy skarżyli się nawet, że przez narodowego operatora ich biznes nie może stać się rentowny. Dzisiaj ten etap za sobą ma już RegioJet.

– To jest świetny biznes – mówił dziennikarzom szef firmy Radim Jančura, gdy dwa miesiące temu jego spółka podpisywała umowę na zakup pociągów z polskiej Pesy. RegioJet elektrycznymi składami z Polski zacznie obsługiwać nowy obszar, na który wkroczył w Czechach – przewozy regionalne w Kraju Usteckim. Pokonał tam biznesowo Czeskie Koleje. Do 2029 r. wozić będzie pasażerów w regionie. Samorząd dopłacać będzie do każdego przejechanego przez pociąg kilometra ok. 25 zł. Cały kontrakt opiewa w przeliczeniu na 2,5 mln zł.

Prywatni przewoźnicy nie kryją, że dotowane przejazdy to zupełnie inny rynek. Tam nie liczy się pasażerów. Liczy się dopłaty. A mniej pasażerów to mniej niszczenia taboru i mniej pieniędzy wydanych na inwestycje.

CZY TO SIĘ OPŁACA? I KOMU?

Jak rywalizując cenowo, można sobie jeszcze pozwolić na tanie jedzenie czy darmową kawę? – Ta kawa przecież nic mnie nie kosztuje, no, prawie nic – tłumaczy Jančura. – Za to przyciągam pasażerów. Im ich więcej, tym więcej zarobię.

Trudno zaprzeczać, że to działa. Średnie obłożenie pociągów RegioJet to blisko 90 proc. Jest więc bardzo efektywnie. Widać to już w wynikach finansowych. Ubiegły rok spółka zakończyła z zyskiem 4 mln euro.

Narodowy przewoźnik na razie niewiele w Czechach stracił. Między innymi dlatego, że silna konkurencja na torach powoduje coroczny wzrost liczby pasażerów. Rynek, który zostaje do podziału, od lat więc się powiększa (w Polsce takiego trendu nie ma; liczba pasażerów kolei raz rośnie, raz się kurczy).

– W ubiegłym roku z pociągów w Czechach skorzystało 189,7 mln pasażerów, przy tym same Czeskie Koleje przewiozły 179,2 mln z nich. Widać więc, że obecna skala konkurencji na czeskim rynku przewozów pasażerskich ze strony prywatnych przewoźników nadal jest znikoma – mówi Michał Szymajda z „Rynku Kolejowego". – Zaczynają się też otwierać przetargi na połączenia regionalne w Czechach. Można więc się spodziewać, że ten udział prywatnych przewoźników będzie się zwiększał – dodaje.

Te liczby wskazują, jak wielki potencjał jest jeszcze niewykorzystany w Polsce. W zeszłym roku kolejami pojechao u nas ponad 310 mln osób. Mamy więc relatywnie dużo mniej pasażerów niż kraj o czterokrotnie mniejszej liczbie mieszkańców.

KLUCZOWY ROK 2020

Unijny IV Pakiet Kolejowy będzie zmuszał także Polskę do liberalizacji przewozów pasażerskich już od 2020 r. Oczywiście rozłoży się to na lata, bo zależeć będzie od umów, które zostaną podpisane jeszcze przed tym terminem, ale rynek zacznie się jednak zmieniać. Czy czeski scenariusz byłby u nas dobrym rozwiązaniem?

– Już kilka lat temu przygotowano raport, z którego wynikało, że linia kolejowa Warszawa–Kraków byłaby gotowa na takie otwarcie rynku jak w Czechach. Przy takich potokach pasażerów jak tam i prawdopodobnych przychodach linia utrzymywałaby się bez dotowania z państwowej kasy – wskazuje Michał Szymajda. – Czeska linia Praga–Ostrawa nie jest dotowana. Jest tam wolny dostęp do torów. I przewoźnicy za dostęp do infrastruktury płacą niemałe pieniądze. Dzięki nim infrastruktura jest utrzymywana bez państwowych dopłat. Warto więc by i u nas podjąć taki eksperyment. Zwłaszcza że gdy popatrzy się na ceny na linii Praga–Ostrawa, można tam bez problemu kupić bilet na szybki pociąg za równowartość ok. 50 zł, gdy tymczasem na linii Warszawa–Kraków za bilet na ekspres czy pendolino zapłacimy nawet dwu- lub trzykrotnie więcej, a to odcinek krótszy.

Zdaniem Szymajdy trudniejszą linią do liberalizacji będzie ta wiodąca z Gdańska do Warszawy. Chociaż, jak wskazuje, już wniosek o uruchomienie tam przewozów złożyła Arriva. I mimo protestów PKP InterCity dostała zgodę i niebawem zacznie próbować łączyć Trójmiasto ze stolicą.

W porównaniu z Czechami jesteśmy dziś już o dekadę spóźnieni w tworzeniu konkurencji i lepszej oferty dla pasażerów kolei. Jak wynika z nieoficjalnych informacji „Do Rzeczy", polski resort infrastruktury wciąż analizuje, w jaki sposób otworzyć rynek w Polsce. A prywatne firmy odliczają czas. – Chcielibyśmy wjechać na tory w Polsce w grudniu 2020 r. – zapowiedział już szef czeskiego RegioJet. I tym razem polscy urzędnicy nie będą już mogli zaciągnąć ręcznego hamulca.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd6a0bf674

Wojna na hulajnogi

FOT. JAKUB WOSIK/REPORTER

Jacek Przybylski

Wypożyczane na minuty elektryczne jednoślady zalewają ulice amerykańskich, europejskich, a ostatnio także polskich miast. Wartość światowego rynku elektrycznych hulajnóg szacowana jest na dziesiątki miliardów złotych

Są szybkie, banalnie proste w obsłudze i mogą przyczyniać się do zmniejszenia ruchu samochodowego oraz stanowić alternatywę dla transportu miejskiego. Przy okazji są też przyjazne dla miejskiego środowiska. Jak podkreślają przedstawiciele Bird – amerykańskiego start-upu, którego wartość szacowana jest przez analityków na ponad 2 mld dol. (równowartość 7,7 mld zł) – tylko podczas pierwszego roku działalności firmy odnotowano ponad 10 mln przejazdów w ponad stu miastach. Gdyby tyle samo przejazdów wykonać przy użyciu samochodu, to spowodowałoby to emisję do atmosfery ponad 5,6 mln kg dwutlenku węgla. Obecnie Bird działa już w Hiszpanii, we Francji, w Izraelu, Belgii, Austrii oraz w Polsce. I tylko w Paryżu 70 proc. ankietowanych „hulajnogowców" stwierdza, że dzięki elektrycznym jednośladom rzadziej porusza się samochodem.

Inny gigant – wspierany przez takie firmy jak Google czy Uber – amerykański start-up Lime, który w Stanach Zjednoczonych początkowo zaczynał od wypożyczania rowerów, a dopiero później dołączył do wojny na hulajnogi – chwali się, że w okresie krótszym niż dwa lata odnotował na świecie ponad 50 mln wypożyczeń. Z badań firmy wynika, że użytkownicy Lime zrezygnowali z pokonania samochodem ok. 25 mln km, na czym zyskała jakość powietrza.

Oczywiście wojna toczy się nie tylko o jakość powietrza w miastach, lecz także o gigantyczne pieniądze. Według amerykańskich analityków globalny rynek elektrycznych hulajnóg na minuty ma być wart co najmniej 41,98 mld dol., czyli równowartość 160,8 mld zł.

WALKA O STOLICĘ

W Warszawie pierwsze elektryczne jednoślady do wynajęcia pojawiły się

eprasa.pl cd6a0bf674

w październiku zeszłego roku. Obecnie na stołecznym rynku działa już aż pięć firm wypożyczających hulajnogi na minuty. Najwięcej takich urządzeń w polskiej stolicy oferuje firma Lime. Jej maszyny można wypożyczać również w Poznaniu oraz we Wrocławiu.

Aby móc korzystać z jej usług, należy pobrać na smartfon bezpłatną aplikację, zasilić konto lub podpiąć pod nie kartę płatniczą, z której na bieżąco będą ściągane opłaty. Modelem Lime-S można jeździć z maksymalną prędkością wynoszącą ok. 25 km/godz. Opłata początkowa w Warszawie wynosi 3 zł, a każda minuta jazdy kosztuje dodatkowo 50 gr. Cena godzinnej jazdy to więc 33 zł. Hulajnogi Lime są dostępne przez całą dobę. A dodatkowo można je zostawić również poza wyznaczoną strefą (wówczas płaci się jednak 5 zł ekstra). W trakcie jazdy można robić bezpłatne 30-minutowe przerwy, dzięki czemu elektryczny jednoślad będzie czekał na użytkownika pod zakładem fryzjerskim, urzędem etc.

W marcu monopol Lime w polskiej stolicy zdecydowali się przełamać szefowie grupy Free Now, której częścią jest niemiecki koncern Daimler – producent mercedesów, właściciel aplikacji taksówkowej mytaxi – i która usługę wypożyczania elektrycznych jednośladów wprowadziła już wcześniej w Lizbonie, Atenach czy Paryżu. Kilkaset należących do grupy hulajnóg jeździ już po stolicy pod logo Hive. Procedura jest taka jak wcześniej: ściągamy aplikację Hive, podpinamy pod nią kartę płatniczą, podchodzimy do maszyny, skanujemy kod QR i możemy zacząć jechać.

Hive oferuje pojazdy Segway ES4 Sharing, które na jednym ładowaniu mogą przejechać do 45 km i mogą stanowić środek transportu dla każdego, kto waży mniej niż 100 kg. Cena za wypożyczenie elektrycznego jednośladu wynosi 2,5 zł, a każda minuta kosztuje dodatkowo 45 groszy. Hulajnogi Hive są również dostępne we Wrocławiu. Można je też za darmo zablokować na 30 minut. Z hulajnóg Hive można korzystać tylko w dzień. Nie wolno ich też zostawiać poza granicą strefy korzystania (w takiej sytuacji cały czas naliczana jest opłata, aż do momentu zostawienia jej we właściwej strefie).

Podobne zasady obowiązują w przypadku amerykańskiego giganta Bird, który do tysięcy hulajnóg na chodnikach Warszawy w kwietniu 2019 r. dostawił również swoje. Warszawiacy za pomocą aplikacji Bird mogą zlokalizować i uruchomić hulajnogę elektryczną codziennie w godzinach od 7 do 21. Aby zacząć przejazd, wystarczy zeskanować kod QR na hulajnodze. Koszt? 3 zł za uruchomienie plus 50 gr za każdą minutę.

W kwietniu do hulajnogowej walki dołączyła też firma CityBee – znana dotychczas z udostępniania na zasadach carsharingu samochodów dostawczych. Na ulicach Warszawy rozstawiła kilkaset elektrycznych jednośladów. Obszar działania jest jednak ograniczony jedynie do centrum stolicy. Wypożyczenie hulajnogi kosztuje 2,5 zł, a każda minuta jazdy – 45 gr.

A to jeszcze nie koniec nowych graczy na polskim rynku. Krótko przed majówką w stolicy wystartował piąty operator „hulajszeringu" – znana z wypożyczania elektrycznych skuterów polska firma Blinkee City, której założyciele poznali się na Wojskowej Akademii Technicznej. Swe hulajnogowe usługi Blinkee City oferuje już też w Krakowie, a w przyszłości może wejść również do Bydgoszczy, Poznania, Rzeszowa, Lublina czy Trójmiasta.

REKLAMA

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

DO RZECZY

TYGODNIK „DO RZECZY"

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

W PREZENCIE
PAKIET 2 OPOWIADAŃ PRZEDWOJENNYCH:

URKE NACHALNIK „ŻYCIORYS WŁASNY PRZESTĘPCY" ORAZ „ŻYWE GROBOWCE"

~~371 ZŁ~~ 143,00 ZŁ OSZCZĘDNOŚĆ 228 ZŁ

ZAMÓW JUŻ TERAZ: PRENUMERATA.DORZECZY.PL

eprasa.pl cd6a0bf674

Ceny? Niemal identyczne jak u rywali. Wypożyczenie kosztuje 2,5 zł, a każda minuta jazdy 49 gr.

Rosnąca konkurencja może doprowadzić do obniżenia cen, a to zapewne przełoży się na popularność korzystania z e-hulajnóg. Elektryczne jednoślady są szczególnie opłacalne dla osób, które podróżują same. Dla par czy rodzin tańsze mogą się okazać przejazdy Uberem, Boltem, a nawet tradycyjną taksówką.

Dla osób, które polubiły ten środek transportu, alternatywą może być zakup własnej hulajnogi elektrycznej. Urządzenia średniej klasy kosztują ok. 1600–2000 zł. Opłacalność takiego zakupu każdy musi przeliczyć samodzielnie. Jeżeli jednak każdego dnia jeździmy do pracy ok. 10 minut, to taka inwestycja może zwrócić się po zaledwie pięciu-sześciu miesiącach użytkowania, nawet przy uwzględnieniu kosztów prądu.

NIEAKTUALNE PRZEPISY

Coraz popularniejsze hulajnogi budzą coraz głośniejsze protesty. Elektryczne jednoślady to bowiem środek lokomocji, który według polskich przepisów po prostu nie istnieje. Problem jest poważny. Bo chociaż na ulicach są już tysiące takich urządzeń, to wciąż nie wiadomo, gdzie można się nimi legalnie poruszać. Drogi dla rowerów są bowiem z definicji przeznaczone wyłącznie dla rowerzystów.

Ministerstwo Infrastruktury dopiero przygotowuje nowelizację, która pozwoli hulajnogom jeździć po ścieżkach rowerowych. Za jazdę elektryczną hulajnogą po chodnikach niektórzy strażnicy miejscy grożą ich użytkownikom kilkusetzłotowym mandatem. Do momentu uchwalenia nowych przepisów – uwzględniających nie tylko elektryczne hulajnogi, lecz także segwaye, rolki etc. – elektryczna hulajnoga może być traktowana jako pieszy albo jako… motorower.

Na stanowisku, że człowiek na hulajnodze (zwykłej lub elektrycznej) to po prostu zwykły pieszy, stali stołeczni policjanci, którzy w połowie kwietnia tego roku ukarali mandatem czeską turystkę, która ucierpiała w wyniku kolizji z elektryczną hulajnogą. Podobne stanowisko zajęło Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji, które też uważa, że hulajnoga to nie rower, a osoba na niej jest pieszym i jako taki może poruszać się po chodniku. Inaczej obecne przepisy dwa lata temu zinterpretował Sąd Rejonowy w Lublinie. Wówczas elektryczna hulajnoga została uznano jako pojazd zbliżony do motoroweru.

Wielu użytkowników tych maszyn łączy zaś wszystkie możliwe interpretacje i gdy jest im tak wygodnie, to poruszają się po ścieżkach rowerowych, a gdy te się kończą, to po chodniku lub nawet po jezdni. Nie wiadomo, ilu kierujących elektrycznymi pojazdami spowodowało wypadki, w wyniku których oni sami lub piesi trafili do szpitali. W Polsce nie ma takich statystyk, choć lekarze SOR opowiadają, że takich pacjentów w ostatnich miesiącach gwałtownie przybyło. Chodzi głównie o złamania kości, urazy głowy, wstrząsy mózgu.

W Hiszpanii w hulajnogowych wypadkach w zeszłym roku zginęły trzy osoby, w tym 90-latka, która została rozjechana w Barcelonie w strefie zarezerwowanej wyłącznie dla pieszych. We Francji w 2017 r. w tego typu wypadkach zginęło pięć osób, a 286 zostało rannych. Z kolei ze statystyk cytowanych przez amerykańskich naukowców wynika, że gdy dochodzi już do incydentu na hulajnodze, to co trzeci poszkodowany wymaga leczenia szpitalnego. W sumie w zeszłym roku w wypadkach z udziałem e-hulajnóg na terenie USA rany odniosło co najmniej 1545 osób. Po śmiertelnym incydencie w Austin w Teksasie – 21-letni student zginął tam po zderzeniu z samochodem Ubera – wielu lokalnych polityków w całych USA zaczęło wzywać do poprawy bezpieczeństwa. W wielu miastach wprowadza się więc limity prędkości dla elektrycznych hulajnóg, a także nowe obowiązki, np. dotyczące konieczności noszenia kasków podczas tego typu przejażdżek.

Elektryczne jednoślady dają szanse na dorobienie. Wysokość potencjalnego zarobku waha się od kilkunastu do ok. 30 zł za naładowanie jednej hulajnogi

NIEBEZPIECZNE DLA PIESZYCH

Hulajnogi budzą kontrowersje nie tylko podczas jazdy, ale również gdy są pozostawione już po zakończonej jeździe. W przeciwieństwie do stacji rowerowych, z których zabiera się rowery i do których po zakończonej jeździe trzeba je odstawić, w przypadku elektrycznych hulajnóg, nie ma żadnych stacji dokujących. Zabiera się je więc z chodnika i na chodnik odstawia. Wielu mieszkańców miast na całym świecie skarży się, że zaśmiecają one przestrzeń, blokują przejście lub powodują niebezpieczeństwo dla pieszych.

Na duże zagrożenie niepoprawnie odstawionymi hulajnogami zwrócił już też uwagę Polski Związek Niewidomych.

Wszystkie firmy wypożyczające hulajnogi przypominają więc użytkownikom, aby zostawiać je w miejscach, w których nikomu nie będą przeszkadzały. Hulajwypożyczalnie dysponują również lokalnymi zespołami, których zadaniem jest zbieranie źle zaparkowanych maszyn.

Elektryczne jednoślady dają też szanse na dorobienie. Osoby, które prowadzą działalność gospodarczą po podpisaniu umowy z daną firmą, mogą wieczorami zbierać z ulic rozładowane urządzenia, zabierać je do domu, ładować do pełna, a wcześnie rano rozstawiać po mieście i wystawiać fakturę za wykonaną usługę. Koszt ładowania powinien wynosić ok. 50 gr, a wysokość potencjalnego zarobku od kilkunastu do ok. 30 zł za jedną hulajnogę. Przy ładowaniu 10–12 hulajnóg dziennie można więc zarobić nawet 300 zł brutto. Zaletą takiej formy pracy jest wypłata po każdym zleceniu, a także elastyczny czas pracy według własnego harmonogramu.

W przypadku firmy Lime osoba doładowująca hulajnogi nazywana jest Juicerem. Za codzienne zbieranie i ładowanie elektrycznych jednośladów w Hive odpowiada zespół tzw. pszczółek (Hive Bees). Patrole pszczółek – składające się m.in. ze studentów oraz z innych osób szukających pracy dodatkowej – są także odpowiedzialne za usuwanie hulajnóg pozostawionych w nieprawidłowy sposób. Inny sposób zastosowała np. firma Blinkee City, której hulajnogi mają wymienne akumulatory, dzięki czemu serwisanci nie muszą zbierać ich na noc. W przyszłości w wykonywaniu tych zadań mają też pomagać taksówkarze. Przedstawiciele firmy w Polsce zapowiadają także, że już wkrótce za pomocą jednej aplikacji ma być możliwe zamówienie taksówki oraz hulajnogi.

Aby ten biznes miał szanse na długoterminowy sukces, konieczne jest porozumienie między firmami oferującymi elektryczne hulajnogi a lokalnymi władzami i mieszkańcami, którym elektryczne jednoślady mogłyby przeszkadzać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd6a0bf674

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Wola polityczna kontra rynek

Z rosnącym zaciekawieniem obserwuję heroiczne zmagania rządu z rynkiem energii elektrycznej. Nie z wolnym rynkiem energii elektrycznej, bo wolnym to on nigdy w Polsce nie był, zwłaszcza za PRL (wtedy zresztą nie był nawet rynkiem), lecz i teraz – w warunkach stworzonych przez UE – nie jest. A więc z rynkiem ułomnym, kulawym, ale jednak rynkiem.

To rzecz wprost porywająca – patrzeć, jak rząd, który przyrzekł nie dopuścić do podwyżek cen detalicznych prądu w 2019 r. ponad ich poziom z roku 2018, próbuje dotrzymać słowa i zamrozić rynek, czyli zatrzymać to, co przecież nieuchronne. Jak pędzi od jednej dziury, którą przed godziną zaczęły wpełzać wyższe ceny energii, do drugiej, którą zaczęły wpełzać przed sekundą, i tak dalej, bez końca. Stąd ciągły brak (a, przypominam, mamy już maj!) rozporządzenia ministra energii o cenach prądu, które powinno obowiązywać od 1 stycznia, stąd niekończące się konsultacje w tej sprawie – te wewnątrzpolskie – między ministrami i firmami, i te unijne; stąd pojawiające się co rusz informacje o groźbie upadku małych dystrybutorów prądu, a więc i powrotu jeszcze większej monopolizacji rynku; stąd bałagan i chaos, z którego nie wiadomo, jak wybrnąć. I niezmiennie uspokajające, lecz niczym nieuzasadnione słowa otuchy płynące z ust ministra energii.

A tymczasem na rynku energii… No właśnie, a tymczasem na rynku energii – ułomnym i kulawym, lecz jednak rynku – ceny prądu na wyścigi pną się w górę. Między innymi za sprawą ustawicznie drożejących praw do emisji CO_2 – a jak wiadomo, mikst energetyczny Polski, składający się w ponad 80 proc. z energii pochodzącej ze spalania węgla, sprawia, że udział ich cen w cenie prądu jest stosunkowo duży. (W styczniu 2018 r. za prawo do emisji 1 tony CO_2 trzeba było zapłacić 10 euro, a w połowie kwietnia – już 27 euro.) I rządzący o tym doskonale wiedzą, a przy tym – z jednej strony – nadal deklarują, że chcą, by Polska pozostawała w UE (w której obowiązują właśnie takie reguły – absurdalne, lecz obowiązują), a z drugiej strony w tym samym czasie przystępują do budowy kolejnego bloku energetycznego na węgiel w elektrowni Ostrołęka (co nas sytuuje wśród zaledwie 11 krajów na świecie, które prowadzą dziś takie prace). Gdzie tu szukać logiki, naprawdę nie mam pojęcia.

Cóż, o tym, że polityczna wola nie da rady rynkowi, wiadomo od dawna. Jednak zawsze można spróbować przekonać się kolejny raz – na własnej skórze, tak jak teraz. I jestem ogromnie ciekaw, ile każdy z nas, kto za sprawą rządu doświadczy tego właśnie na własnej skórze – bo to my będziemy płacili rachunki za energię, a nie rząd – będzie za prąd płacić w 2020 r. i latach kolejnych, gdy już nie da się sztucznie powstrzymywać rynku i runie on na nas ze zdwojoną, bo przez dwa lata kumulowaną siłą. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Kradzież z przyszłości?

Gdy w demokracji rządząca większość podejmuje decyzję o zwiększeniu wydatków, ma dwa zasadnicze dylematy: wydatkowy i dochodowy. Dylemat wydatkowy polega na tym, czy wzrost wydatków ma służyć rozwojowi kraju, czy budowaniu popularności wśród wyborców. Czasami te same wydatki realizują oba cele, ale nie zawsze.

A drugi dylemat: jak finansować wzrost wydatków? Są trzy źródła: wzrost gospodarczy, wzrost podatków dzisiaj i wzrost podatków w przyszłości. Politycy wszystkich opcji zawsze liczą, że dzięki ich polityce i szczęściu wzrost gospodarczy będzie wysoki. A podatki dzisiaj starają się podnosić w taki sposób, żeby nie uderzyć w swój elektorat.

Partia, na którą głosują starsi, biedniejsi i gorzej wykształceni, będzie starała się tak skonstruować wzrost obciążeń podatkowych, żeby uderzyły głównie w młodszych, bogatszych i lepiej wykształconych. I na odwrót.

Polityka podatkowa nie jest zindywidualizowana (w przyszłości podatki będą funkcją tysięcy atrybutów każdego z nas, a nie tylko kilku, takich jak dochód i liczba dzieci). Na razie trudno tak podnieść podatki, żeby ominęło „naszych" i uderzyło w „tamtych". Dlatego często opodatkowuje się przyszłe pokolenia zamiast obecnych. Mam na myśli oczywiście zaciąganie długu poprzez coroczne kumulowanie deficytów budżetowych finansowanych emisją obligacji rządowych. Zaciąganie długu jest bardzo przyjemne, bo korzyści polityczne są dzisiaj, a koszty dla społeczeństwa jutro, a jak wiadomo, horyzont typowego polityka nie sięga poza dzisiaj (czyli cztery lata, góra osiem).

Są też inne metody przenoszenia obciążeń fiskalnych między pokoleniami. Na przykład 15-procentowa opłata transferowa zaproponowana przy okazji ostatecznego demontażu OFE to przesunięcie dochodów podatkowych z przyszłości (byłyby płacone przez przyszłych emerytów od wypłacanych z OFE emerytur) na dzisiaj, w postaci ww. opłaty transferowej.

Do jeszcze innej kategorii pomysłów należy likwidacja 30-krotności w ZUS. Teoretycznie oznacza to, że w zamian za obecny wzrost podatków, które finansują bieżące wydatki rządowe, przyszłe rządy będą musiały wypłacać bardzo bogatym ludziom bardzo wysokie emerytury. Czyli tak jak w przypadku emisji obligacji przychody mamy dzisiaj, a większe wydatki w postaci spłaty odsetek i kapitału jutro. W praktyce oznacza to jednak międzypokoleniową pokusę kradzieży, bo gdy nadejdzie jutro i trzeba będzie dużej grupie osób wypłacać bardzo wysokie emerytury, z pewnością znajdzie się rząd, który ustawowo określi maksymalną emeryturę z ZUS. A prawa nabyte? Będą potraktowane tak samo jak prawa do oszczędności zgromadzonych w OFE za czasów ministra Sami Wiecie Którego.

Jak bowiem dobrze wiemy, jutro to będzie futro. ©℗

Autor pełni funkcje chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

eprasa.pl cd6a0bf674

Droga tygrysa

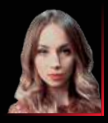

Maria Kądzielska

Kraj bez zasobów naturalnych, otoczony ze wszystkich stron przez silniejsze mocarstwa. Jak z małej byłej brytyjskiej kolonii Singapurowi udało się wyrosnąć na azjatyckiego tygrysa?

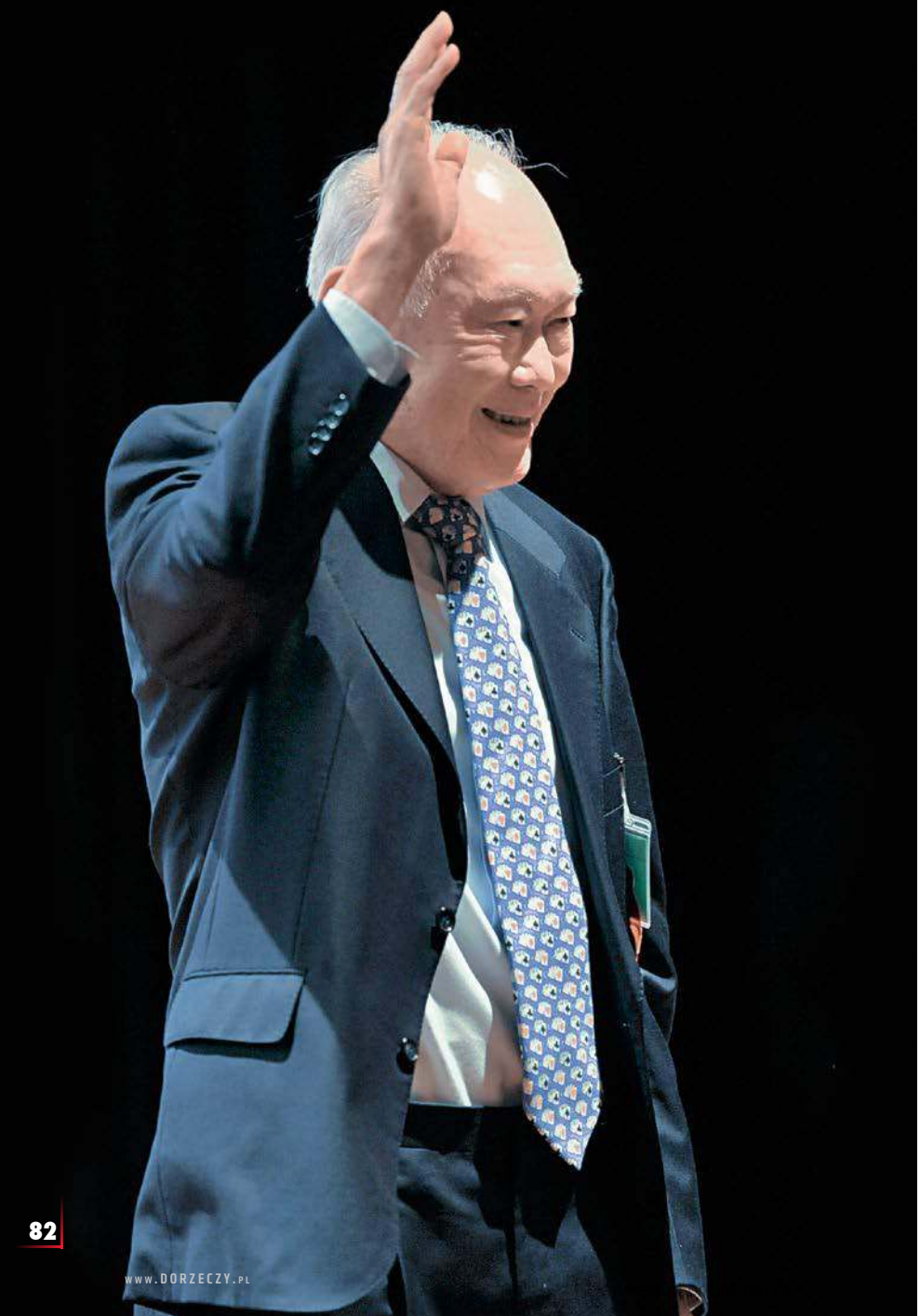

FOT. BLOOMBERG/GETTY IMAGES

Lee Kuan Yew, zwany ojcem założycielem Singapuru oraz Mędrcem ze Wschodu, pozostaje w Polsce, zarówno jako polityk, jak i myśliciel, osobą nieznaną. A jest to postać niezwykła. Jako praktyk i teoretyk myśli politycznej Yew stał na czele państwa przez 30 lat, a następnie wpływał na jego kształt jako minister senior, a potem minister mentor. Doradzał przez pół wieku wszystkim prezydentom Stanów Zjednoczonych, przywódcom Chin i innych państw azjatyckich, był wielkim przyjacielem Henry'ego Kissingera i Margaret Thatcher. Brytyjska premier pisała w rekomendacji książki Lee „From Third World to First: The Singapore Story: 1965–2000": „Kiedy pełniłam ten urząd, czytałam i analizowałam każde przemówienie Lee. Miał umiejętność odrzucania propagandowej waty i przedstawiania z wyjątkową jasnością ważnych problemów naszych czasów, a także sposobów radzenia sobie z nimi".

W rekomendacji innej książki Lee „My Lifelong Challenge: Singapore's Bilingual Journey" kanclerz Niemiec Helmut Schmidt wyznał: „Odkąd pierwszy raz spotkałem mojego przyjaciela Lee Kuan Yew, byłem pod ogromnym wrażeniem jego błyskotliwego umysłu i przedstawianych wprost poglądów. Jego życiowe osiągnięcia jako przywódcy politycznego i męża stanu są imponujące. Korzenie ekonomicznego i społecznego awansu współczesnego Singapuru tkwią w posiadanej przez Lee umiejętności ustanowienia właściwej osnowy politycznej dla etnicznego zróżnicowania Singapuru".

Również Zbigniew Brzeziński 16 września 1977 r. wypowiedział takie słowa pod adresem singapurskiego myśliciela: „Należy do najbardziej czynnych intelektualnie przywódców światowych… Jest w stanie długo i ze znawstwem rozprawiać o dosłownie wszystkich problemach międzynarodowych; jest najbardziej wnikliwym obserwatorem sceny azjatyckiej; a poza tym jest szczery, gdy przekazuje nam, jaki jest w Azji odbiór naszej zmieniającej się roli w tej części świata".

Z TRZECIEGO ŚWIATA

Gdy 9 sierpnia 1965 r. równocześnie w Singapurze i stolicy Malezji Kuala Lumpur ogłoszono „Proklamację Singapuru", zapewniającą małej, położonej na wyspie byłej brytyjskiej kolonii pełną niepodległość państwową, nikt nie spodziewał się, że to państwo-miasto w ogóle przetrwa.

Lee Kuan Yew, pierwszy premier tego kraju, podpisał wówczas dokument, w którym zapisano: „[…] od dzisiaj, tj. od 9 sierpnia 1965 roku, po wsze czasy Singapur będzie suwerennym, demokratycznym i niepodległym państwem, ufundowanym na zasadach wolności i sprawiedliwości oraz zawsze poszukującym dobrobytu i szczęścia swojego narodu w bardziej sprawiedliwym i równym społeczeństwie". Nowy twór polityczny został szybko zaakceptowany na arenie międzynarodowej. Organizacja Narodów Zjednoczonych przyjęła Miasto Lwa za swojego 117. członka 21 września 1965 r.

Gdy Lee Kuan Yew, stojący na czele Partii Akcji Ludowej, obejmował władzę, dochód na osobę wynosił w Singapurze ok. 400 dol. rocznie, a społeczeństwo pozostawało etnicznie niejednolite, składało się z mniejszości chińskiej, hinduskiej, malajskiej oraz brytyjskiej. Kraj ten po II wojnie światowej musiał mierzyć się z problemem ogromnego bezrobocia, kryzysu mieszkaniowego, z brakiem zasobów naturalnych i ziemi. Mieszkańcy nie mieli w domach kanalizacji, bieżącej wody ani klimatyzacji, która na wysokości geograficznej 137 km na północ od równika jest równie potrzebna jak systemy ogrzewania domów w Polsce.

Dzisiaj Miasto Lwa to jedna z najsilniejszych gospodarek świata, o nominalnej wysokości PKB równej 554 855 mld dol. i dochodzie na osobę w 2017 r. wynoszącym średnio 59 tys. dol. rocznie. Pod przewodnictwem Lee Kuan Yew, stojącego na czele tego państwa-miasta w latach 1959–1990, Singapur stał się intelektualnym i technicznym centrum rejonu Azji i Pacyfiku oraz znaczącym graczem międzynarodowym i ekonomicznym, zwłaszcza w dziedzinie rozwoju wielostronnych więzi transpacyficznych.

NARODZINY NOWEGO PAŃSTWA

Gdy to państwo-miasto wybijało się na niepodległość, okoliczności nie mogłyby być mniej sprzyjające. Singapur posiadał w latach 50. trochę ponad milion mieszkańców, z których 75,4 proc. stanowili Chińczycy, 13,6 proc. – Malezyjczycy, 8,6 proc. – Hindusi. Otoczony na południu Indonezją ze 100-milionową populacją, z północy Malezją ze społeczeństwem liczącym 6,28 mln ludzi, jako najmniejsze państwo południowej Azji wydawał się skazany na rolę kraju służalczego wobec potężniejszych sąsiadów, jeśli w ogóle miał utrzymać swoją niepodległość.

Po I wojnie światowej Singapur stał się najważniejszą brytyjską bazą wojskową na Dalekim Wschodzie. Zaprojektowany tak, aby mógł oprzeć się atakom morskim, w lutym 1942 r. został zaatakowany i 15 lutego zdobyty przez Japończyków od strony lądu, a następnie był przez nich okupowany do września 1945 r. W 1946 r. Singapur stał się oddzielną kolonią brytyjską, a pełną autonomię uzyskał w 1959 r.

Na czele rządu stanął Lee Kuan Yew. Polityk tak pisał w swoim pamiętniku o przebudzeniu Singapuru z drzemki politycznej: „Imperium brytyjskie miało się w południowo-wschodniej Azji utrzymać przez kolejne 1000 lat, ale upadło w 1942 r., wraz z wkroczeniem armii japońskiej. Nigdy nie myślałem, że mogą zdobyć Singapur i wyrzucić zeń Brytyjczyków. Zdobyli i potraktowali nas brutalnie; mnie też… Nauczyłem się sporo o władzy długo przedtem, nim Mao Zedong napisał, że władza wyrasta z lufy karabinu. Japończycy to okazywali; Brytyjczycy – nie".

HISTORIĘ PISZĄ ZWYCIĘZCY

Od momentu dojścia do władzy w 1959 r. w jeszcze kolonialnym Singapurze aż do proklamowania niepodległości z 1965 r. Lee był zmuszony rywalizować o władzę z komunistami. Szef Partii Akcji Ludowej walczył z komunizmem jego własną bronią, posługując się przemocą, a niektórzy amerykańscy badacze wskazują, że czytał on i kierował się wskazówkami Lenina zawartymi w podręczniku zdobywania władzy „Co robić?". Kilka miesięcy przed wyborami z 1963 r. na polecenie Yew przeprowadzono w Singapurze akcję tzw. Operation Coldstore, której rezultatem było aresztowanie ponad stu polityków komunistycznych i lewicowych. W efekcie Partia Akcji Ludowej wygrała wybory, zdobywając 46,9 proc. głosów i uzyskując 37 z 51 miejsc w Zgromadzeniu Ustawodawczym.

Obecnie w Singapurze partia komunistyczna pozostaje wciąż nielegalna, gdyż – jak argumentował Lee Kuan Yew – jest ona wroga naturze ludzkiej i naturze państwa, ponieważ zmierza do gwałtownego obalenia zasad parlamentarnych i broni politycznej przemocy.

AUTORYTARYZM OŚWIECONY

Nie bez przyczyny Lee Kuan Yew można porównywać do współczesnego Machiavellego, gdyż był on politykiem i myślicielem wyraźnie ciążącym w stronę realizmu politycznego. Pozostawał wielokrotnie krytykowany przez zachodnią opinię publiczną m.in. za ograniczanie wolności prasy, aresztowania bez procesu czy wprowadzanie żelaznych praw, które obowiązują po dziś dzień. Singapur to państwo, w którym obowiązuje kara chłosty za najróżniejsze wykroczenia, m.in. wandalizm, oraz kara śmierci za posiadanie, sprzedawanie czy zażywanie narkotyków.

Innym przykładem myśli makiawelistycznej jest konieczność posiadania przez przywódcę cnoty „virtu", rozumianej jako sprawność polityczna zapewniająca stabilność państwa. Lee w wywiadzie dla „Financial Times" przyznał: „Rozumiałem Deng Xiaopinga, kiedy mówił, że jeśli trzeba zastrzelić 200 tys. studentów, to ich zastrzelcie, bo alternatywę stanowią Chiny pogrążone w chaosie przez kolejne 100 lat… Bez Denga w Chinach doszłoby do załamania".

DYSCYPLINA I ORGANIZACJA

Miasto Lwa jest dowodem na to, że wyniki rozważnych i realistycznych kalkulacji mogą zostać obalone przez ponadprzeciętne osobowości. Pod wpływem charyzmatycznego przywódcy w ciągu zaledwie 50 lat Singapur stał się drugim po Japonii najbardziej rozwiniętym państwem Azji. W rankingu krajów o najlepszym środowisku dla inwestycji i przedsiębiorczości „Doing Business" od lat zajmuje czołowe miejsce. Wszystko to za sprawą niskich podatków, przejrzystych procedur i braku korupcji. Singapur to również jeden z najczystszych i najbezpieczniejszych krajów świata.

Z zachodniej perspektywy rodzi się nieuchronnie pytanie: Na ile można ograniczyć wartości demokratyczne w życiu społecznym na rzecz rozwoju gospodarki i administracji? To temat na szeroką dyskusję. Miasto Lwa z pewnością stanowi jednak dowód na to, że dyscyplina i doskonała organizacja mają swoje realne przełożenie na dobrobyt obywateli. Model rozwiązań singapurskich stanowi inspirację do myślenia o ambitnym rozwoju Polski. Na koniec znowu oddajmy głos Lee Kuan Yew: „Żadna armia, choćby nie wiem jak dzielna, nie jest w stanie zwyciężać, jeśli ma słabych generałów… Przywódca polityczny musi nakreślić przed ludźmi wizję przyszłości, potem musi przełożyć ją na rozwiązania polityczne i przekonać ludzi, że warto je poprzeć, a w końcu zachęcić ich do wspomożenia go we wcielaniu tych rozwiązań w życie".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd6a0bf674

FOT. MIKE KANE/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

Postęp dzięki zakazom

Stefan Sękowski

Ograniczenie handlu w niedzielę przyczynia się do rozwoju technologii pozwalających zastąpić obsługę maszynami. Pracownicy nie muszą być pokrzywdzeni, zwłaszcza gdy znajdą się w awangardzie cyfrowej rewolucji

Ministerstwo Przedsiębiorczości i Technologii do jesieni będzie badać skutki wprowadzenia ograniczenia handlu w niedzielę, a związki zawodowe żądają kolejnych obostrzeń – a to rozszerzenia zakazu na późny sobotni wieczór i pierwsze godziny poniedziałku, a to zaklajstrowania luki pozwalającej sieciom handlowym występowania jako punkty pocztowe czy kafejki. Tymczasem Żabka właśnie wpadła na pomysł, jak zrealizować marzenie o tym, by jej pracownicy nie musieli pracować w niedzielę. Ani w żadne inne dni tygodnia, bo wspólnie z amerykańską firmą AiFi pracuje nad sklepami bez kas, a co za tym idzie – także bez kasjerów.

Firma Bio Family, sprzedająca żywność ekologiczną, ma w Poznaniu placówkę, która działa siedem dni w tygodniu, 24 godziny na dobę. – Obserwowaliśmy rynek zagraniczny, w jaki sposób działa np. koncept Amazon Go, i zaczęliśmy szukać rozwiązań, aby móc wdrożyć podobną technologię w naszych sklepach – mówi „Do Rzeczy" Natasza Świtalska z Bio Family. – Dostosowaliśmy systemy pod specyfikę naszego sklepu i tak powstał pierwszy w Europie całodobowy i bezobsługowy supermarket z dostępem ze specjalną kartą, a teraz z aplikacją Bio Family – dodaje. W ciągu dnia w wyznaczonych godzinach sklep jest otwarty tradycyjnie. Poza tymi godzinami drzwi otwiera się dzięki aplikacji Bio Family, po czym robi zakupy, skanuje produkty w kasie samoobsługowej i za wszystko płaci kartą (Blik, Apple Pay lub Google Pay). W najbliższych tygodniach model sklepu całodobowego i bezobsługowego zostanie wprowadzony do pozostałych sklepów Bio Family w Swarzędzu i we Wrocławiu. Jak zapewniają twórcy firmy, w każdym kolejnym nowo otwieranym sklepie Bio Family model 24/7 z dostępem za pomocą aplikacji będzie standardem.

INNA REWOLUCJA?

Już dziś kolejne funkcje kasjera może wziąć na siebie robot. W 10 sklepach Amazon Go w USA nawet nie musimy podchodzić do kasy. Wystarczy, że przy wejściu uruchomimy aplikację w telefonie. W trakcie zakupów jesteśmy… permanentnie śledzeni przez kamerki i czujniki, wykorzystujące sztuczną inteligencję i obserwujące, czy bierzemy coś z półki, czy nie. Cokolwiek wyniesiemy później ze sklepu, jest nam naliczane na rachunek.

Takich marketów jest niewiele, ale będzie coraz więcej – do 2021 r. Amazon chce ich otworzyć aż 3 tys. Najmniej o swoją pozycję mogą obawiać się sprzedawcy w sklepach specjalistycznych, tam, gdzie podczas zakupów przydaje się kompetentny doradca. Jednak jeśli technologia będzie się rozwijać (dzięki czemu unikniemy np. długich kolejek związanych z nieumiejętnym korzystaniem z psujących się kas samoobsługowych

eprasa.pl cd6a0bf674

lub pomyłek podczas rozpoznawania towarów wynoszonych przez kupujących), to wielu pracowników może okazać się zbędnych. Przynajmniej w teorii, bo np. Żabka planuje przesunąć ich do innych zadań. Jak można przeczytać w informacji prasowej wydanej z okazji nawiązania współpracy z AiFi, „dodatkowo, zaoszczędzony dzięki technologii czas pracowników pozwoli podnieść jakość obsługi klientów, zwłaszcza w strefie minigastronomii Żabka Café, oferującej świeżo mieloną kawę czy ciepłe przekąski typu hot dog. Obsługa sklepu będzie mogła jeszcze lepiej informować o nowych usługach i funkcjonalnościach".

Badania dotyczące dotychczasowych zmian w zatrudnieniu związanych z wdrażaniem nowych technologii są niejednoznaczne. Jednak aktualna zmiana technologiczna może mieć inne skutki niż wcześniejsze. Luddyści w XIX w. mogli obawiać się utraty swoich miejsc pracy ze względu na rozwój maszyn tkackich, ale nie groziło im masowe bezrobocie, bo rozwój technologiczny tworzył nowe miejsca pracy. Tym razem może być inaczej. Jak wskazują np. historyk gospodarczy Robert Skidelsky czy futurolog Martin Ford w książce „Rise of the Robots: Technology and the Threat of a Jobless Future", technologie powstałe w „wieku pary i elektryczności" różnią się od nowoczesnych tym, że o ile te pierwsze zastępowały siłę ludzkich mięśni, o tyle te drugie, coraz częściej, wyręczają nas, jeśli chodzi o zdolności poznawcze. Wraz z rozwojem sztucznej inteligencji maszyny mogą być coraz bardziej wydajne także tam, gdzie potrzeba kreatywności. W efekcie na oucie znajdą się ci, którzy mogą mechanicznie wykonywać nie tylko czynności niewymagające kwalifikacji, lecz także świadczyć bardziej skomplikowane usługi. I co wtedy zrobimy z tymi ludźmi?

PODATEK OD ROBOTÓW?

Coraz częściej pojawiają się propozycje, by wprowadzić specjalny podatek od robotów. Wbrew pozorom sama koncepcja (choć diabeł tkwi w szczegółach) nie jest szczególnie kontrowersyjna – byłby to tak naprawdę podatek od kapitału, przynoszącego właścicielowi wysoki dochód. O ile obecnie, gdy tego typu technologie są jeszcze w powijakach, częściej się rozważa (i stosuje) raczej ulgi zachęcające do wprowadzania i opracowywania tego typu innowacji, o tyle gdyby miały one być bardziej popularne, pomysły na fiskalizację nowych rozwiązań będą podnoszone coraz częściej. Pół biedy, jeśli będzie to argumentowane koniecznością zasypania luki spowodowanej np. brakiem wpływów z podatku dochodowego czy pogłębiającego się deficytu ubezpieczeń społecznych. Gorzej, jeśli w takiej daninie pracownicy będą widzieć kij włożony w szprychy rozwoju technologicznego. Ten zatrzymać będzie bardzo trudno, odebrałoby to społeczeństwu korzyści płynące z rozwoju i utrudniłoby konkurencję z innymi gospodarkami, które pod względem badań i rozwoju nie będą stały w miejscu, zwłaszcza gdyby one same nie wprowadzały podobnych podatków.

Ludzie tacy jak choćby wspomniany Martin Ford widzą w rozwoju technologicznym przyczynek do myślenia o wprowadzeniu bezwarunkowego dochodu gwarantowanego, przysługującego każdemu obywatelowi. Mógłby być finansowany np. z opodatkowania nowoczesnych technologii. Były minister finansów Grecji Yanis Varoufakis proponuje z kolei, by przedsiębiorcy korzystający z rozwoju robotyzacji musieli dzielić się z państwem udziałami w swoich firmach – dywidendy szłyby na pokrycie potrzeb społecznych. Abstrahując od różnych minusów tych propozycji, jest to próba rozpowszechnienia korzyści płynących z rozwoju technologicznego wśród tych, którzy nie mają do nich bezpośredniego dostępu, by w ten sposób uśmierzyć potencjalne bóle związane z rewolucją cyfrową.

SPÓŁDZIELCZOŚĆ CYFROWA

Nie ulega wątpliwości, że śmietankę spijają ci, którzy są właścicielami tych wysoce produktywnych środków produkcji – i trudno się zresztą temu dziwić, skoro ich udział w produkcie jest, w założeniu, znacznie większy niż pracowników. Co jednak stoi na przeszkodzie, by to właśnie pracownicy stali się właścicielami tych robotów i czerpali korzyści z nowych technologii?

Wyobraźmy sobie sytuację, w której pracownicy, zamiast toczyć boje rodem z XX w., które tylko przyspieszają korzystną dla przedsiębiorców rewolucję cyfrową, włączają się w ten wyścig. W Polsce ok. 1,5 mln osób należy do różnych związków zawodowych; w samej Solidarności jest ich ponad pół miliona. A gdyby tak ci ludzie – nie jako związkowcy, ale ktoś na kształt nowego rodzaju spółdzielni spożywców – spróbowali wspólnie zainwestować w nową technologię? Przecież z technologicznymi start-upami współpracować może każdy. Problemem może być pozyskanie kapitału. Sam sprzęt w jednym sklepie Amazon Go miał kosztować milion dolarów, rozkręcenie zaś kolejnych 3 tys. punktów może kosztować od 0,5 mld do 3 mld dol. Jednak przecież aż tylu sklepów, być może, w Polsce nie potrzeba. Poza tym koszty mogą rozłożyć się między licznych zainteresowanych. Nie ma znaczenia, że tylko część z nich to osoby pracujące w handlu – koszty można by być może obniżyć, współpracując z polskimi naukowcami czy branżą IT i gwarantując udział w zyskach. Zresztą od kiedy funkcjonuje spółdzielczość spożywców (czyli ponad 150 lat), nie wszyscy stają za kasami. Mógłby to być także sposób na odbudowę tej zamierającej w Polsce formy gospodarczej współpracy, która sięgając po nowoczesne rozwiązania, mogłaby uzyskać przewagę nad konkurencją. A takie rozwiązanie nie dość, że pozwoliłoby ludziom nie pracować w niedzielę, to jeszcze na tym zarobić.

Kosmos? Być może. Jednak rewolucja technologiczna potrzebuje nowego podejścia ze strony tych, którzy mogą (choć nie muszą) czuć się zagrożeni przez jej owoce. Autonomiczny pociąg do przyszłości czekać nie będzie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą dyrektora thinkzine'u „Nowa Konfederacja".

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl cd6a0bf674

Pielgrzymkowa

Tomasz P. Terlikowski

Współczesny człowiek w trakcie swojego życia kilkakrotnie zmienia nie tylko pracę, lecz także jej rodzaj. Wielokrotnie czytałem o tym w felietonach, a teraz przyszedł czas i na mnie

To nie jest coming out. Nie zrywam z dziennikarstwem, nie zdecydowałem się (jak pewna znana dziennikarka) zostać stylistą ani tym bardziej nie przechodzę do PR. Pisanie mam we krwi i jeśli przez tydzień niczego nie napiszę, to mam nerwicę, trzęsą mi się ręce i warczę na wszystkich wokoło. W niczym nie zmienia to jednak faktu, że do moich dotychczasowych zajęć (pisanie, radio, telewizja) doszły nowe, zupełnie odmienne. Tylko w tym roku byłem siedem razy z grupami w Ziemi Świętej (a w ubiegłym dwa razy w Japonii, raz w Libanie i raz w Ziemi Świętej), a w nadchodzących miesiącach czekają mnie jeszcze: Japonia, Rosja, Liban i oczywiście Ziemia Święta. Jednym słowem – dzieje się, i to sporo.

DZIEŁO ŚW. MAKSYMILIANA

Wszystko zaczęło się przypadkiem, choć warto przypomnieć, że przypadek to świeckie imię Opatrzności Bożej. Półtora roku temu Biuro Pielgrzymkowe Misja Travel z Poznania zaprosiło mnie na konferencję na temat św. Maksymiliana. Miałem nie jechać, bo okazało się, że mam tego samego dnia dwa wykłady, ale uroczy pracownicy (no dobra, to były pracownice) przekonali mnie, że się wyrobię i specjalnie dla mnie przełożyli wykład na wcześniejszą godzinę. Wygłosiłem go i już miałem jechać do Łodzi, gdy dopadli mnie właściciele biura i zapytali, czy byłem kiedykolwiek w Japonii. „Nie" – odpowiedź była krótka, bo naprawdę się spieszyłem. „A chciałby pan być?" – nie ustępowali, choć widzieli, że nie mam czasu. „Kto by nie chciał?" – odpowiedziałem. „To napiszemy do pana z propozycjami terminów" – oznajmili.

Nie uwierzyłem. Byłem przekonany, że to czysta kurtuazja. Dwa tygodnie później jednak na skrzynce miałem już e-mail z podanymi terminami. Wybrałem marcowy i rzeczywiście w marcu ubiegłego roku ruszyłem pierwszy raz do Japonii. Miałem tam tylko opowiedzieć o św. Maksymilianie, ale… Cóż, parcie na mikrofon nie wyłącza się u mnie tylko dlatego, że jestem daleko. Po trzech dniach przejąłem więc mikrofon od księdza przewodnika, który czwartego dnia pielgrzymki sam mówił już do ludzi, że jeśli mają jakieś pytania, to ja chętnie odpowiem. Wyzwaniem było tylko opowiadanie o gejszach, ale dokształciłem się i jakoś poszło. Piątego dnia pilotki (pozdrowienia dla Hani i Basi) zadały mi pytanie, czy nie chciałbym zostać przewodnikiem na stałe. Nie wierzyłem, że to możliwe, więc się zgodziłem. Szefostwo tylko potwierdziło ich decyzję i… się zaczęło. Początkowo miałem jeździć tylko do Japonii, ale szybko się okazało, że bardziej lubię Ziemię Świętą i Liban. A Rosja od dawna jest moją miłością.

Moja mama nauczycielka zawsze powtarzała, że pierwszą klasę pamięta się na zawsze, i chyba tak samo jest z pierwszą grupą. To była Japonia, gorący, ale jak zawsze deszczowy wrzesień, który straszył nas nieustająco groźbą tsunami. Nic takiego się nie działo, ale wracać musieliśmy wszyscy naokoło, bo zniszczone zostało lotnisko i moja powrotna droga do Polski prowadziła przez Singapur oraz Moskwę. Niezapomniany lot i lądowanie dzień później. A w międzyczasie? Niezwykła wizyta i msza święta na niewygasłym wulkanie, gdzie prawie 350 lat temu gotowano żywcem chrześcijan; spotkanie z Maksymilianem w założonym przez niego klasztorze; zwiedzanie muzeum bomby atomowej w Nagasaki, muzeum, które zaczyna się od ścian katedry (warto przypomnieć, że amerykańscy piloci kierowali się na wieże katedry i że bomba spadła na dzielnicę katolicką), a kończy różańcem wielkiego lekarza, który uznał, iż jedyną drogą uzdro-

eprasa.pl cd6a0bf674

misja

Gdy Bóg stwarzał świat – jak mówią żydowscy mędrcy – podzielił całe jego piękno na 10 części. Dziewięć z nich dał Jerozolimie FOT. ADOBE STOCK

Liban to jedno z najpiękniejszych miejsc świata. Wiara tamtejszych chrześcijan zachwyca FOT. CHLOE SHARROCK/LE PICTORIUM/MAXPPP/FORUM

wienia dla Japonii i świata jest odmawianie Różańca; modlitwa w muzeum męczeństwa (gdy człowiek dowie się, jak cierpieli japońscy chrześcijanie i jak byli odważni, uświadamia sobie, że my w Europie cierpimy co najwyżej pluszowe prześladowania). A poza tym Tokio (największa metropolia świata z pałacem cesarskim, ze świątyniami buddyjskimi i oczywiście z dzielnicą rozrywki), Kioto (a w nim dzielnica gejsz i Złoty Pawilon oraz spotkanie z szintoizmem) i Akita, czyli miejsce objawień Matki Bożej.

To ostatnie wprowadza nas w samo centrum problemów Kościoła, bo już w 1973 r. Matka Boża ostrzegała przed ogromnym kryzysem wiary, mówiła o tym, że „kardynał wystąpi przeciwko kardynałowi, a biskup przeciw biskupowi". Objawienia te to dalszy ciąg przekazu, który rozpoczął się w Fatimie. W Portugalii Matka Boża przestrzegała świat przed tym, co będzie się działo, gdy będzie on budowany bez Boga, w Japonii Matka Boża mówi o tym, jak kończy Kościół, z którego wyrzuci się Boga i Objawienie. To, co wtedy zostało powiedziane, realizuje się na naszych oczach.

Szczególnym doświadczeniem jest także japońska kuchnia. Nie, nie mówię o sushi (z jego jedzenia zapamiętałem tylko kucharza, który naśmiewał się z tego, że nie potrafię – jak to barbarzyńca – jeść pałeczkami), bo wcale nie je się go często, a o zwyczajniejszej kuchni złożonej z glonów, trawy, surowych ryb, ze ślimaków i… z rozmaitych kulek czegoś, czego nie umiałem nawet nazwać. Wszystko o smaku… no właśnie… smaku natury, bo Japończycy uważają, że najważniejsze są smaki natury i nie należy ich psuć przyprawami. Są ludzie, którym to smakuje, ja jednak z przyjemnością wracam do… kuchni bliskowschodniej, bo to ona stała się moją pasją.

PIĄTA EWANGELIA

Wyglądam, jak wyglądam, więc nietrudno się domyślić, że podróże kuchenne też są dla mnie ważne. I w tej konkurencji zdecydowanie wygrywa Bliski Wschód, a konkretniej Liban. Tamtejsza kuchnia jest rewelacyjna. Delikatne, grillowane mięsa, masa warzyw i świetne przyprawy. Jeśli gdzieś jest podobnie, to tylko w Ziemi Świętej, choć tam dodatki są nieco gorsze. Liban w ogóle to jedno z najpiękniejszych miejsc świata. Góry, z których z każdego niemal miejsca widać Morze Śródziemne, masa chrześcijan, których wiara zachwyca, maronickie klasztory często ukryte w górach i wreszcie święci, których wszyscy znamy (św. Szarbel i św. Rafka, a także mniej znani – św. Hardini i bł. Stefan), ale których zrozumieć tak do końca można tylko tam. Wszystko zaś spowite jest w przepiękną zieleń, której równej nie ma nigdzie.

Jeśli gdzieś jest porównywalnie, to tylko w Ziemi Świętej. Tam nie tylko można doświadczyć piękna przyrody (kamienistej pustyni w Judei i zielonej Galilei), lecz także wejść w głębię Ewangelii. Wszystko zaczyna się (dla mnie, bo wciąż spieram się z ludźmi o to, czy piękniejsza jest Jerozolima czy Galilea) od Świętego Miasta, Miasta Pokoju, czyli Jerozolimy. Gdy Bóg stwarzał świat – jak mówią żydowscy mędrcy – podzielił całe jego piękno na 10 części. Dziewięć z nich dał Jerozolimie, jedną podzielił na resztę świata. Kto tu nie był, nie przeszedł splątanymi uliczkami, nie odbył drogi krzyżowej, ten tego nigdy nie rozumie. Gdy się jednak tego doświadczy, człowiek rozumie, dlaczego Jerozolima, miasto pokoju, uświadamia, czym jest niebo i o co walczą, czasem bez pardonu, Żydzi i Palestyńczycy.

Najświętszym miejscem chrześcijaństwa pozostaje rzecz jasna Grób Pański. I choć byłem tam już wiele razy, za każdym razem, gdy podchodzę

eprasa.pl cd6a0bf674

Tomasz P. Terlikowski w roli przewodnika
FOT. ARCHIWUM AUTORA

do murów bazyliki, przechodzi mnie dreszcz. W tym miejscu umarł przecież Bóg. W samotności, opuszczeniu, z okrzykiem na ustach: „Boże, mój Boże, czemuś mnie opuścił?!". Umarł za mnie i za Ciebie. Skazany nie przez Piłata i żydowskich arcykapłanów, ale przez moje grzechy. Niesamowite jest sobie to uświadomić, a nie zawsze jest to proste, bo… przecież wokoło wciąż kłębią się ludzie, tłumy ludzi. A zaraz obok jest Grób Pański. W tym samym budynku, kilkanaście metrów dalej. Ten grób, inaczej niż każdy inny, jest dowodem na siłę życia, moc Boga. Nie ma wątpliwości, że on jest pusty. Nikt nigdy tego nie kwestionował. A pustka tego grobu, to, że zamordowany w okrutny sposób Jezus z Nazaretu powstał z martwych, uświadamia, że… nie ma takiego grobu, z którego Bóg nie może wyprowadzić także nas. On jest silniejszy niż grzech, słabość, śmierć.

A gdy wyjdzie się z bazyliki, styka się z miastem. Żywym, dynamicznym, rozedrganym. To tamtymi drogami idzie się po Drodze Krzyżowej, która stąd czerpie swoją siłę. „Któryś za nas cierpiał rany, Jezu Chryste, zmiłuj się nad nami" – te słowa z trudem przebijają się przez gwar ulicy. Nie zawsze jest gdzie uklęknąć, by w pokorze powiedzieć słowa: „Kłaniamy Ci się, Panie Jezu Chryste, i błogosławimy Tobie", wszyscy uczestnicy nabożeństwa odpowiadają zaś: „Żeś przez Krzyż i Mękę swoją świat odkupić raczył" albo: „Żeś przez Krzyż swój święty świat odkupić raczył". To przeżycie jest jednak szczególne, bo tak to wyglądało wtedy, dwa tysiące lat temu. Skazaniec, którego jeszcze tydzień wcześniej witały tłumy, teraz w hańbie, porzucony przez najbliższych idzie przez miasto, które zainteresowane jest czym innym. Handel kwitnie, okazje biją po oczach, a turyści, handlarze, przewodnicy mijają go z obojętnością.

A na koniec Ściana Płaczu, czyli Mur Zachodni. Gwar, tłum, kołyszący się przed ścianą ultraortodoksyjni Żydzi wypowiadający – dla europejskiego ucha niewyraźnie – słowa hebrajskich modlitw, turyści, którzy nie bardzo wiedzą, jak się zachować, karteczki wtykane w mur. Spod tego szumu i hałasu w tym miejscu wyłania się sacrum. To ostatnia zachowana część Świątyni Jerozolimskiej, czyli miejsca, w którym modlili się Jezus i apostołowie, w którym Bóg objawiał się przez wieki, w którym składano ofiary będące prefiguracją Jedynej Ofiary złożonej przez Jezusa Chrystusa. Tutaj czuje się moc sacrum, bo to miejsce uświęcone modlitwą wielu – zarówno Żydów, dla których jest to miejsce szczególne, jak i chrześcijan, którzy odkrywają pod tą ścianą, że są Izraelem, że wyrastają z tego korzenia, którego symbolem jest ów mur.

W pobliżu najświętszego miejsca chrześcijaństwa – Grobu Pańskiego – wciąż gromadzą się tłumy ludzi FOT. VALERY SHARIFULIN/TASS/FORUM

Dużo by można jeszcze pisać o Ziemi Świętej. Każde z miejsc, do którego się tam przybywa, ma moc i siłę, każde z nich przemienia i daje nadzieję. Pielgrzymowanie po tych miejscach to w istocie rekolekcje, bo tu wprost mówi do nas Jezus Chrystus. I każde z tych miejsc przemienia także przewodnika, który musi mierzyć się nie tylko z historią, lecz także z własnym grzechem, własną niedoskonałością i wielkością ofiary Chrystusa. Tak jest przy Bazylice Narodów, gdzie Jezus pocił się krwią, tu wołał do Ojca: „Jeśli możesz, oddal ode mnie ten kielich". I tu był sam. Sam, bo uczniowie, najbliżsi, najukochańsi zasnęli. Jednej godziny nie mogli z Nim wytrzymać. Ta agonia trwa nadal. Nadal są ludzie, którym nikt nie towarzyszy w cierpieniu, zostawieni, osamotnieni, pozbawieni nadziei. My także ich zostawiliśmy jak apostołowie swojego Mistrza. W tym miejscu możemy pojednać się z nimi, przebaczyć sobie samemu. To miejsce, w którym możemy w Jezusie złożyć także naszą samotność, pragnienie bliskości, chorobę, w której nikt nam nie towarzyszył. Tutaj nasze ludzkie cierpienie jednoczymy z Jego cierpieniem, a nasze ludzkie zaniedbania nabierają nowego sensu opuszczania Boga.

CO DALEJ?

Moja przygoda z pielgrzymowaniem nadal trwa, a Biuro Pielgrzymkowe Misja Travel wciąż proponuje mi nowe kierunki. Za kilka tygodni ruszam znowu do Japonii, ale we wrześniu czeka mnie pierwsza pielgrzymka do Rosji, gdzie opowiadać będę o męczennikach, ikonie i filozofii rosyjskiej, z której dawno temu się doktoryzowałem. A potem… Potem pewnie jeszcze Medjugorje, może Indie, na pewno Liban i Ziemia Święta. W każdym z tych miejsc z nową grupą pielgrzymów, którzy często są zaskoczeni, że ten straszny prawicowiec, wojujący katol opowiada dowcipy, żartuje, a przede wszystkim w ogóle nie mówi o polityce. Jednym słowem, staje się przewodnikiem, a przestaje być publicystą. To niesamowite przeżycie także dla mnie.

I za nie dziękuję biuru i pilotkom, które zachęciły mnie do podjęcia wyzwania, którym jest prowadzenie pielgrzymek. A czytelników zapraszam na pielgrzymi szlak. Warto pielgrzymować, nawet w epoce turystów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd6a0bf674

MOBILNY ROUTER TP-LINK M7650

Łatwość obsługi, długi czas pracy na baterii i bardzo dobra wydajność sieci LTE – to największe zalety przenośnego hotspota chińskiej firmy TP-Link.

Sprzęt znacząco mniejszy niż większość tradycyjnych portfeli (jego wymiary to 1,6 cm x 11,25 cm x 6,65 cm) działa zaskakująco dobrze i jest banalnie prosty w obsłudze (zarówno bezpośrednio z poziomu urządzenia, jak i poprzez aplikację oraz przeglądarkę, choć niektórym może brakować polskiej wersji językowej). Dzięki technologii 4G LTE cat11 mobilny router potrafi pobierać pliki z prędkością do 600 Mb/s i wysyłać je z prędkością do 50 Mb/s.

Mobilny router pozwala udostępniać Internet 32 urządzeniom jednocześnie i umożliwia przełączanie się między dwiema częstotliwościami: 2,4 GHz oraz 5 GHz (niestety nie można ustawić urządzenia tak, aby dwie częstotliwości działały równocześnie). Urządzenie jest też wyposażone w gniazdo na kartę microSD (o pojemności do 32 GB), dzięki której możemy stworzyć niewielki domowy serwer.

Po stronie plusów można też wpisać baterię o pojemności 3000 mAh, dzięki której mobilny router staje się naprawdę mobilny. Urządzenie odłączone od prądu według producenta działa do 15 godz. W naszych testach czas pracy na jednym ładowaniu był krótszy (ok. 13 godz.), ale i tak jest to dobry wynik.

Wady? Czarno-szary design urządzenia przypominający gadżety z pierwszej dekady XXI w. Brak portów typu LAN i WAN (co jest uzasadnione w przypadku modelu mobilnego), ale także zwykłej ładowarki (w zestawie jest tylko kabel USB/microUSB) czy podróżnego etui. Jeśli ktoś chciałby, aby jego mobilny router przez większą część roku pełnił funkcję stacjonarnego domowego urządzenia, to może być nieco rozczarowany niezbyt dużym zasięgiem Wi-Fi, które nie pokrywa całego mieszkania, a co dopiero mówić o domu. Szkoda też, że urządzenie nie jest wodo- i pyłoszczelne, co przydałoby się w warunkach terenowych.

Biorąc pod uwagę plusy i minusy, urządzenie jest godne polecenia wszystkim tym, którzy marzą o bezpiecznym, prywatnym Wi-Fi w górach, nad jeziorem czy na piaszczystej plaży. A także tym, którzy mieszkają w domu jednorodzinnym na terenach, w których często dochodzi do przerw w dostawie prądu. Cena: 679 zł. ©℗

Jacek Przybylski

POJAZD NIE Z TEJ ZIEMI

Ni to rower, ni deskorolka, ni kółko z podstawką. Pojazd o nazwie Halfbike 3 jest tak dziwaczny, że producenci sami mieli problem z tym, jak go właściwie określić. Pewne jest, że posiadacz pojazdu wywoła spore wrażenie, gdy wyjedzie na ulice np. polskich miast.

Co jednak najważniejsze, Halfbike 3 – nieco inaczej niż rower – wymaga od użytkownika doskonałej pracy ciałem umożliwiającej zachowanie równowagi, jest też świetnym narzędziem treningowym szkolącym refleks, wytrzymałość i kondycję.

Ów półrower można zamawiać na Kickstarterze w cenie ok. 1,7 tys. zł, dostawa w czerwcu.

KUP PAN CEGŁĘ

Jakiś czas temu komuniści wmówili wielu ludziom, że ich system ma szansę przynieść raj na ziemi. Później socjaliści, strzelając do robotników, wmawiali, że 1 maja to święto ludzi pracy. Mijają lata, a rozmaici przekręciarze robiący karierę na nieźle brzmiących zideologizowanych hasłach socjalnych, międzyludzkich, międzyrasowych, międzygatunkowych, ekologicznych, kosmicznych, etc. nadal mają się dobrze. Ba, czerpią niezłe zyski, nabierając ludzi na... kamień. Oto właśnie na portalu crowdfundingowym Kickstarter pojawił się projekt o nazwie: Moment Pebble – nowe narzędzie dla nowoczesnej świadomości.

Brzmi wystarczająco neomarksistowsko? To dalej będzie jeszcze lepiej. „Moment Pebble pozwala w każdej chwili i w każdym miejscu wziąć pod uwagę 30-sekundowe mikrochwile skupienia" – twierdzą producenci. I przekonują: „W odróżnieniu od większości nowoczesnych środków wspomagających świadomość Moment Pebble nie opiera się na aplikacji. Nie jest on połączony z telefonem, co oznacza, że możesz korzystać z urządzenia w każdej chwili – bez zakłóceń przychodzącymi połączeniami i wiadomościami" .

Naprawdę podłączyć tego do niczego się nie da. W rzeczywistości bowiem Moment Pebble to gadżecik wykonany z tworzywa przypominającego kamień, którego jedyną właściwością jest to, że po lekkim potarciu dłonią zapala się w nim lub gaśnie (po kolejnym potarciu) światełko. Wcześniej oczywiście trzeba urządzenie naładować.

Cały bajer ma polegać na tym, że migające światło ma skłaniać do refleksji nad życiem. I to jest w sumie prawda. Pierwsza refleksja: Czy warto wydać blisko 200 zł, by nabić kabzę cwaniakom? Inna rzecz, że patrząc na zainteresowanie, jakim Moment Pebble cieszy się na Kickstarterze, naiwnych nie zabraknie. ©℗ ***Wojciech Wybranowski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl cd6a0bf674

Z prof. Leszkiem Czupryniakiem, kierownikiem Kliniki Diabetologii i Chorób Wewnętrznych WUM
rozmawia Katarzyna Pinkosz

To nie tylko „leki na cukrzycę"

FOT. ARCHIWUM LESZKA CZUPRYNIAKA

KATARZYNA PINKOSZ: Panie profesorze, największy mit dotyczący cukrzycy to...

PROF. LESZEK CZUPRYNIAK: ... że to choroba w pełni zawiniona przez pacjenta. A skoro pacjenci są „sami sobie winni", to nie trzeba za bardzo wspierać ich leczenia.

A tak nie jest? Cukrzyca typu 2 to nie jest choroba trochę przez nas zawiniona?

Tylko częściowo. Nasz styl życia ma często wpływ na to, na które choroby zapadamy. Są jednak osoby otyłe, które nie mają cukrzycy, a są również osoby tylko z niewielką nadwagą, które chorują na cukrzycę. Nadwaga, która prowadzi do wzrostu poziomu glukozy, jest różnie przez nasze organizmy tolerowana. A dalszy ciąg tego mitu, że cukrzyca jest chorobą zawinioną, wygląda tak: „Wystarczy, żeby chory zaczął mniej jeść, a więcej się ruszać: wtedy schudnie, poziom cukru spadnie i wyleczy się z cukrzycy". Rzeczywiście, gdy osoba otyła schudnie, to poziom cukru w jej krwi spadnie. Problem polega jednak na tym, że osoby otyłe często nie mogą schudnąć, i nie jest to tylko kwestia braku silnej woli. Pojawiły się nawet sugestie ekspertów, że skuteczność odchudzania również jest genetycznie zakodowana: osoba otyła może schudnąć, ale tylko do pewnego poziomu; potem jest to bardzo trudne, nawet mimo ujemnego bilansu kalorycznego. Organizm być może ma „zakodowaną" dla siebie masę ciała i będzie oszczędzać energię, żeby za bardzo nie schudnąć. To nie jest tak proste, że jak ktoś dużo je, to tyje, gdy zaś zacznie jeść mniej, to schudnie, a cukrzyca zniknie.

Od wielu lat zajmuje się pan chorymi na cukrzycę. Czego w Polsce brakuje w leczeniu tej choroby? Niedawno powiedział pan, że właściwie wszystkiego, oprócz... pacjentów.

To prawda, w Polsce już ok. 3 mln osób ma cukrzycę. Zmiany cywilizacyjne przekładają się na wzrost zachorowalności, ponieważ sprzyjają nadwadze i otyłości. Poza tym żyjemy coraz dłużej, a długość życia jest najpoważniejszym czynnikiem ryzyka wystąpienia cukrzycy typu 2. Jeśli chodzi o leczenie w Polsce, to brakuje wszystkiego. Brakuje diabetologów: powinno ich być dwa razy więcej. Jeszcze bardziej dotkliwy jest brak pielęgniarek o specjalizacji diabetologicznej, które zajmowałyby się edukacją pacjentów. Podstawą leczenia jest styl życia: dorosłej osobie trzeba mówić, co ma jeść, jak się ruszać. Chory, który ma 40, 50, 60 lat, sam nie zmieni swoich nawyków. Cała rodzina powinna zacząć inaczej funkcjonować: spożywać inne posiłki, więcej się ruszać.

Za mało jest też w Polsce poradni diabetologicznych, gabinetów leczenia stopy cukrzycowej. Brakuje też refundacji wielu nowoczesnych leków. Co prawda od 1 maja wszedł na listę leków refundowanych nowy analog długodziałający insuliny...

To pozytywna wiadomość.

Tak, to najlepszy analog długodziałający insuliny. To świetna wiadomość dla pacjentów i bardzo ważny krok. Z niecierpliwością czekamy na kolejne. Od dawna walczymy o to, by dla pacjentów były dostępne leki, które można podawać – jeszcze przed insuliną – w cukrzycy typu 2.

Najważniejszym celem leczenia jest dziś obniżenie poziomu cukru we krwi?

Nie. Oczywiście to jest ważne, ale powiedziałbym: w różny sposób. Na

eprasa.pl cd6a0bf674

początku choroby utrzymywanie w normie poziomu cukru jest kluczowe, by nie zniszczyć naczyń krwionośnych. Gdy jednak już doszło do uszkodzenia układu krążenia, pojawił się zawał czy udar, to naczynia krwionośne wyglądają w środku jak zardzewiałe rury. Obniżenie poziomu cukru już za bardzo nie poprawi ich stanu. Bardzo ważna jest za to kontrola np. ciśnienia tętniczego, poziomu cholesterolu. Przez ostatnie 15 lat odeszliśmy od koncentrowania się tylko na obniżaniu poziomu cukru we krwi. Dbamy przede wszystkim o to, by ograniczać i eliminować czynniki, które uszkadzają naczynia krwionośne.

Dlaczego najpoważniejszymi powikłaniami cukrzycy są powikłania kardiologiczne?

Skracają życie. Zawały serca i udary mózgu występują trzy–cztery razy częściej u osób z cukrzycą, gdyż choroba niszczy naczynia krwionośne, przyspiesza miażdżycę.

Czy są leki, które ograniczają powikłania kardiologiczne?

Są dwie grupy takich leków: pierwsza to agoniści receptora inkretynowego – GLP-1, druga to flozyny. Powodują one, że chorzy z cukrzycą po zawale serca, po udarze mózgu umierają rzadziej. Dzieje się tak nie dlatego, że te leki obniżają poziom cukru – choć to też robią – tylko dlatego, że mają też wiele innych działań.

Nie są to więc tylko „leki na cukrzycę"?

Nie. Flozyny powodują utratę – wraz z moczem – cukru i sodu. Ich stosowanie musi mieć jednak też jeszcze jakieś inne, dodatkowe działanie, którego jeszcze nie potrafimy zrozumieć, gdyż tradycyjne leki sodopędne nie dają takiego efektu. Analogi GLP-1 działają w inny sposób, choć też nasilają utratę sodu z moczem. Działają bardzo skutecznie, jeśli chodzi o zmniejszenie masy ciała. GLP-1 (hormon inkretynowy) jest wydzielany przez komórki jelita cienkiego w odpowiedzi na posiłek. Podając go w zastrzykach, powodujemy, że jego stężenie we krwi rośnie kilkakrotnie. Organizm czuje się więc, jakby coś zjadł. Trochę go w ten sposób oszukujemy.

Dzięki temu chory może łatwiej schudnąć?

Tak, dlatego jeden z tych leków, w innej dawce, jest też już zarejestrowany w leczeniu otyłości (bez towarzyszącej cukrzycy). Analogi GLP-1 stosujemy zarówno, by obniżyć cukier we krwi, jak i w celu zmniejszenia masy ciała chorego na cukrzycę, a jednocześnie leki mają działanie kardioprotekcyjne. Flozyny zaś zalecamy jednoznacznie pacjentowi, gdy ma już rozwinięte powikłania naczyniowe, choć i one oczywiście obniżają cukier we krwi i sprzyjają utracie masy ciała.

Różnice pomiędzy tymi lekami są trzy. Pierwsza: flozyny są w tabletkach, analogi GLP-1 podaje się podskórnie, tak jak insulinę. Druga różnica to cena – obie grupy są nierefundowane, za flozyny pacjent dziś płaci 100–120 zł na miesiąc, a za analogi GLP-1 czterokrotnie więcej. Trzecia: efekt kardioprotekcyjny flozyn zaczyna być widoczny już po kilku tygodniach, a w przypadku analogów GLP-1 po dłuższym czasie, co najmniej po roku. Musimy z góry założyć, że chory będzie przyjmował je długo; zresztą obie grupy tych leków powinny być stosowane przewlekle.

W najnowszych zaleceniach leczenia cukrzycy z października 2018 r. Amerykańskiego oraz Europejskiego Towarzystwa Diabetologicznego pozycja tych leków jest taka sama.

Kiedy powinno się je podawać?

Zaleca się ich podawanie jako drugiego leku, jeśli pierwszy (metformina) przestaje być skuteczny. Jest rzeczą wprost nieetyczną niestosowanie tych leków u osoby z cukrzycą typu 2, która jednocześnie jest po zawale, udarze, ma niewydolność serca, miażdżycę czy umiarkowaną niewydolność nerek.

Co roku w Polsce umiera 18 tys. osób z cukrzycą z powodu powikłań sercowo-naczyniowych. Te leki mogłyby część z tych osób uratować?

Absolutnie tak. Te leki wydłużają życie. Chorzy, którzy je stosują, umierają rzadziej.

Jak przekonałby pan, że warto te leki refundować? Decydenci tłumaczą, że wydatki na leczenie cukrzycy i tak są duże...

A jest jakaś granica wydatków na chorobę? Jeśli cukrzyca dotyczy 8 proc. populacji, jednej czwartej osób po 60. roku życia, jest przewlekła i nieuleczalna, to jak wydatki mają być małe? Trzeba na to spojrzeć szerzej. To leki, które gwarantują utrzymanie stanu zdrowia. Zmniejszają ryzyko zawału, udaru, niewydolności serca, niewydolności nerek. Dzięki ich stosowaniu w perspektywie 10 lat system ochrony zdrowia będzie miał oszczędności, gdyż osoby z cukrzycą będą żyły dłużej, nie będą miały zawału serca, udaru mózgu, nie będą musiały być hospitalizowane z powodu zaostrzenia niewydolności serca, nie będą musiały być dializowane. To ogromne oszczędności. Gdy chory po udarze staje się niesprawny i niesamodzielny, wtedy faktycznie pojawiają się ogromne koszty. Myślenie tylko o pieniądzach wydawanych tu i teraz jest błędne. Mamy leczyć zgodnie z aktualną wiedzą i zastanowić się, co zrobić, by to leczenie było dostępne. Można oczywiście określić grupy chorych, którzy najbardziej skorzystaliby dzięki tym lekom, i im przede wszystkim ułatwić do nich dostęp.

Dla których chorych te leki powinny być w pierwszej kolejności refundowane?

Analogi GLP-1 powinni dostawać przede wszystkim chorzy z cukrzycą typu 2 i znaczącą otyłością (np. o wskaźniku masy ciała BMI powyżej 35), zwłaszcza – choć nie tylko – gdy mają powikłania sercowo-naczyniowe. W przypadku chorych z otyłością po zawale serca czy udarze mózgu to wprost konieczne. Są różne możliwości refundacji: np. w Anglii refundowano główny lek z tej grupy przez pół roku, a potem sprawdzano, czy u chorego obniżył się poziom cukru i czy zmniejszyła się masa ciała. Jeśli te dwa warunki były spełnione, to przedłużano refundację leku dla chorego.

To motywowało pacjenta do dbania o siebie.

Tak, to nakładało na niego obowiązek stosowania się do naszych zaleceń. Zawsze mówimy, że nie tylko trzeba przyjmować leki, lecz także zmienić tryb życia: redukować liczbę spożywanych kalorii, być aktywnym fizycznie.

Jeśli zaś chodzi o leki z grupy flozyn, to przede wszystkim redukują one ryzyko sercowo-naczyniowe, czyli w pierwszej kolejności powinny je przyjmować osoby po zawale, udarze, z miażdżycą. Refundacja przyniesie oszczędności, bo np. zmniejszy się ryzyko zawału, udaru, częstość hospitalizacji z powodu niewydolności serca.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Leszek Czupryniak – specjalista chorób wewnętrznych i diabetologii, kierownik Kliniki Diabetologii i Chorób Wewnętrznych CSK WUM, były prezes Polskiego Towarzystwa Diabetologicznego.

eprasa.pl cd6a0bf674

JACEK KOMUDA

GRZECHY PIASTÓW

Zakon księcia Konrada

Konrad, książę na Mazowszu i Kujawach, syn Kazimierza Sprawiedliwego, nie ma dobrej opinii wśród historyków. Przez całe życie walczył o zdobycie dzielnicy krakowskiej, poświęcając interesy Mazowsza i całości ziem Polski, wielokrotnie bity przez Henryka Brodatego, a w czasach późniejszych, po najeździe Mongołów – przez Świętopełka gdańskiego i zwolenników Bolesława Wstydliwego. Mimo że wspierały go posiłki z Rusi, Krakowa nie udało mu się zdobyć, chociaż, jak podaje jego biograf Józef Mitkowski, zbudował w okolicy kilka grodów, takich jak Piekary koło Tyńca czy Lelów. Konrad sprowadził Krzyżaków, czym ściągnął na głowy potomnych niebezpieczeństwo, gdy zakon uniezależnił się, podbił Prusy i zaczął prowadzić antypolską politykę.

Mało kto jednak wie, że książę już wcześniej zaangażowany był w ustanowienie pierwszego zakonu rycerskiego na ziemiach naszego kraju. Tradycja nie była nowa – już Henryk Sandomierski zaprosił nad Wisłę joannitów. Teraz jednak, po klęsce krucjat przeciwko Prusom w latach 1222 i 1223 i napadach na Mazowsze, książęta piastowscy wsparli Chrystiana, opata pierwszego klasztoru w Prusach, który po sukcesach w chrystianizacji w Pomezanii i ziemi lubawskiej wyświęcony został przez papieża na biskupa. Postulował on, jak podają Marian Biskup i Gerard Labuda, aby powołać na pograniczu pruskim straż (tzw. stróżę) złożoną z rycerzy zakonnych zorganizowanych na wzór kawalerów mieczowych z terenów późniejszych Inflant.

Już w 1228 r. Chrystianowi udało się ściągnąć nad Wisłę zastęp 15 rycerzy z mistrzem Brunonem na czele. Konrad Mazowiecki nadał im gród Dobrzyń i należące do niego włości między rzeczkami Kamienicą i Chełmienicą. Oficjalnie występowali oni jako: „Milites Christi, fratres de Dobrin, milites Christi de Prussia", a potocznie jako bracia dobrzyńscy lub dobrzyńcy. Historycy sądzili początkowo, że był to zakon złożony z Polaków. Później okazało się, że w skład pierwszej grupy wchodziło rycerstwo z Dolnej Saksonii i Meklemburgii. Gerard Labuda uważa, że mogło być wśród nich wielu rycerzy pochodzenia słowiańskiego – zwłaszcza z Meklemburgii – co oznaczało, że bez trudu dogadywali się z Polakami.

FOT. WIKIPEDIA

Bracia dobrzyńscy nie zdziałali wiele przeciwko Prusom, nie dali się jednak rozbić jak poprzednie stróże, zorganizowane z rycerzy kujawskich i wielkopolskich. Działali w Dobrzyniu do roku 1235, kiedy ich część połączyła się z Krzyżakami, z którymi Konrad Mazowiecki wiązał o wiele większe nadzieje. Jeszcze bowiem przed założeniem zakonu w Dobrzyniu książę prowadził rozmowy z Zakonem Szpitala Niemieckiego Najświętszej Marii Panny w Jerozolimie, zawierając z nimi w lutym 1226 r. porozumienie, w którym w zamian za obronę Mazowsza oddawał im w lenno ziemię chełmińską. Potwierdził to w roku 1228, a dwa lata później, kiedy zakon dobrzyński już działał, Krzyżacy pojawili się w Prusach, w nadanej im przez księcia Nieszawie.

Założenie zakonu dobrzyńców i sprowadzenie Krzyżaków nie były jedynymi próbami osadzenia zakonów rycerskich przez książąt piastowskich. Dokładnie w tym samym czasie książę Świętopełk Gdański założył w Tymawie filię Zakonu Rycerskiego Kalatrawy z Hiszpanii, jednak po kilku latach znikła bez śladu. Jeszcze wcześniej, bo w 1198 r., książę Grzymisław osadził w Lubiszewie i Skarszewach zakon joannitów, jednak nie wzięli oni udziału w podboju Prus.

Losy braci dobrzyńców, obdarowanych ziemią przez księcia Konrada, nie zakończyły się jednak w roku 1235, kiedy to większość z nich połączyła się z Krzyżakami. Jeśli wierzyć dokumentom niemieckim opublikowanym przez Ignacego Daniłowicza w 1860 r., Konrad Mazowiecki podarował mistrzowi Hermanowi i tym braciom, którzy nie chcieli się podporządkować Krzyżakom, Drohiczyn nad Bugiem, przenosząc ich na pogranicze rusko-jaćwiesko-mazowieckie. Stało się to w roku 1237, a zakonnicy przetrwali tam tylko rok, wkrótce bowiem ponieśli znaczną klęskę z rąk księcia Daniela Halickiego. Ostateczny cios zadali prawdopodobnie Tatarzy, paląc w 1241 r. zbudowany przez nich kościół razem z całym miastem.

Być może w owych czasach zakon ów stawał się bardziej polski, ostatni jego ślad pochodzi bowiem z 1248 r. Była nim odnaleziona w 1785 r. pod dębem w Drohiczynie płyta z epitafium rycerza Henryka z Żygocina, ostatniego mistrza dobrzyńców. Należy jednak podchodzić do tego znaleziska ostrożnie, wiek XVIII bowiem słynął nie tylko z ogromnego zainteresowania archeologią, lecz także z fabrykowania rzekomych zabytków archeologicznych wzbogacających miejscowe legendy. ©℗

eprasa.pl cd6a0bf674

SYCYLIJSKA PRZEKĄSKA OD STEFANO TERRAZZINO

Panelle to prosta przekąska znana we Włoszech od wieków. Tradycja ich przyrządzania narodziła się na Sycylii. Jest to rodzaj placków z mąki z ciecierzycy z dodatkiem pietruszki, choć proponuję ją zastąpić aromatycznymi nasionami kopru włoskiego. To doskonała przekąska na spotkanie ze znajomymi (kiedy podaje się ją jak chipsy) albo sycące danie (gdy serwujemy je w sezamowej bułce). Panelle nauczyła mnie robić babcia i przygotowuję je do dziś, zwłaszcza wtedy, gdy zapraszam do siebie przyjaciół.

Sycylijskie panelle

Składniki:

- 200 g mąki z ciecierzycy
- 600 ml wody
- 3 łyżki nasion kopru włoskiego lub pietruszki
- czarny pieprz
- szczypta soli
- olej z orzechów ziemnych (do smażenia)
- bułeczki sezamowe
- sok z cytryny

Przygotowanie:

W rondlu mieszamy mąkę, szczyptę soli i pieprzu oraz wodę. Gotujemy, ciągle mieszając, aż mieszanka zgęstnieje. Dodajemy posiekane nasiona kopru włoskiego i mieszamy ponownie. Wykładamy zawartość rondla na arkusz pergaminu i nakrywamy drugim arkuszem. Rozwałkowujemy na grubość ok. 3 mm. Po wystygnięciu kroimy na prostokątne kawałki wielkości mniej więcej herbatników. Następnie smażymy je w dużej ilości oleju z orzechów ziemnych, aż staną się złociste i chrupiące. Po usmażeniu odsączamy z tłuszczu ręcznikiem papierowym i posypujemy solą. Możemy podawać albo jako samodzielną przekąskę przypominającą chipsy, albo w bułkach sezamowych z dodatkiem odrobiny soku z cytryny. ©℗

oprac. raw

Stefano Terrazzino jest tancerzem, choreografem, wokalistą i aktorem.

FOT. ARCHIWUM STEFANO TERRAZZINO

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

JOANNA BOJAŃCZYK

Indukcja czy gaz?

Sprzętu AGD nie wymienia się często, chociaż i tak częściej niż dawniej, bo wszyscy jesteśmy ofiarami tzw. planned obsolescence, czyli złośliwej polityki projektowania elektroniki tak, żeby szybko się psuła. W każdym razie płyty kuchennej czy piekarnika nikt nie wymienia dla estetyki, szybkości czy też uroku nowego modelu. Jednak kiedy już znajdziemy się na tym etapie, nie uciekniemy od pytania: „Indukcja czy gaz?".

Pamiętam, że w latach 70. odwiedził nas pewien Norweg, który na widok naszej kuchni gazowej w bloku zakrzyknął z zachwytem: „Gaz! Jakie to romantyczne!". U nich gotowało się już tylko elektrycznie, ale nas romantyczna aura wtedy niezbyt zachwycała. A dzisiaj kuchnie gazowe powoli przechodzą do kategorii „romantycznej". Wszyscy chcą gotować szybko i czysto, czyli na indukcji. Od paru lat mam taką kuchnię i nie chciałabym wrócić do starego systemu. Przede wszystkim szybkość! Jeśli ktoś ma zwyczaj zostawiania patelni do nagrzania na płycie, żeby w tym czasie napisać SMS, to lepiej od razu wezwać straż pożarną. Takie rzeczy można robić na gazie, nie na indukcji. Tutaj naczynia nagrzewają się błyskawicznie. Mało tego – także zmniejszenie mocy grzania z powiedzmy 9 do 3 skutkuje natychmiastową reakcją. Płyta indukcyjna nie ma bezwładu, tak jak klasyczna elektryczna.

Dno naczyń nagrzewa się na skutek szybkozmiennego pola magnetycznego generowanego przez specjalne cewki. Działa ono tylko na pole grzewcze, cała płyta pozostaje zimna, dzięki czemu istnieje minimalne ryzyko poparzenia się w wyniku dotknięcia płyty. Ważne przy dzieciach. Na kuchni indukcyjnej używać można tylko naczyń ferromagnetycznych. Dzisiaj nie jest to problem, są one coraz bardziej rozpowszechnione, Ikea na przykład już ma większość garnków i patelni dostosowanych do indukcji.

Powstaje jednak pytanie: Czy to jest zdrowe? To samo zresztą, które stawiamy sobie przy komórkach, kuchniach mikrofalowych i całej elektronice, której mamy coraz więcej. Elektryczność miała być źródłem czystej energii, przynajmniej u zarania – wtedy, kiedy wchodziła do powszechnego użycia. Dzisiaj musimy uważać na nadmierną ekspozycję na niebezpieczne częstotliwości promieniowania elektromagnetycznego.

FOT. ADOBE STOCK

Jednak eksperci mówią, że pole magnetyczne może być szkodliwe tylko wówczas, gdy będziemy używać kuchenki przez ok. 8 godz. dziennie przez dłuższy czas. Nie należy również za bardzo pochylać się nad płytą. Stanie koło niej w odległości ok. 30 cm jest całkowicie bezpieczne. ©℗

eprasa.pl cd6a0bf674

NAJSZYBSZY KABRIOLET ZE STAJNI ASTONA MARTINA

Tylko 3,6 s do pierwszej setki i zaledwie 6,7 s od zera do 161 km/godz. – takim przyspieszeniem może pochwalić się DBS Superleggera Volante. Najnowsze dzieło legendarnego brytyjskiego producenta potrafi rozwinąć prędkość aż 340 km/godz. I to ze złożonym dachem. Za osiągi auta odpowiada podwójnie doładowany silnik V12 o pojemności 5,2 litra, o mocy 715 koni mechanicznych i maksymalnym momencie obrotowym wynoszącym aż 900 Nm. Moc przenoszona jest na koła za pośrednictwem 8-biegowej skrzyni automatycznej. Auto jest dostępne w niemal 50 kolorach nadwozia. Dach można składać i rozkładać automatycznie – również podczas jazdy z prędkością do 50 km/godz. – a cała procedura zajmuje mniej niż 15 s. Cena: 1,27 mln zł. Pierwsze dostawy planowane są na drugą połowę obecnego roku.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

NAJBARDZIEJ LUKSUSOWE AUTO ŚWIATA

Jury składające się z 86 członków z 24 krajów świata przyznało tytuł najbardziej luksusowego samochodu – „2019 World Luxury Car" – modelowi A7 Sportback. To kolejne z rzędu tego typu wyróżnienie dla Audi – w 2018 r. tytuł ten przypadł limuzynie A8. Rok wcześniej w tym rankingu triumfował Mercedes-Benz ze swoją limuzyną klasy E.

Jacek Przybylski

PIERWSZY MINIVAN OD LEXUSA

Nowoczesna stylistyka nadwozia, przestronna kabina i komfortowe, rozkładane oraz wentylowane fotele niczym z saloniku dla VIP-ów – to jedne z największych zalet zaprezentowanego na targach w Singapurze Lexusa LM. Pierwszy minivan tej japońskiej marki występuje w dwóch wariantach: cztero- i siedmioosobowym. Kierowcę i pasażerów w pięciometrowym samochodzie oddziela przegroda, w którą wkomponowano 26-calowy ekran. Oprócz tego auto jest wyposażone w drogi system nagłośnieniowy, chłodziarkę na napoje oraz specjalne miejsce na parasolki. Sprzedaż ma ruszyć w przyszłym roku. Cena nie jest jeszcze oficjalnie znana, ale prawdopodobnie będzie zbliżona do równowartości 400 tys. zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (5)

eprasa.pl cd6a0bf674

Zapraszamy na uroczystą galę z okazji
6-lecia Telewizji Republika
9 maja 2019, godz.19:00

na antenie Telewizji Republika

6 LAT TELEWIZJI REPUBLIKA

REPUBLIKA

eprasa.pl cd6a0bf674

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Ruchy majowe

Pośród wielu ważnych rocznic zbliża się stulecie podpisania w Wersalu (28 czerwca 1919 r.) traktatu pokojowego „mocarstw sojuszniczych i państw stowarzyszonych" z Niemcami. Dla nas traktat kończący wielką wojnę, choć nie spełniał wszystkich naszych postulatów terytorialnych (bolesna utrata Gdańska, plebiscyty na Warmii, Mazurach i na Górnym Śląsku), był jednak potwierdzeniem w świetle prawa międzynarodowego powrotu Rzeczypospolitej do grona niepodległych państw. Nieprzypadkowo wszyscy wrogowie naszej niepodległości będą ją wiązać właśnie z ładem wersalskim. Dość wspomnieć słowa szefa sowieckiej dyplomacji Wiaczesława Mołotowa, który po dokonanym wespół z Rzeszą Niemiecką rozbiorze Polski we wrześniu 1939 r. nazywał nasz kraj pokracznym bękartem traktatu wersalskiego.

Zanim traktat podpisano, w Paryżu trwała – od 18 stycznia 1919 r. – konferencja pokojowa. Tam w gronie pięciu zwycięskich mocarstw (USA, Wielka Brytania, Francja, Włochy, Japonia) zapadały najważniejsze decyzje. Po raz pierwszy w dziejach XX w. wielkie nadzieje skupiały się na osobie amerykańskiego prezydenta Woodrowa Wilsona. Jego przybycie do Europy w grudniu 1918 r. (pierwszy urzędujący prezydent USA odwiedzający Stary Kontynent) wywołało euforię wśród Francuzów, Brytyjczyków i Włochów. Podróż Wilsona po tych krajach była pochodem triumfalnym „nowego Mojżesza", a nawet „nowego Mesjasza", jak pisała prasa po obu stronach Atlantyku. Wierzono, że zapowiadana przez Wilsona „nowa dyplomacja", daleka od „starej, reakcyjnej", naprawdę przyczyni się do „zakończenia wszystkich wojen".

Te wielkie oczekiwania miały charakter globalny. W Chinach, które do wielkiej wojny po stronie ententy weszły w 1917 r., widziano w amerykańskim prezydencie gwaranta powstrzymania japońskiej zaborczości. Niektórzy członkowie chińskiej delegacji na paryskiej konferencji pokojowej porównywali Wilsona do Konfucjusza. Ale taki był nastrój w całych Chinach. Tym większe było rozczarowanie, gdy 4 maja 1919 r. zwycięskie mocarstwa przystały na żądania swojego japońskiego sojusznika i zgodziły się na faktyczną aneksję przez Tokio chińskiego portu Kiaoczou (do 1914 r. pod niemiecką administracją) i całej okolicznej prowincji Szantungu.

Na wieść o tych ustaleniach w całych Chinach odbyły się wielkie demonstracje antyjapońskie i antyamerykańskie. Jedne z największych zorganizowali studenci na pekińskim placu Tiananmen. Tak rodził się w Państwie Środka Ruch 4 Maja, czyli program chińskiego odrodzenia narodowego w równym stopniu naznaczony nienawiścią do Japonii, jak i poczuciem zdrady ze strony Zachodu, a konkretnie Stanów Zjednoczonych. „Nowy Konfucjusz" okazał się „zdrajcą". Na znak protestu chińska delegacja opuściła Paryż, a Państwo Środka nie znalazło się w gronie sygnatariuszy traktatu wersalskiego.

Trzy dni po decyzjach w sprawie Chin alianci przedstawili delegacji niemieckiej warunki traktatu pokojowego. Od jesieni 1918 r. Niemcy „z pamięci recytowali 13 punktów orędzia prezydenta Wilsona" (H. Kissinger). Również nad Sprewą pokładano wielkie nadzieje, że w imię zasady samostanowienia narodów Wilson nie dopuści np. do „aneksji" przez Polskę takich „rdzennie niemieckich ziem" jak Wielkopolska i Pomorze Nadwiślańskie.

Stało się inaczej. W ten sposób także w Niemczech amerykański prezydent stał się „szarlatanem" i „oszustem", a przez całą Rzeszę przeszedł wielki protest przeciw „próbie zamknięcia wielkiego narodu w żelaznej klatce". Tak rozumiany „ruch 7 maja" zjednoczył całą, bardzo podzieloną niemiecką scenę polityczną – od komunistów i socjaldemokratów po nacjonalistów i monarchistów. Dołączyli nawet przywódcy niemieckiego ruchu pacyfistycznego na czele z laureatem Pokojowej Nagrody Nobla Alfredem Friedem.

Zawiedzione nadzieje Chińczyków nie były wielkim problemem dla odradzającej się Polski. O wiele gorzej było w przypadku zjednoczonych w swoim sprzeciwie wobec „hańby Wersalu" Niemców. To nie Hitler wymyślił ten zwrot i nie on jako pierwszy głosił antypolonizm. Podpałka była już gotowa wcześniej – w demokratycznych, republikańskich Niemczech.

On tylko ją zapalił. ©℗

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl cd6a0bf674

OKIEM JASTRZĘBIA

Z Tysonobieniuka nauka

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Wszystko parszywieje. Nawet świntuchem być coraz trudniej, bo się wyda i się robią trąbienia z oburzenia. Wszędzie trąbią, trąbole, jakby im się nie zdarzyło palców po pączku oblizać czy coś. Kiedyś to można było być anonimowym świntuchem z rozmachem. Dłoń można było oblizać. A dziś? Wszędzie trąbią. Wszystko parszywieje.

Zmieńmy jednak temat. Jarkowi Bieniukowi maleje. Media podały, że mu po tym wszystkim maleje i że mu jeszcze zmaleje. Niedobrze. Jarek Bieniuk to jest taki bardzo fajny facet, który był piłkarzem i mężem nieodżałowanej aktorki Anny Przybylskiej. Naprawdę kulturalny, pozywał mnie do sądu, to złego słowa o nim nie powiem. W dobrym stylu mnie pozywał. Teraz przeżywa ciężkie chwile, bo poszedł do apartamentu z taką dziewczyną, która chyba mu chciała zrobić klasycznego sądowego Tysona, ale to nie wiadomo, jak było. Ona go oskarżała, że zgwałcił ją ze szczególnym okrucieństwem, ale prokuratura się nie dopatrzyła, że zgwałcił ani ze szczególnym, ani z okrucieństwem. Zastrzegam, że nie wiem, jak było, ale dziewczyny, które idą z dorosłymi facetami, jak się leje biały z nieba pył, to powinny być ostrożniejsze. Chyba że im właśnie o to chodzi, żeby po bandzie?

Pan prokurator postawił Jarkowi zarzut, że on jakieś psychoaktywne coś udostępniał, ale Jarek mówi, że nie. Coś musiał przecież prokurator postawić, bo ma swoje normy prokurator i dla prokuratora niewinny człowiek to albo wyrzut sumienia, albo bezrobocie. Niewinny człowiek to dla prokuratora jest podejrzany. Dał więc Jarek 20 tys. prokuratorom na przechowanie w formie kaucji i wolnościuje sobie. I mu teraz maleje. Media doniosły, to wiem. Wartość reklamowa mu maleje, bo przecież zawsze coś się tam do wizerunku przyczepi z tego spotkania z tą panią, a jemu akurat nie zależało na takim wizerunku, tylko na innym. No cóż. Każdy jest odpowiedzialny za swój wizerunek, na który ma wpływ tyle o ile. Jak więc się ustrzec przed takimi zdarzeniami? W domu siedzieć grzecznie?

Znam też historię Tysona. Tak mi się skojarzyło. Mike twierdzi do dziś, że nie zgwałcił 18-latki, która sama przyszła mu do hotelowego pokoju w nocy, i że chodziło o wyciągnięcie pieniędzy. Tyson spędził w więzieniu trzy lata, bo się dobrze sprawował. Jak wyszedł, to już nie był ten sam Tyson. Taka ciekawostka, że on przehulał 400 mln dol.

Miałem jednak taki tydzień w swoim życiu, że nie mogłem się zdecydować, czy bardziej imponuje mi Mike Tyson, czy jednak twardziel Brad Pitt. Otóż Tyson przyłapał Pitta z własną żoną w łóżku. Kozak ten Pitt. Wyobrażają sobie państwo te zastrzyki adrenaliny w sercu i mózgu Brada, jak leciał do niego Mike? Prawdopodobnie Brad przeżył, bo zagrał potem jeszcze w kilku filmach. Chyba że najęli sobowtóra. Jaka więc, kochani państwo, płynie dla nas nauka z Tysonobieniuka? Carpe diem, proszę państwa, bo żaden dzień się nie powtórzy. ©℗

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Banany wolności

MARCIN MAKOWSKI

Kto by pomyślał, że banan stanie się kiedyś w Polsce symbolem wolności? A jednak, gdzieś obok loch prośnych, Puszczy Białowieskiej i adoptowanych przez aktorki pszczół to właśnie ów tropikalny owoc został na weekend opornikiem III Rzeczypospolitej. Zaczęli go jeść wszyscy: od Róży Thun i Michała Szczerby przez Kubę Wojewódzkiego, Anję Rubik i Michała Żebrowskiego do Magdaleny Cieleckiej i Mai Ostaszewskiej. Hashtag #bananaselfie zalał polski Instagram, gdzie konsumpcję potraktowano w sposób twórczy i przekorny. Banan jako pistolet przystawiony do głowy, banan – wałki do włosów, banan – mikrofon, banan – telefon, banan rozumiany jako owoc pożądania, z całą paletą min i póz, wkładany do ust.

Wszystko w geście protestu przeciw wycofaniu w piątek 26 kwietnia z Galerii Sztuki XX i XXI Wieku w Muzeum Narodowym w Warszawie prac dwóch artystek – Natalii LL i Katarzyny Kozyry. Ponieważ ta druga („Pojawienie się Lou Salomé") przedstawiała femme fatale z dwoma psami o twarzach Friedricha Nietzschego i Paula Rée i była zbyt trudna do inscenizacji, skupiono się na „Sztuce konsumpcyjnej" z 1975 r. W końcu na prezentowanej w muzeum serii fotografii nie było niczego więcej niż półnagiej kobiety, która dwuznacznie spożywała cenne źródło potasu.

A ponieważ dyrektor muzeum Jerzy Miziołek, obok chęci przemeblowania ekspozycji, swoją decyzję argumentował również uchronieniem młodzieży od zgorszenia, środowisko lewicowo-liberalne wybuchnęło śmiechem. „Prawicy wszystko się z seksem kojarzy, nawet jedzenie banana" – odbijało się echem po mediach społecznościowych. Odbijało aż do momentu, w którym ktoś wkleił towarzyszące fotografiom nagrania wideo, na których artystka wykorzystywała banana do różnych czynności, ale w ostatniej kolejności do jedzenia. Żeby wzorem dyrektora Miziołka nie wodzić państwa na pokuszenie, dodam tylko, że kleik bananowy, który pod koniec wylewał się z kącików ust performerki, w sposób adekwatny do całości wieńczył to wspaniałe i odkrywcze dzieło.

Cóż, jak nietrudno było przewidzieć, po międzynarodowym rabanie przeprowadzonym pod patronatem Hufców Opozycji im. Krystyny Jandy dyrektor się ugiął, w poniedziałek dzieła do ekspozycji przywrócił, zostawiając tych, którzy umawiali się w poniedziałek na protest bananowy, jak Himilsbacha z angielskim. Tylko po co to wszystko było? Co do debaty publicznej wniosło? Jak już baba z bananem trafiła do Narodowego, trzeba ją było przesunąć w jakiś ciemny kąt bez zbędnego gadania i zostawić. A tak spełniono odwieczne marzenie marnych artystów – zabroniono czegoś, na co i tak nikt nie miał ochoty, czyniąc z banana zakazany owoc. Po kiego grzyba? ©℗

eprasa.pl cd6a0bf674

OKIEM BLOGERKI

Sadurski zwalnia Manna

KATARYNA

WOJCIECH SADURSKI: ***Nowa ustawa o mediach publicznych, od 1 grudnia 2019: Art. 1 „Warunkiem zatrudnienia w mediach publicznych jest pomyślne zdanie konkursu oraz przedłożenie zaświadczenia o niekaralności i niepracowaniu w TVP, Polskim Radio i ich jednostkach organizacyjnych w latach 2016–2019".***

Po nieudanym odpaleniu Obywatelskiego Trybunału Stanu – pamięta ktoś jeszcze ten kuriozalny pomysł? – który miał być formą trybunału ludowego do osądzenia rządów PiS, Wojciech Sadurski wziął się do porządkowania mediów publicznych. Na razie napisał pierwszy artykuł nowej ustawy o mediach publicznych, ale już jest obiecująco, bo ustawa Sadurskiego wyczyściłaby media publiczne nie tylko z tych, pod których jest pisana, lecz także z otwarcie antypisowskich gwiazd, takich jak choćby Wojciech Mann. O wszystkich pracownikach administracyjnych i technicznych nie wspominając. Wszystkich ich dosięgłaby zemsta teoretycznego demokraty, choć ich jedyną winą było pracowanie w zawodzie w czasach, w których zdaniem Sadurskiego powinni „zmienić pracę, wziąć kredyt". Według ustawy Sadurskiego w mediach publicznych nie byłoby więc miejsca dla Wojciecha Manna, ale już np. Jerzy Urban mógłby dostać swój program, bo nim się jakoś niespecjalnie brzydzą ci, którym przeszkadza propaganda uprawiana przez obecne „Wiadomości".

Wojciech Sadurski chciałby nie tylko odpowiedzialności zbiorowej, lecz także zbiorowej egzekucji

Sama uważam, że po prawdziwej, a nie tej ujętej w cudzysłów, dobrej zmianie w TVP nie będzie tam miejsca dla obecnej ekipy „Wiadomości" oraz kilku autorów innych programów, ale wcale nie za to, gdzie i kiedy pracowali, ale za to, co tam robili. I wyłącznie za to, co jest ich osobistą odpowiedzialnością. Wojciech Sadurski chciałby nie tylko odpowiedzialności zbiorowej, lecz także zbiorowej egzekucji, i bardzo jestem ciekawa, co na ten temat sądzą ci wszyscy, którzy się regularnie podpierają jego mądrościami w kwestii konstytucji, demokracji i rządów prawa. Czy to już ten etap, kiedy udajemy, że nie dostrzegamy, jak bardzo niebezpieczne totalitarne pomysły zaczynają się rodzić w co bardziej rozpalonych antypisowskich głowach?

Nie mam wątpliwości, że kariery wielu gwiazd obecnej TVP będą w niej nie dłuższe niż rządy PiS, bo nigdy nie powinny do mediów publicznych trafić. Jednak nie mam też wątpliwości, że jak już nowa miotła ich wymiecie, zostaną zastąpieni równie zaangażowanymi, choć pewnie bardziej subtelnymi propagandystami nowej władzy, bo taka jest logika polskiej polityki. Ta sama, która nie pozwala teraz etatowym obrońcom rządów prawa skrytykować Sadurskiego za zamordystyczne i niezgodne z żadnymi demokratycznymi standardami pomysły. Jest nasz, naszym wolno więcej. A na pewno co najmniej tyle samo. ©℗

PODSŁUCHANE

Uczciwa wygrana

Piotr, tak się zastanawiam... Może by jeszcze jakiś numer wykręcić?
Jarek, daj spokój. I tak już ze mną wygrałeś z tymi bananami.

A trzeba było starszego kolegi słuchać. Jak mówiłem, że zaczną wszyscy wsuwać banany szybciej niż po tygodniu, to mówiłeś, że przecież takimi durniami nie są. Masz to wino?
No mam... Takie, jak chciałeś. Uczciwie wygrałeś.

To może jeszcze coś? Jakbym tak na przykład z Ardanowskim pogadał, żeby zrobić jakiś narodowy program likwidacji nadmiaru populacji gołębi...
Ale co – myślisz, że zaczną gołębie adoptować? Fakt, kiedyś Szejnfeld pisał, że mu gołębica jaja na balkonie złożyła, strasznie był dumny.

Moment, czekaj. Likwidacja nadmiaru gołębi, ale dlaczego? Co? Jak myślisz?
Bo choroby roznoszą?

E tam, choroby. Bo... No wiesz, robią na wszystko.
No i co twoim zdaniem będzie?

Mogę się z tobą znowu założyć o dobre winko, że najdalej po pięciu dniach cała ta menażeria będzie paradować z ptasim łajnem na głowach. Zakład?
O nie! Znowu wygrasz. Weź innego naiwniaka tym razem. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Pruchnik, Podkarpacie, stolica powiatu – Jarosław, zamieszki antysemickie w 1918 r. W ostatnich wyborach 69 proc. głosów oddanych na PiS. A wnioski Państwo wyciągną sobie sami".

TOMASZ LIS, *publicysta, na Twitterze*

eprasa.pl cd6a0bf674

Oszczer

fot. Jerzy Gumowski

8 maja (środa) to dzień św. Stanisława, patrona Polski. Nie poświęcałbym temu felietonu, gdyby przed miesiącem na tych łamach nie opublikowano wstrętnego, pomówieniowo–kalumnijnego tekstu Jacka Komudy, który był czymś tak obrzydliwym, że Redakcja winna przeprosić Czytelników. Paszkwil nosił tytuł: **„Święty gromi króla sodomitę”**, i prezentował jako pewnik kłamstwo, iż biskup Stanisław ze Szczepanowa piętnował króla Bolesława II Śmiałego vel Szczodrego m.in. za to, że ten był pederastą i zoofilem seksualnym.

Mający miejsce w XI wieku konflikt pomiędzy królem a biskupem krakowskim doczekał się ogromnej bibliografii. Jego szczegółów nie znamy wskutek zaniku świadectw i dokumentów współczesnych wydarzeniom lub bliskich im chronologicznie, co otwiera pole ekstremalnym spekulacjom. Wciąż aktualna pozostaje diagnoza z przedwojennej **„Encyklopedii Gutenberga”**: *„Wszystko co nauka polska dotąd na ten temat powiedziała jest, z braku źródeł, hipotezą”* (1931). Wśród historyków dominuje dzisiaj pogląd zaprezentowany (1904) w rozprawie wybitnego badacza, Tadeusza Wojciechowskiego — że biskup, spiskujący przeciwko królowi z wrogiem zewnętrznym (Czesi i Niemcy) oraz wewnętrznym (możnowładcy, których gniewał autorytaryzm króla, jego ekspansywna polityka międzynarodowa tudzież ekonomiczna, m.in. monetarna), został skazany na śmierć i stracony wyrokiem sądu królewskiego, nie bez partycypacji sądu kościelnego, gdyż gnieźnieńskie arcybiskupstwo kontrkrakowsko wspierało monarchę (prof. Jerzy Lesław Wyrozumski: *„Współczesna Gallowi Anonimowi bulla papieska wspomina o skazaniu w Polsce biskupa przez czy przy udziale arcybiskupa gnieźnieńskiego”*, 1978). Komuda wolał jednak zawierzyć fałszywej propagandzie kościelnej krakowskiej, dawno już zdezawuowanej pracami bezstronnych uczonych.

W trwających 200 lat polemikach o *„sprawę świętego Stanisława i króla Bolesława”* wziąłem udział kilka dekad temu, rozdziałem książki **„Wyspy bezludne”** i dużą publikacją na łamach **„Przekroju”**. Broniłem Śmiałego, który jest jednym z ulubionych polskich władców nie tylko moich, mógłbym przywołać legion jego wielbicieli będących zawodowymi komentatorami naszych dziejów — od średniowiecznego kronikarza Galla, chwalącego *„wieloraką zacność”* Bolesława, po historyka Dariusza Baliszewskiego, który słusznie zwie tego monarchę *„znakomitym władcą”* (2008) — i mógłbym też akcentować jego ogromne zasługi dla Kościoła Rzymu (niejeden historyk uważa, że miano *„Odnowiciel”* należało się Bolesławowi bardziej niż jego ojcu Kazimierzowi, gdyż przywrócił na ziemiach polskich chrześcijaństwo zniszczone wcześniej tzw. *„reakcją pogańską”*, budował liczne klasztory i świątynie, etc.). Ponieważ byłem wówczas znaną figurą publiczną, Kościół gniewnie skontrował moje antyStanisławowe/proBolesławowe teksty. Lecz nawet ksiądz Kazimierz Bukowski, który mitygował mnie wtedy obszernie na łamach **„Przeglądu Katolickiego”** (nr 30/1988) pisząc: *„Łysiak, gdyby mógł, kanonizowałby króla Bolesława Śmiałego zamiast biskupa Stanisława!”* — kilkakrotnie nazwał Bolesława *„władcą wybitnym”*, królewski zatarg z biskupem określił jako *„sprawę niejasną”*, i ani słowem nie wspomniał o *„sodomii”* królewskiej, bo wiedział, że to nie jest prawda, tylko kościelny humbug.

Komuda, który też o tym wie, ale lubi tabloidowo epatować pikantnymi sensacyjkami, powołał się na dwóch biografów biskupa (autorów dzieł o tytule **„Żywot św. Stanisława”**) — na Wincentego z Kielczy i na Jana Długosza — którzy pisali o *„sodomii”* Bolesławowej, oraz na współczesnych głąbów (exemplum Franciszek Sielicki, 1997) rozpowszechniających te insynuacje bezdowodowo. Skąd się owe potwarze wzięły? Ano stąd, że Kościół krakowski, który bardzo długo nie potępiał króla gwoli wynoszenia Stanisława ze Szczepanowa (zwrócił na to uwagę wybitny znawca tematu, prof. Stanisław Trawkowski, 2002), „obudził się” po prawie 200 latach (!), chcąc mieć *„świętego męczennika”* w swej rywalizacji z Gnieznem. Co wymagało przekonania papieża do kanonizacji, tedy krakowski biskup Prędota zlecił dominikańskiemu kanonikowi Wincentemu pisanie laurki apologetyzującej kandydata. Wincenty wysmażył hagiografię typu *„fantasy”*, uwypuklając cuda Stanisławowe (np. wskrzeszanie umarłych) oraz zbrodnie Bolesławowe (np. pederastię i zoofilię, można rzec: zwyczajowo — te same *„sodomiczne poróbstwa”* król Filip Piękny wlepi templariuszom chcąc ich przekląć). Do tego, dla udramatyzowania spektaklu, Wincenty zlokalizował mord wewnątrz świątyni, przy ołtarzu, bo to też było modne, Europa wciąż gadała o zabójstwie przez królewskich siepaczy, pod ołtarzem, biskupa Canterbury, Thomasa Becketa, wystarczyło skopiować opis.

> *Prof. Włodzimierz Dzwonkowski: „Gdy postać biskupa Stanisława staje się potrzebna w walce Kościoła z państwem — powstają krzywdzące Bolesława legendy” (1938)*

Chociaż te starania przyniosły skutek, kanonizacja (1253) nie przebiegała bez kłopotów, sprzeciwiało się jej wielu VIP–ów Kościoła (m.in. kardynał Rinaldi, późniejszy papież Aleksander IV). Zaś wewnątrz kraju oszczerstwa trzeba było rewitalizować, więc prawie 400 lat po śmierci biskupa kronikarz Długosz, urzędnik kardynała Oleśnickiego, z jego rozkazu *„odgrzał kotlet”*, kopiując Wincentowy jad. Później czołowi mediewiści nie zostawią suchej nitki na tych wypocinach. O Długoszowych prof. Marian Plezia rzekł: *„**«Żywot»** Długoszowy jest powtarzającym Wincentego panegirykiem literackim ku czci świętego, lecz nie wiarygodnym źródłem historycznym”* (1979). A o pierwotnym paszkwilancie prof. Wojciechowski tak się wyraził: *„Teksty Wincentego jako produkt dziejopisarski to istna nędza umysłowa, a nawet gorzej. Żeby przedstawić Stanisława świętym trzeba było wymyślać na Bolesława potwarze tak obrzydliwe, że równie szpetnych nie spotka się w całej naszej historiografii”* (1904). Komuda zdaje się nie wiedzieć, iż mnóstwo rodzimych historyków wyśmiało tę rzekomą *„sodomię”* króla, gdyż najbliższe jego panowaniu kroniki (Gall i Kadłubek) nic o niej nie mówią (Kazimierz Szkaradek–Krotoski: *„Tak późne opisy rzekomych sprośności królewskich samą swą potwornością zdradzają czym rzeczywiście są: bajeczną przędzą tendencyjnej opinii kościelnej”*, 1905). Bezkrytycznie kupił szkalujący *„fake news”* wyprodukowany prawie 200 lat po konflikcie, plus kościelną propagandową bajdę o zarąbaniu świątobliwego biskupa ręką złego króla przy ołtarzu, chociaż historycy (np. prof. Karol Górski) ślady na czaszce interpretują jako normalne egzekucyjne (ogłuszeniowe).

Paszkwil Komudy (podlizującego się Skałce) razi znawcę przedmiotu nie tylko żenującym brakiem krytycyzmu, lecz i brakiem znajomości ważnych dokumentów tyczących tematu. Choćby bulli papieża Paschalisa II (kilkanaście lat po śmierci biskupa) mówiącej, że arcybiskup gnieźnieński Bogumił potępił knującego przeciw królowi Stanisława. Czy *„kwitów”* z Archiwum Państwowego w Pradze, świadczących, iż biskup ze Szczepanowa był na stałym wysokim żołdzie zawziętego wroga Polski, czeskiego króla Wratysława; już Tadeusz Czacki pisał: *„Biskup miał zmowy z Czechami”* (1803). Z Niemcami też, dlatego Bolesław i zwalczany przez Germanów Grzegorz VII (jeden spośród najlepszych papieży w dziejach) zawarli sojusz, łączyła ich komitywa bliska przyjaźni (*„Ciebie i mnie łączy umiłowanie Chrystusa”* — pisał do Bolesława św. Grzegorz); obaj, niestety, przegrali i pomarli na wygnaniu.

Kończy mi się miejsce, lecz gdy będzie trzeba — wrócę do tematu. To się pewnie nie spodoba (równie jak ten felieton) kardynałowi Stanisławowi Dziwiszowi, bo św. Stanisław był ulubieńcem JP II. Sorry, eminencjo, ale mój Ojciec , Stanisław Łysiak, kazał mi iść przez życie z celtycką dewizą *„Prawda przeciw światu!”*. ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl cd6a0bf674

WEŹ UDZIAŁ W LOTERII

CO 3 ZDRAPKA WYGRYWA!*

88 rodzinnych samochodów

11 650 000 produktów **VERVA**

Dodatkowo dla zarejestrowanych uczestników Programu VITAY do wygrania **6 wyjazdów** pięcioosobowych na wyścigi Roberta Kubicy.

ORLEN

Okres sprzedaży promocyjnej uprawniającej do otrzymania zdrapki: 23.04 – 31.12.2019 r. lub do wyczerpania puli zdrapek na poszczególnych stacjach paliw. Zachowaj zdrapkę i dowód zakupu. Zgłoszenia do losowania wyjazdów na wyścigi Roberta Kubicy przyjmowane są do 02.11.2019 r. od zarejestrowanych uczestników Programu VITAY posiadających konto na vitay.pl. Szczegóły w regulaminie na: loteria.orlen.pl. Organizator: Unique One sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie.
*Informacja została przygotowana w oparciu o statystyczne rozłożenie nagród w loterii.

eprasa.pl cd6a0bf674